

ZYGMUNT BARTKIEWICZ



SŁABE SERCA

WYDANIE DRUGIE



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1911

TEGOŻ AUTORA.

	Rb.	k.
Psie dusze. Nowele i obrazy. Drugi tysiąc . . .	1	20
Słabe serca. Nowele	1	80
Stare gniazda, nowe ptaki.	—	60
Nastroje. Nowele mieszane. Tłómaczenie	—	15

ZYGMUNT BARTKIEWICZ



SŁABE SERCA

WYDANIE DRUGIE



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1911



68320

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

K-249/76/74671

Słabe serca.

Utwór nagrodzony na konkursie w Krakowie.

Słońce niedawno wstało, i już promienieje,
jakby śmiejąc się do starej przyjaciółki ziemi.

Przychodzi dzień nowy, przynosi swą miłość i zdradę, szczęście, któremu nie sądzono dotrwać do zmroku, żal, smutek, zgryzoty, co giną wśród sennej ciszy, a powstają znowu silne, biorą w ostre szpony biedne serce człowieka.

Ze słońcem śmieje się wieś wesola, świeża, wypoczęta, jak człowiek zdrowy, młody, budzący się z miłością do życia, i dobrą nadzieją jasnej przyszłości. Inaczej w mieście. Tam ranek bez pieśni, niesie zmęczenie i przykrą ociężałość: sen odświeża ciało, lecz nie daje sercu radości, myśli swobody, wita też świt, każdy dzień nowy przekleństwem, co stanowi jakby miejski odpowiednik do śpiewu skowronka.

Wież głupsza, szczęśliwa, wstaje rażno, wesoło. Jeszcze nie przebrzmiał odgłos dzwonka,

targanego ręką zawsze sennego stróża, a już wychodzą z czworaków barwne figury fornali, ratajów, porządkowych, i innych organów licznych urzędów starego ustroju pocziwego gospodarstwa naszego.

Z obory dochodzą głosy niepokojonych krów; wniesiono tam wielką dzieżę na drągu, w otoczeniu niezbędnej świty, — rodziny pachciarza.

Z postrzępionej słomy »wyrka« wstaje leniwie kudłaty pastuch-filozof, i ziewa przeraźliwie, jak człowiek, któremu wiele wolno w tem jego państwie. Na sygnał ten z kąta wyłazi, przeciągając się, mały, czarny piesek, o takim wyglądzie, jak gdyby za życia już służył za słomiankę, — wyłazi, i posuwa się ruchem, pełnym psiego uszanowania, w poczuciu swych obowiązków, z pozdrowieniem ku swemu władcy.

A pudziesz, paro zatracona, — w ślad za czem rozlegający się skowyt świadczy o niegościnnem przyjęciu psiego powitania.

Człowiek-pastuch chętnie bije swego towarzysza i pomocnika, uznając, że bicie jedynie zacieśnia węzły przyjaźni i zaufania, między panem i sługą.

W oborze już rozlega się dźwięk codziennego obrządku odbierania mleka krowom, przyczem brzmią ostre tony »przyśpiewek«, szerokie jak rzenie żrebic, śmiech kraśnych

dójek, wywołany wspomnieniami ubiegłej nocy, plotkami bab wszystkowiedzących i spokojnemi uwagami pachciarza...

We drzwiach zjawia się pisarz, — chłopiec młody i świeży, krew sama, — bez mleka. Po kątach rozlegają się przyciszone śmiechy i parskania, dójki trącają się, przyczem mleko pluska na słomę.

— Pokraki jedna z drugą, a wylewaj tam ino, to ci skopkiem łeb nakryję... Od rana, od samego, utrapienie z tymi chamami... — grzmi pani gospodyni. — Dzień dobry panu pisarzowi, — proszę na ważne słoweczko, — szcziebiocze.

— Sługa pani gospodyni, — kłania się chłopak mazurowym hołubcem.

— Ja do pana Wicusia z ważną nowinką.

W oborze ucichło, tylko pastuch ziewnął, wydając dźwięk zgrzytliwy, jak żóraw studzienny.

— Parobek, pastuszysko, bez żadnego wychowania... Może pan Wincenty do korytka pozwoli, tam będzie swobodniej, i więcej apropo...

— Sługa pani Cytwarowskiej, gospodyni naszej, — i znowu ukłon, aż słoma nawoźna prysnęła ponad płową czuprynę młodzieńca.

Wyszli, zawrzało. Melancholijne krowy na-stawiły uszy.

— Już coś naplotkuje, jedwabnica... — ktoś westchnął.

— Wydra, łapikura...

— Cichajta, babski narodzie, — posłuchajmy lepiej, co mu tam naskwierczy ta faja dworska, trantula... — I lecą jak grad wymysły, — poezya ludu naszego.

Na korycie już siadł pan pisarz, a obok, otoczona pokwakującymi kaczkami, pani Cytwarowska mówi zajadle, uzupełniając słowa odpowiednimi gestami:

— Jakem tylko usłyszała krzyki, tak zaraz, że lubię wiedzieć, co się dzieje, tak zaraz leczę do kredensu i oto słyszę, jak nasza stara zawodzi a lamentuje: takeś me ukrzywdził, powiada, takiegoś mi wstydu narobił, że póki życia, powiada, nie zapomnę, i zaraz wyjeżdżam... On ci jej na to przekłada, i tak, i siak, a chce ją po rękach całować, na ziemię się układał, tak ci ją przeprasza, a ona nic, tylko co nosa w chusteczkę utrze, to znowu płacze, i krzywduje sobie. A potem widać złość ją wzięła, więc go i zwymyślała: ty podlec, powiada, i jeszcze jakieś francuskie, ale bardzo paskudne słowo mu rzekła, a on drzwiami trzasnął, a może ją i w złości wyciął.. W ten mig się spakowała trochę, Kacperka wysłała, żeby założył — i poo—osła... Jego ostawiła, co łązi teraz po kancelaryi, a ja nic nie wiem, co z czego, i oto do pana pisarza po radę... Oj dech mi zaparło...

— Ano, drapnęła, to się przecież zdarza.

Owa, abo to raz; sam nawet miałem z jedną hrabianką, tego, — i także była intryga...

— A pan pisarz zaraz takie słowo: intryga... Stara się go przecie pilnowała należycie, i na taką rzecz nie rezykowałaby nigdy. Panna przecie z dobrego domu, a pan zaraz od ostatnich, ale, — może i sprawiedliwie. Lecę na jednej nodze, do dworu, może tam co nowego zaszło. Adje, — niech pan Wincenty o południu do sadu doskoczy, powiedziałabym co... Oj, święty Józefie z Kopertynu zmiłuj się nad nami... O, panno święta!

W oborze znowu zawrzało... Pastuch śmiał się głosem puchacza, aż się za boki trzymał z wielkiej uciechy.

— Pirzchła stara, — odleciała lakiernika. Hu — hu!

— No i powiedzta dobre ludzie, jakże to może być?

— Ano przystała do inszego chłopca pewnikiem, bo to pańska moda...

— A przecie zawdy siedziała z nim. I po kanapach, i w pojaździe razem się lizały, a ona mu i gołąbeczku i rybko, i kochanie, i po gębie go rękawicą gładzi, a potem się całowały, aż mdło było patrzeć... No, a tera powiedzta narody?

— Baba jak baba, — cy w tym stanie cyli innym, zawdy ino baba, i jak baba... Pilnuj

jej ino, a biej, bo ci sama do ślipiów skocy jak ta kotka...

— Nie gadalibyśta, — niby to chłop je dobry...

— Chłop to chłop, jemu na wszystko wolność dana... Chłop inszy do babów ciekawy, i to mu wolno, a wam do cudzego chłopu zasie, na co już takie postanowienie Boskie, i ukazanie cy-sarskie... Baba zleciała, a bez chłopu się zmarmokoci i wróci, a on, żeby rozum miał, toby ją za te piękne włosy, sukę ułapił, i zepnął cemtwardem, bo na to i prawo takie jest. Nawidzis cy nie; siedź u niego, boś przysięgała... Takie rozumienie moje...

Dójki podchodziły ze skopkami, zlewając mleko do wielkiej dzieży, przy której stał pachciarz, i wzdychał nad rzadkim niebieskawym płynem, wydobywając z niego palcami żdźbła słomy.

Pastuch z godnością i pobłażaniem, zbierający zdania »ciemnego narodu«, podszedł ku niemu:

— No i cóż panie Mordka, jakże na to myślicie?

Pachciarz skrzywił się, i odpowiedział po namyśle:

— Widzita wy, głupie ludzie, i wy Jędrzeju: wół, to un ma długi język i nie gada, człowiek ma krótki, to un nie powinien gadać, bo z tego czasem duże zmartwienie jest...

Aj, aj, jakie to mliko, — jak woda, — dobrze że białe... Po co to żyje takie bidło, co takie mliko daje?...

Uderzył krowę po chudym grzbiecie, potem skinął na żonę, i rodzina pachciarza poniosła mleczną krwawicę ku swojej siedzibie, w celu dalszych uzupełnień wodą rodzimą, swojskiego produktu.

Pastuch, obecnie już pan samowładny, począł się krzątać po oborze, wypędzając krowy na pastwisko. Na łące szarpał się czarny buhaj, a dzwoniąc łańcuchem, zwracał krwawe, złe oczy w stronę przedstawicielek swego harem, które, porykując, szły po szczupłe na ugorach pożywienie dla siebie, świeże mleko dla pachtu, i ostatni obowiązek dla ziemi. Pies zataczał przed każdą z nich półkole, kierując ją na właściwą drogę, szczeknął kilka razy, a powracając do pastucha, w braku ogona wykręcał całym krzyżem, co jako symbol psich uczuć, wysokie zadowolenie wyrażać miało.

On zaś, postępując za swemi towarzyszami dnia i nocy, pokrzykiwał tak sobie, bez gniewu, znać tylko dla powagi: — A gdzie, a hen!... Gdzie lizies, gildo pokracna!... Rozwijał bat szeroko, i trząsał nim; wtedy pies przysiadł, i patrzył na pana swego, jakby z ludzkim, obłudnym podziwem, w rozumnych oczach:

— Tylko mój dobrodziej tak trzaskać potrafi...

W ciasnem przejściu podwórza wzbil się tuman kurzu, i zakrył pędzoną gromadę; odsłonił ją dopiero na buro zielonem tle ugoru, określona, w pełni powietrza, białemi, czarnemi, i czerwonymi plamami. Z boku szarzał cień człowieka, a przy nim kręcił się mały punkt ciemny.

Słońce już wyszło ponad siny, zamglony pas lasu, i słało ciepłe blaski, w których zawisł drobny szary ptak, wydzwaniający codzienną radość swoją.

Wąskim, piaszczystym traktem sunął powoli wózek chłopski, a z niego płynął śpiew dzięczny, — śpiew pociechy w codziennym trudzie szarego życia, wśród znoju, potu, i troski, i tej radości jedynej, jaką daje zagon ziemi własnej.

A bezrolny Jędrzej, szarzejący w oddali, stał, rozmyślał, i do psa mówił:

— Miarkuj-ze oto sobie ciemna sobako, jak to pożytecznie wszystko bez Pana Boga zrobione... Krówka oto ryczy, ptak śpiewa, a pies sceko... Jakby to też było, żeby skowron scekoł, zaś ty śpiwoł... Wszystko by się wtedy przekreśliło, ino jakbyś ty frukał sobako?

Zaśmiał się głosem puchacza, i psa batem uderzył. Żartobliwy był. Myśli jego odwróciły

się od filozoficznych rozmyślań, a skierowały na sprawy bieżące:

— Jak to sobie żyd wymędrkował... Wół, powiada, nie gadający, a człeku gadać nie trza... Mądraś ty główka żydowska, mój panie Mordka, ale i ja wiem swoje... Nie widziołem to ja dziedzica jak po krzakach łaził, jak zając kicał, a wypatrywał. Ona leciała ode dwora bez łakę, kiecki zawinęła, i zara się do całowania brały, a w zagaje szły... Odwróciłem się zawdy niechcący, ano krzynę, alem oko miał... Wiem ja trochę cego, panie Mordka, wiem... A zaganiaj od kartofli, Bukiet, pies, zaga—aniaj. A gdzie, — a heu!

— Ano, — rozsiadł się wygodnie, powoli rozwinął z gałgana chleb, wydobył gdzieś z głębokiego ukrycia kozik, obejrzał go, i za—stanowił się:

— I paskudnika tobą wytnę, i chleb tobą jem, toś i do choroby bydlęcej, i do mego pożytku... Ano — ukrajał kawałek, i począł go żuć starannie... Patrzył gdzieś w dal, myślał, i oczami mrugał...

— Pies przysiadł w tej odległości, dokąd bat nie sięgał, — nastawił wystrzępione uszy, i skowyczał z cicha.

— Naści i tobie... Niezgorszyś piesek, ale Negret był lepszy; ho, ho, toci był pies sprawiedliwy...

Zamyślił się, uśmiechając do wspomnień.

W gościnnym pokoju przystanku kolejowego, wczesny ranek nie sprowadził jeszcze zwykłego, codziennego ruchu. Opasła jejmość, »wdowa po wysokim urzędniku« rozłożyła na bufetowym stole skromne, bez zalotności utrzymywane, przybory toaletowe. Obok, jej pomocnica, tak zwana prawa ręka, przyrządzała pospolite przekąski, przekładając z oszczędną umiejętnością wczorajsze wędliny na świeże bułki. Zaspany posługacz, w szafirowym krawacie, dmuchał w olbrzymi samowar, mrużąc przekleństwa, skierowane w stronę węgli, samowara, i jakichś wspomnień z dnia wczorajszego.

— Nie bój się, spotkam ja ciebie jeszcze, psiawiario!...

Gospodyni ukończyła przypiekanie grzywki, zdjęła z grzebienia węzełek misternie splątanych, burych włosów, a przedstawiając go swej pomocnicy, westchnęła:

— Niech no Julka popatrzy, jak mi te podłe wychodzą.

— O, pani naczelnikowa ma zawsze jeszcze włos piękny, do pozazdroszczenia... Szynki trzebaby dokupić, i niechno Władysław oliwy doleje do sardynek, bo strasznie wyschli...

Do pokoju wszedł człowiek w czerwonej czapce, z obrzękłą, pospolitą twarzą.

— Dzień dobry pani, dobry dzień Julci pannie...

— Dzień dobry panu naczelnikowi. Ranny ptaszek z pana zawiadowcy, pewno się zasiedziało przy preferansiku... Jakże szczęście? Zawsze dama czerwienna?...

— Dajno pani jeden towarowy.

Pochylił się, wziął kieliszek trzęsącą ręką, i wypił z widocznym wstrętem. W tej chwili zatrzęsł nim kaszel przykry, i nabrzękła twarz posiniała.

— Zawsze tak przy pierwszym, — psia służba nasza...

— Oj, panie naczelniku, a komu to dziś dobrze na świecie? Minęli te czasy, kiedy to człowiek w poszanowaniu i godności... Świeć panie nad duszą...

— Dajno pani gorzkiej, bo mi jakoś tak...

— Znowu wypił, i znowu nim kaszel zatrzęsł.

— Oj służba nasza, — dola nieszczęśliwa...

— Może pan pozwoli domowej naleweczki, nieboszczyk zawsze używał od żołądka...

— Ano spróbuję, chociaż to już po sygnale...

— Zdrowie przedewszystkiem... A kolorek jak bursztyn.

W tej chwili rozległ się turkot, a przed stacją zatrzymał powozik, z którego wysiadła wytwornie ubrana kobieta. Oczy jej suche, zaczerwienione, płonęły gorączkowo, a na

pięknej, świeżej twarzy widniał przykry wyraz cierpienia, usta drżały nerwowo...

— Kiedy jaśnie pani każe przyjechać? — zapytał stangret, uchylając czapki.

— Kiedy? Nigdy, mój Tomaszu... — Poszła po schodach chwiejnym krokiem; stangret ramionami poruszył, i splunął.

— Zgłupiała bez to ranne wstanie.

Na widok wchodzącej, nagle umilkli rozmawiający za bufetem, i długą chwilę trwała cisza, aż gospodyni nachyliła się do ucha pomocnicy:

— Oho, — widziałaś jaka spłakana, — co to się stało? Patrzaj: ciągle jej się na bek zbiera... Ani chybi, skandał, i to gruby...

Istotnie młodej kobiecie twarz drżała, aż nagle łzy długo powstrzymywane popłynęły, zabłyśły na czarnem, aksamitnem okryciu.

Szybko posunęła się ku niej gospodyni:

— Pani dziedziczce jakoś słabo, może wody, może po doktora?... Widać z powietrza, bo teraz ranki chłodne.

— Dziękuję pani. — Proszę mię zostawić...

Obrażona jejmość chrząknęła, podreptała w miejscu, uśmiechnęła się złośliwie, i odeszła do bufetu, gdzie, podniecona gniewem, syczała:

— Nie ubrana wcale, tyle, że na wierzchu, i zbeczana aż strach... Wygnał ją widać ze dwora... Na taki koniec ci przyszło, lafiryndo

aksamitna... Wczoraj jeszcze dziedziczka, a dziś co?... A widziałaś ty, Julka, jak mnie oburkneła; cóż ja to równa jej może? Tak to dziś kobiecie samotnej, panie naczelniku. Ja do niej z sercem, a ona...

— Nalej-no pani...

Pokój stacyjny począł się zapełniać podróżnymi, z których każdy ze współczuciem, z ciekawością każda, przyglądali się młodej kobiecie... Pocziwe małomiasteczkowe kumoszki węszyły z lubością skandalik, snuły też rozmaite domysły na wzorzystem tle zdrady małżeńskiej, lub miłości nieszczęśliwej...

Łzy nie zawsze wzbudzają współczucie, bo jeżeli płyną z pięknych oczów, ginąc w haftach chustki, zaciekawiają tylko: czego może płakać ta piękna osoba, ubrana tak ładnie, i kosztownie... Łez, wyciśniętych przez głód, żalę lub ból w nędznej izbie poddasza, nie widzi nikt, i zna je tylko z ponurej, starej powieści, nie wierzy też łzom, które się nie wstydzą, — łzom publicznym, bo wierzyć nie należy bólom ani radości, które nie szukając spokoju i ciszy, cisną się ludziom na oczy, z natręctwem żebraczem.

Nic też dziwnego, że nikt z obecnych nie współczuł nieznanemu cierpieniu, tylko rozmyślał nad czem płacze piękna pani. Kilka par źrenic, utkwionych w jej postać, badało każde drgnienie jej powiek, każdą łzę, spa-

dającą z rozognionych oczów. Wzrok ten szukał w każdym szczególe ubrania, w każdym guziku, parasolce, czy rękawicze potwierdzenia swych domysłów, że grzech ciężki, ale ciekawy, — grzech rozkoszny, ciśnie łyżę na te piękne oczy, w których przed chwilą może świecił płomień zachwyty, upojenia, szału...

Odczuwała biedna te szpiegujące ją spojrzenia, i gryzła usta, pragnąc zatrzymać ból w sobie głęboko, gdzie nie sięga spojrzenie tych szarych, bladych oczów »uczciwej« kobiety, która z taką bezlitosną zaciekłością prześladuje błąd, i — zazdrości, uznając w nim najłodszą pokusę, i tę potęgę rozkoszy, jakiej uczciwe spełniane obowiązki jej dać nie mogą.

Na stacyę wpadł pociąg, i raptownie zatrzymany, począł z siebie wyrzucać chude i tłuste jejmoście, poduszki, niańki z dziećmi, koszyki, bukiety; tudzież najpospolitszy bagaż, — zmęczonych mężów-letników, którzy jak konie dorożkarskie znają krótką rozkosz spoczynku tylko wtedy, gdy zasypiają na chwilę, w oczekiwaniu nowego kursu.

Do płaczącej podszedł z uszanowaniem szwajcar kolejowy:

— Jaśnie pani na pociąg?

— Tak, na pociąg, — a kiedy odchodzi?

— Dokąd?

— Ach, prawda, dokąd? Ja nie wiem, — jeszcze nie wiem. Poczekam.

W babskiem obserwatorjum nagle zaszumiało:

— Nie wie dokąd jedzie?... Zapłakana... Uciekła więc, — napewno uciekła... Tak, ale z kim, bo przecie nie sama! Ach, jaka bezwstydną... a taka młoda. Jakie to oczy ma bezczelne.

Staruszek z głową drapieżnego pisklęcia, należący do rady, zakołatał drewnianym głosem:

— Panie pozwolą prawnikowi zwrócić uwagę, że człowiek gdy ucieka, wie dokąd ucieka, — ucieka ze świadomością; ucieczka bowiem jest sprawą premedytacyi, zaś człowiek nie wiedzący dokąd jedzie, musiał, że się tak wyrażę, zostać znaglonym, czy zaskoczonym koniecznością wyjazdu. Zważywszy tedy obecne okoliczności, dowody rzeczowe, tudzież wiek, i stan odnośnej płoczej osoby, skłonny jestem sądzić, że została zmuszoną...

— Ach, nie kończ pan sędzia... Wypędzona... Czyż to być może?

— Tak jest, pani kochana, tak. Na cały powiat spada ta hańba. Ja to czułam, pani kochana, w powietrzu czułam.

— I jako prawnik, pozwolę sobie zauważyć, że oskarżona, która niezawodnie ubiera się

nad stan, kobieta młoda, że tak powiem urodziwa...

Na stacyi, ze względu na drugi sygnał odchodzącego pociągu, wszczął się popłoch. Staruszek, prawnik, jego prawnie poślubiona, otoczona wianuszkami prawych dziełek, cztery pstrokate przyjaciółki, uboga krewna, słoje z konfiturami, dzieciak z wodą w głowie, poduszki w czerwonych poszewkach, zapłakana służąca, wesół bono, cisnęły się zwartą barwną masą, w stronę wąskiego wyjścia, gdzie też, na zasadzie nieprzenikalności, karawana letników utknęła z całym podróżnym obozem. Staruszek niewiadomo dlaczego począł żądać książki zażaleń, damy przyzywały moce niebieskie, chłopczyk z wodą w głowie postanowił się napić wody z sokiem, o co też dopominał się natarczywie, zaś uboga krewna w kawowej pelerynie, rada sposobności, rozplakała się rzewnie.

Po otwarciu drugiej połowy drzwi, towarzystwo w rzuciło się w kierunku wagonu, gdzie też za chwilę zakotłowało się, — wreszcie damy rozsiadły, sapiąc jak stare mopsy:

— No, i byłybyśmy się spóźniły przez tę ladacznice...

— A w dalszym ciągu, według kodeksu Napoleona, prawo nie przewiduje, że tak powiem, nie uwzględnia wypadku...

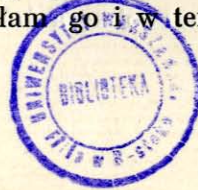
— Gotowo?

— Gotowo! — buchnęły kłęby dymu, i, — gotowa opinia pobiegła we światy.

Ofiara obserwacji, i niezbitych pewników śledczego doświadczenia, odetchnęła swobodniej, gdyż pozostała tylko w towarzystwie młodego człowieka, zajmującego się przy bufecie układaniem wyżła do pola, i dwóch pań, usiłujących swobodną rozmową przekonać obecnych o lekkości swego ciężkiego powołania.

— Trzeba gdzieś jechać, uciekać, — myślała, — nie mogę przecież tu zostać, być ciękawą zagadką do rozwiązania, czy pośmiewiskiem dla tych wszystkich, co mi się tak przyglądają. I co też oni myślą o mnie? Nie żałują mnie pewnie, jak nie żałuje ten, nienawistny, co teraz szczęśliwy jest może, gdy mu powróciła niezawodnie upragnioną swobodę.

On zawinił wobec mnie tak ciężko, okrutnie, a ja tylko cierpię, dlaczego jest tak? Gdzie sprawiedliwość, która karze ludzi, błędzących przez miłość, a pozwala na zbrodnie zimno obmyślane, zbrodnie, co odbierają wiarę i szczęście, zostawiając życie, jakby dla wzmożenia kary za poświęcenie, uczucia... I co ja zrobiłam temu człowiekowi? Nie zgrzeszyłam wobec niego myślą nawet, a przypuszczenie, że ktoś inny mógłby mieć jego prawa, wstrętem mię przejmowało; kochałam go i w tem widzia-



łam wszystko, i celów życia dla mnie nie było, poza szczęściem naszym. Byłabym zniosła dla niego, czy przez niego największą klęskę, przebaczyła mu najcięższą winę, prócz tej jednej krzywdy, — tej, niby tak sprawiedliwie dozwolonej zbrodni.

Łzy popłynęły jej z oczów, a jęk cichy wypłakał:

— Jakież to brzydkie, niegodne. A! — wstrętne...

Młody człowiek przestał zajmować się wyżłem, zaś dwie rozbawione spojrzały w stronę płaczącej:

— Biedna jakaś kobiecina... patrzaj Ludka, spłakana.

— Toć widzę... Podły chłop pewno zrobił jej krzywdę, więc i beczy biedactwo. Możeby jej się spytać, może co pomódz?

— A już. Pozna coś za jedna i zwymysła cię. Takim jak my nie wolno się zbliżać, odczuć krzywdy ludzkiej nie wolno, choćby ci się serce tłukło z żalu. Naturalnie, że chłop winien, ja się znam na tem, bo jak kochany krzywdę ci robi, wstyd stracisz, będziesz wyla jak pies, gryzła ręce własne, — nie powstrzymasz się. Tak ci coś siedzi na duszy, a dławi.

Jedna się wypłaczę i dobrze, — drugiej głupiej zostanie na zawsze, głupia nie zapomni... A jemu co? — za dziesiątą poleci, a chwali

się jeszcze, podła dusza, — szczęście mam, powiada. Widzisz, znowu płacze; oj, dojadł ci on jej dojadł, zdrowo...

Spojrzała w zamyśloną twarz towarzyszki:

— Tak!... pieska dola nasza, — i zamilkła, pochylając głowę.

A z oczów pani ze świata płynęły łzy wielkie, ból targał za piersi, za szyję rwał:

— Gdyby to jeszcze było podejrzenie, — myślała dalej, — gdyby plotka, przekonanie wreszcie, ale bez tej rozpaczliwej pewności, która nie pozwala zwątpić na chwilę o tej zbrodni, popełnionej przez niego, co był tak bardzo, tak szczerze kochany.

Gdyby można nie myśleć o tem, lecz nie; wyobraźnia podsuwa coraz to nowe szczegóły tej okropnej sceny... Widzi go, czuje go nawet, gdy się zbliża do tamtej, do tej innej, do cudzej pewno kochanki, całuje ją, pieści tak samo, jak pieścił jedyną, wysnioną, i — taką szczęśliwą... Tak samo, — jakież to okropne...

Gdyby można wydrzeć z pamięci te wspomnienia słodkich chwil zapomnienia, — szalu, kiedy to myśl się płacze, serce zamiera lub tłucze się w piersiach, kiedy to widzi się jedną tylko twarz ukochaną, odczuwa jedno szczęście bezmierne, miłości niezamąconej, ani troską o jutro, ani głodem, kiedy nawet myśl wielkiego nieszczęścia z pamięci ucieka, kiedy

pocałunek pragnie pocałunku, a ciało uścisku, choćby po nim śmierć przyszła, kiedy w duszy odczuwa się jaki wielki krzyk radości, że ten dar rozkoszy dla jednej tylko, dla niej jedynej... Drugiego szczęścia tej potęgi niema na ziemi... Nie — jest!... Jest, i żyje w zdradzie, żyje tam, gdzie ona, ta druga, ukradła jej dzisiaj spokój, wiarę, i radość, — tam, gdzie on był słodkim, dobrym, miłym chłopcem, pełnym szczerego zapału, i młodej miłości...

Gdyby to było snem przykrym, z jakąż radością ucałowałyby swego ukochanego, jakby żartowali z tego snu potem, przy śniadaniu, — i ona może miałaby trochę żalu do niego, a choć on temu nie byłby winien przecie, ale... Gdyby to był sen... Nie, to nie mara szarpie ją teraz za serce... Pamięta wyraźnie ten dzisiejszy zmrok poranku, kiedy dostrzegła te dwa cienie, a potem chwila, gdy tak rozpaczał ten szalony, zły człowiek... Pamięta wyjazd, i teraz widzi stację o tej porze niezwykłej, i te dwie, jakieś podejrzané panie, o których on jej mówił takie okropne rzeczy, że za pieniądze się sprzedają... Czy to być może, żeby kobieta mogła popełniać taką szkaradę?

Kto wie, czy te dwie jutro nie będą jej współzawodnicami w tem szczęściu, które dla niej już przeszło, wyczerpało się, i każe dru-

gim ustąpić... Czy to być może? Czyż nigdy już nie będzie z tym, którego tak bardzo, tak niewypowiedzianie kochała...

Jakie to dziwne, — wczoraj jeszcze drżała, i płonęła w jego uścisku, a dziś ich miłość to tylko wspomnienie, które przekleństwem jej życia się stanie. Kiedyś nie wyobrażała sobie szczęśliwszej od siebie, a dziś zazdrości spokoju tej rozlanej drzemiącej gospodyni. Ta nie czuje nic, tej jest dobrze i szczęśliwie... Dlaczego ona ma takie złe oczy?

Nagle odwróciła głowę, i wszystko w niej zadrgało. Obok siedział on, ten bezwstydnik, jej mąż. Siedział, i patrzył na nią dziwnie dobreimi oczami. Skąd on się tu wziął, — kiedy przyjechał? Ona przecie nie wróci, nigdy nie wróci, wreszcie... — brzydzę się nim, — szepnęła... Dreszcz nią wstrząsnął, odsunęła się...

— Zosiu ukochana. Zosiu moja... doszło jej uczów, ciche.

Zna ten szept, pamięta, jak lubiła nadsluchiwać czem drżą kochane usta, gdy oparta głową o jego piersi, nie chciała myśleć, a chłonąć tylko te wyrazy, powtarzane cicho, i tak słodko: Zosiu, — moja, moja...

Nie, — nie trzeba płakać, niech on tych łez nie widzi... Poco jednak przyjechał, nie kocha jej przecie, gdyby kochał nie postąpiłby tak brzydko, ach — wstrętnie, pocóż więc ją prześladuje — może uragać jej za-

lowi zechce?... Nie, to pewno nie; był zawsze dla niej tak subtelny, tak rozumiał każdy drobniak, wszystko, co choćby cień żalu spowodować mogło... Pamięta takich szczegółów z ich pożycia wiele, zdumiewało ją wprost niekiedy to dziwnie wrażliwe poczucie. Jakże mu za to wdzięczną była. On przeczuwał tę wdzięczność i był jeszcze doskonalszym... I dlaczego on to zrobił — dlaczego? Łzy tamowane trysnęły znowu, — pochyliła głowę...

— Zośko moja... Zosiu, bij, zabij — nie płacz, — podły jestem i nie wart jednej łzy twojej... Zośku ukochana moja...

Odwrociła głowę, i ujrzała twarz bladą, boleśnie skurczoną, przykrą twarz człowieka, który cierpi, — i w tej chwili oczy jej zabłyśły, i przyleciała myśl jedna:

— Po co mam tracić szczęście? — Kocham go i rzucę mu się na szyję tu, — przy wszystkich, niech mię bierze, niech mi nie odbiera siebie... Nie, — tamta nie pozwoli, ona stać będzie między nami życie całe... Nie chcę, boję się go, — brzydzę, nienawidzę...

— Zośku ukochana, wróć do mnie, — ukarzę mię — nie kochaj, — wróć... — głos jego drży, prawie, że płacze, kocha ją więc trochę... A może? Może jej się zdawało...

Często się tak dziwnie składają pozory!... gdyby tak było, szczęście ich wzmogłoby się jeszcze. — Przebłagałaby go, umiałaby ka-

zać mu zapomnieć o tem krzywdzącem spojrzeniu...

Dlaczego te dwie... jakieś, patrzą się ciągle na niego, podoba im się może, — nicby w tem dziwnego nie było... jedna się nawet uśmiecha, i drugiej oczami mego chłopca wskazuje, — podła bezwstydnica... Jakby tu jej dać do zrozumienia, że on jest jednak mój mąż, i nie wolno pierwszej lepszej, robić oczów do niego.

— Zosiu wracaj ze mną, ja ci powiem wszystko... Zosiu jedź ze mną, — wracaj tam, gdzie zostało szczęście nasze, gdzie przed nami całe długie życie radości i spokoju... Zośka!

Spojrzała na niego, na te dziwnie dobre oczy, zwrócone w jej stronę, — oczy błagające, w których drżały łzy, i jednocześnie dostrzegła uśmiech jednej z tych dwóch, już znienawidzonych, odpowiedziała więc szybko:

— Po co? — Nie mamy dzieci, — wspólnych obowiązków... Postąpiłeś tak niegodnie, szkaradnie, nieuczciwie, więc...

Ciche łkanie przerwało jej słowa, — spojrzała, — to on płakał.

— Zosiu wróć!...

Zbliżyła się do niego gwałtownie:

— Powiedz, powiedz jedno słowo, że to nieprawda, powiedz że mnie kochasz, powiedz

drogi jedyny, skłam, a powiedz, że to nieprawda...

— Ależ dziecko... To przykra pomyłka, — ja kocham tylko ciebie... Wierz!

— Porwał ją za rękę i wyprowadził, a za chwilę konie pędem poniosły lekki powozik.

— A co, nie mówiłam, że skandał, — krzyczała ochryplym głosem pani gospodyni, ujmując się pod boki, i trzęsąc mozną figurą. — A poczekaj, zedrze on ci te aksamity, a da ci on teraz... Widziałas ty Julka, jak ją tu spotyral? Widział naczelnik?

— Nalejno pani...

Ona tuliła się do niego, pragnęła być tak maleńką, aby ją cały trzymał w ramionach, aby go czuła, że jest przy niej, i że ją tylko kocha... On szukał jej ust suchych, płonących, i całował je długo...

Nie śmiała go pytać o nic, nie mogła, bała się prawdy, — tuliła się coraz silniej, przeżywając nieznana rozkosz pocałunków, po łzach bólu...

— Pędzili, — mijali ich ludzie, wierzby, krzyże, a oni gnali naprzód, — do szczęścia, które ulecieć już miało... Pragnęli je wskrzesić i, — wierzyć...

Od czasu do czasu dreszcz nią wstrząsał przykry, nie chciała myśleć o tem, co tłoczyło się do mózgu z nieubłaganą siłą prawdy, pra-

gnęła tylko ufać, że bolesne wspomnienie zginie z pamięci, i nie przystanie do duszy, to złe podejrzenie, co jak kropla jadu, młodego szczęścia zatruwa życie.

Słońce uciekało szybko gdzieś za stawy, a krwawiąc szeroki pas zachodu, przegląda się w wodzie poprzez misterną koronkę, zdobiącą krzywe, stare wierzby, u szczytów.

Od południa przyleciał ciepły wietrzyk, przygiął nadbrzeżne kępy sitowia, zaszeleścił trzcina i tatarakiem, a wyniosłe bażki, jakby na przychylnie powitanie, nachyliły głowy ciemno-brunatne. Gdzieś z wysokości, szybko, jak strzała, zapadł sznur chytrych kaczek. Spłoszony z kępy bekas sunął nad wodą, aż zniknął na dalekich smugach.

Pod wieczór gwaro się robi w rozległych tatarakach. Rozumny, a ostrożny ptak tego nie lubi, i przed wrzawą kaczek plotkarek, wrzaskiem bąków krzykaczy, i głupiej kurki tkliwym pogwizdem, chroni się na długi pas mokradeł... Dobrze mu tam i spokojnie, póki nie nadlecą znów kaczki, — nocne włóczęgi, stworzenia łakome, niespokojne, ciekawe. Nie opuszczają one żadnego miejsca, gdzie tylko prześiadują wodne ptaki, podpatrzają, wyszpiegują wszystko, i przynoszą późną już nocą plotki na wielkie jezioro, gdzie tworzy się opinia, i skąd skrzydeł lotem roznoszą się jej wy-

roki, a wczesnym już rankiem, brzmia skrzekiem wojny domowej, i małżeńskich zatar-gów, okoliczne bajory, stawy, kępy podmokłe, gdzie tylko życie, gdzie miłość zazdrośna.

— Wstrętne plotkarki, — wzdryga się błotniak długodzioby, i chybkim lotem, bez szmeru, ucieka... Podpatrzyły go kaczkę, bo podniosły nagle kwak wielki:

— Leci ten stary rozpustnik, leci na oparzelisko, i my wiemy po co... Do młodej kszyczki w zaloty.

Wyciągnęły się sznurem, w tataraki zapadły, aby zatruc żonie w gnieździe rodzinnym macierzyńskiego oczekiwania błogość. Bąk tylko pozostał w łozinach, i huczał przeraźliwie, za co nie lubiły go ptaki, bo skąd w tak marnej figurze bierze się głos tak potężny...

Nad wodą krążyły szybkimi zwrotami tajemnicze kozodoje, na gałęzi czyhał melanholijny zimorodek, a obok, jakby drwiąc z niego, błyskał karp złocistem, szerokiem ciałem, i rzucał się z pluskiem po gładkiej, złotoczerwonej powierzchni. Małe płotki zwinnie sunęły gdzieś w głąb wody, na widok strojnego w cudne pióra, a zbrojnego w dziób ostry tyrana.

— Oho, my jesteśmy mądre, — tak myślały płotki.

Na drodze wstał tuman kurzu, a stamtąd odzywały się porykiwania, szczekanie psa,

i donośny dźwięk głosu człowieka. Tuman zbliżał się ku rzece, i skrzył się w blaskach zachodzącego słońca; niekiedy zabłysły w nim białe, czarne, czerwone ciała krów. Ciężko, leniwie stąpając, zwracały głowy, i nastawiały uszy w kierunku stawu.

Od zbitej gromady zwierząt oderwało się kilka jałówek-podlotów, i cieląt-dzieci, pobiegły przodem szybko ku wodzie, a pijąc chciwie, raz wraz podnosiły głowy, rozglądały się, pobekując.

Sadzi cielęcy wyrostek, przystanął nagle, zwinął ozdobnie ogon, a rozparty szeroko na czterech kołkach-nogach, zamyślił się głęboko; całkiem niespodzianie wierzgnął w kierunku zgrzybiałej graniatej, i wesołym galopkiem ruszył ku wodzie. Niby obywatelski synaczek, zawsze animuszu pełen, niezrównany w dowcipnych pomysłach, wpadł w środek, i zmacił kałużę. Potem beczeć począł żałośnie, jak gdyby to jemu krzywda się działa, nie tym równie srokatym, co grzęznąc w gliniastej ziemi, męty piły u brzegu. Pastuch, że to nie tylko nad człowiekiem zastanawiać się lubił, ale i nad gadziną, patrzył na zbytki cielęce, coś »medytował«. Obok pies, pracowicie, skórę od pasożytów oczyszczał. Że »robak się lęgnie i w bujnym kwiecie« nie wiedział o tem Bukiet, pociechy też w poezji nie odnajdując,

piszczał tylko wobec tej siły złego, przysiadł, i postukiwał nogą w deski upustu.

Człowiek zżyty z obfitą fauną zwojów baraniego kozucha, nie pojmował tej psiej nadczułości, kopnął go też ze złością:

— Patrzajta, aligant, — psie nasienie!..

Krowy wychodziły z wody i szły żwawo w kierunku obory, pastuch biegł za nimi, nakuliwając na obie nogi, w pośpiechu, a że to wytrącenie z równowagi spokoju, źle wpływało na jego usposobienie, pies zatrzymał się, jak zwykle, przy stajniach, gdzie właśnie zawierał nową znajomość, według złożonych form i obrządków, psiego *savoir vivre*’u...

Folwarczne podwórze poczęło się już ożywiać gwarem silnych głosów, szerokim śmiechem, i doborem przekleństw, kraszonych językiem, tak doskonale nadającym się do wymyślenia.

Drogą od pola wjeżdżali z trzaskiem fornale, a stojąc na półtorakach, palili z batów, rzucając, w przelocie, słowa umizgów, do przechodzących dziewcząt:

— Jakże to ma zęby białe, Marcycha, — zatracona.

— Ma, to swoje, i choćbym chciała, to ci nie dam, — szczyrzyła się dziewczyna.

— Ej, żebyś ino chciała...

— Żeniaty, tobyś baby lepiej pilnował.

— Swoja baba to komu, — tera taka moda nastala.

— W pysk by ci trza za takie gadanie... — i ginie z flirtów najszczerzy, we drzwiach podwórza.

Od kieratu szły konie, zmęczone pracą na skwarze, wlokły ku studni ze spuszczoneymi łbami, obojętne na wszystko, co się około nich dzieje. Tuż za nimi, w płasach, wpadło młode pokolenie żrebaków, głośnie rżeniem ogłaszając swoje przybycie; za nimi, z długim batem, oklep na koniu, wykrzykiwał głośno chłopiec, poganiając nagiemi piętami wierzchowca.

Mała gęsiarka, — Anka, stała z podziwem, i uwielbieniem w jasno-niebieskich oczach, zapatrzona na dzielnego Walka, który tak jeszcze niedawno bawił się z nią, i »tuzął za kołtuny«.

— Tera już na mnie ani pojrzy, odmienieć!

U wrót dwie starsze kobiety oczekiwały na mężów.

— Mojego chłopca nie widać...

— Przystanęły chabany u karcmy pewniakiem, bo i mój Dumin nie wraca.

— Zeby nie dziecków żał, dawnobym ostawiła pijanicę.

— Grzych takie gadanie...

— A za cóż ja cierpię, nieboga, nie dojem,

nie dośpię, a chłop me potyra jesce, i ostatnią kieckę do żyda niesie... Kartofliska oto zgniły, człowiek nie zje, jak nie ukradnie... Oj dolaż moja dola, — i poczęła zawodzić, łzy dłonią ocierając.

Od spichrza przyleciał śpiew ostry, przeciągły:

— Uli—uuli, — u—uli...

— Takiej małpie, to śpiewać dobrze, do rządcego w gospodynie idzie.

— Nie każdej szczęście takie, — nie każdej los... Tera we wielki honor urośnie, za mąż pięknie se wyjdzie... Hej!

Obok zadzwieczał dzwonek do wieczornego udoju, całe więc życie podwórza skupiło się obok studni, przy drzwiach obory... Przyszedł zniechęcony pachciarz, dzwigając worek miedziaków na wieczorną wypłatę, za nim śpieszyła z dzieżą rodzina.

— Zamęczyta te krówska zydy, wysięta ostatnią kwaterkę z bedloka...

— Zeby ino przypuściły — zaśmiała się córka Mordkowa, dziewczyna matowo śniada, o pięknych czarnych oczach.

— Jakie to ma gały bestya, — szepnął stojący obok pan pisarz, i mrugnął w stronę dziewczyny.

— Cóż, kiej kalika, — zauważył pastuch.

— Niby jak?...

— A co to nie wie pan pisorz, ze każda żydówka to ma... — nachylił się mu do ucha.

— A—le, bo to prawda, — odpowiedział tonem głębokiego przekonania, i rzucił z umiżgiem ładnej Sarze garść piasku w oczy.

— Nieprawda co?

— Juści że nieprawda... — zapłoniła się dziewczyna.

Gwarno wieczorem było w oborze, wieść o powrocie »starej« obiegła już wieś całą, rozprowadano też szczegóły rozmaite, co chwila wzbogacane jakąś świeżą wiadomością.

— I poco to uciekała, bo to jej źle było, przecie spała do syta, jadła tłusto i słodko, ile może jedno, że przez dziecków markotno jej było?...

— Pewno z dobrawoli nie wróciła...

Pastuch przysłuchiwał się z boku, aż spytał od niechcenia:

— Bardzo ją zeprał, nie wita?

— A juści zeprał!... Po rękach ci ją całował, słodkiej wódki jej dawał, ino ją prosił, żeby nie becała, uwalił się podle na ziemi, i jak w obraz patrzy... głupi i tyła... Józka z pokojów to tam dokumentnie to wszystko rozpowiada.

— A tamta co?

— Jakie tamta? — wmieszał się pachciarz.

— Widzita mój Mordka — wół to ma długi język... Już wieta... He?

— Oj, wasz delikatny rozum, to szkoda na takie profesye od bidło, wy już w gubernię możecie iść.

Usunął się obrażony.

Ścieżką od dworu dreptała pośpiesznie pani Cytwarowska; na nią też oczekiwał pisarz, i zdaleka już słał ukłony... Podbiegła szybko ku niemu, a ocierając fartuchem twarz siłą, a świecącą od potu, mówiła zadyszana:

— Wróciła o południu; przyjechały oba... Ona oczy jak królik, on frasośliwy jakiś, wychodzi pierwszy, i, — co pan powie, bierze tę latawicę, jak świętą, na ręce, i niesie do dwora...

— Bił ją?

— Gdzie zaś! — To mówię panu szlachetny człowiek do zachwycenia, — czy może bez rozumu taki, bo mi się aż w głowie miesza... Ani razika, dobry panie, żeby ją chociaż za włosy wziął i to nie... To pan, panie Wincenty, pan szlachetny, serce złote, a czy to ona warta jego, ta zgryzota, ta, — intryga jedna, dobrześ pan powiedział... Na rękach ją nosił, powiadam panu, to dosyć...

— Dziwny człowiek, bo choć każdy szlachetność czuje i odczuwa, jabym ją za taką okoliczność pokarał na ciełe.

Wydał usta, i z zadowoleniem odsapnął.

— Ślicznie pan pisarz to wypowiedział, a mnie też dziwno to wszystko, ale nie ko-

niec. Bo miarkuję ja tu sobie nowe historie, i jak się sprawdzi z tą blandyną, co w kartach mi stała wyraźnie, — no, wtedy to ci będzie bal — ha!... Szkoda tego pana szlachetnego, bo mu wtedy biedakowi, ta zada pieprzu dopiero... Oj...

— Cóż to takiego?

— O, jaki to pan chybki, — zaraz, niechno ja sama naprzód wypatrzę. Plotków nie lubię, ale, — niechno wiem wszystko, to ja tę drugą wydrę, po całej gminie obniosę... Ano, uciekam, bo to teraz czas taki, że na wszystko trza ciągle uważać... Do widzenia... Już ja jej pokażę, z cudzym chłopem kochanie...

Z obory poczęli się rozchodzić. Krowy skubały zarzuconą na noc słomę, pastuch ziewał, i mruczał do siebie:

— A widzisz zydzie, — mądry jeźdes?

Do włodarza, mierzącego mleko, zbliżył się pachciarz, frasośliwy, zadumany, jak zawsze:

— Co pan rzadca robi?

— Juści przecie widziła — mleko mierzę...

— To uno mliko jest... Oj!... — zaśmiał się boleśnie. — Od ten kawałek zdeptane trawę, od te trochę słomy może się zrobić mliko? Oj...

O kilka kroków dalej, za węglem, szeptał pan pisarz urodziwej pachciarzównie:

— W brzezynie, na grobli, o dziewiątej, dobrze?

— Stary by mię zabił, on taki hussyt jest.

— Poco stary ma wiedzieć...

— Oj, bardzo strach...

Jeszcze chwil parę, i opustoszało podwórze folwarczne, a gdy zamilkł ostatni śpiew dójki, zaległa cisza, przerywana parsaniem koni, i beczeniem odstawionego od matki cielęcia. Zjawił się stróż nocny, zatrąbił potężnie raz i drugi, poczem, aby drogiego czasu nie tracić, zaszył się w kożuch głęboko, a przeklinając życiowe obowiązki, pozwoił unieść sennym marzeniom.

Ścieżką ku czworakom szło młode małżeństwo, on fernal, ona dwórka, — szli przytuleni do siebie, młodzi, silni, zdrowi. On pochylał się ku niej, ona podnosiła usta, i łączył ich pocałunek mocny, dźwięczny.

— A co byś ty Franek robił, żebym cię odleciała? Co byś robił, — mój ty?

— Za samo takie gadanie już warto cię w łeb grzebnąć... Głupia, — jakże ty możesz odlecieć, kiejś przysięgała...

— A pani?

— Od tego pani, a ty cichaj... Nachylno gęby tej słodkiej...

— Ino gęby, a gęby... — sprzeciwiała się kobieta.

I silny, jak dąb twardy, tulił do szerokiej

piersi to dziecko wsi i słońca, — kwiat bujny, świeży, i w nim tłukło się serce, zwyczajne chłopskie serce, zdolne jednak czuć i rozumieć to słodkie kochanie, co to i bić każe, ale i miłować wierną towarzyszkę.

Od pola wiatr niósł zapach wsi, krzepki, rzeźwiący, i chłodził rozgrzane pocałunkami twarze. Przy drodze szumiały zcicha lipy olbrzymie, a z nich, bez szelestu, jak cienie, przelatowały sowy, nad ziemią snuły się lelki złowróżbne. Po stawach rechoły żaby, a na tle ich licznych głosów odzywał się derkacz, wabiły kuropatwy, brzmiało urywane »dży — dży«, wodnika, a gdzieś daleko nastrojał się słowik na nocne śpiewy miłosne.

— Franek, na świecie je ładnie!... — tuliła się do swego.

— Oj ładnie, — mojaś ty, najładniejsza!...

Przez park suną się cicho dwie postacie, pozostawiając za sobą smugę mocnego perfum zapachu, łączącego się z delikatnym powiewem kwitnącej akacyi. Płatki białych jej kwiatów sypią się im na głowy, czepiają sukni, z zasłanej nimi ścieżki szpaleru. Z poza ciemnych grabów wysunął się księżyc olbrzymi, liście drzew srebrzy, ściele po ziemi czarne cienie idących, i błyszczą na nich białem, ostro odznaczonem światłem. Promień jego zabłysł we łzie, spływającej po twarzy kobiety,

zamigotał w pięknych oczach płomiennych, zsunął się na piersi, drżące od cichego łkania, i znowu do oczów powracał, lży blaskami pieścił.

— Ja nie chcę, pojmij, że nie mogę patrzeć na tę, której kochać cię wolno... Poco ona wróciła, dlaczego ty jeździłeś po nią? Nienawidzę jej jeszcze silniej, niż kocham ciebie... Ona mi zabiera w tobie szczęście całe, — bo ona ma prawo... Śmieszne słowo, — jak gdyby gwałt prawa mógł istnieć obok uczucia, co choć bezprawiem się nazywa, męczy mię, dławi, podsuwa myśl zbrodni nawet...

Drgnął obok niej idący.

— Nie wiesz, jak ja ciebie... jak bardzo... — szeptała dalej — i nie wiesz, jak ja... tej... żonie twojej zazdroścę... Ona cię tak kochać nie może, taka miłość jest jedna, — moja... Miłość taka zabija, lub żyć każe dla niej tylko... A ja żyć pragnę — ciebie mieć, mieć ciągle, ciebie jednego... Ja na was dwoje, razem, patrzeć nie mogę, jej życie i szczęście, to śmierć...

A, — gdybyż to śmierć, gdyby raz można wyrzec się tych marzeń, co mię tak z życiem związały. Wyrzec się, — ciebie?...

Zaniosła się łkaniem, chwytła go za ręce, a całując, tuliła do nich twarz gorącą.

— Jedź ze mną, — zostaw ją... Na rok jeden bądź moim. Za rok tego szczęścia, ja

zgodzę się na mękę najcięższą, a rozkoszą mi będzie wobec tego bólu, gdy patrzeć na nią muszę, — przy tobie... Ona cię całuje, pieści, tuli w uścisku, jak ja, i ty przecie rozumiesz jakie to straszne dla mnie, — wstrętne... Mów, — odpowiadaj, czy to pojmujesz?

— Kocham cię, ale zostawić jej samej nie mogę... Za co? Przecie to krzywda, i, — za co? Wreszcie ja nie wiem, — tracę świadomość; jesteś dla mnie całą życia radością, a żal mi biednej, tamtej... — Głos jego brzmiał dźwiękiem bezsilnej rozpacz, a ona, czepiając się rąk jego, ubrania, szeptała z mocą:

— Chcesz, ja pójdę do niej sama, obudzę ją teraz, kiedy śni pewno o tobie, i — powiem jej wszystko; z wiary w ciebie, zabiorę ostatnie złudzenie... Tak, pójdę, — ja się nie boję niczego, drwię z jej praw, i miłości, bo ja ciebie, — ciebie chcę mieć...

Osunęła się przed nim na kolana.

— Pozwól, będziemy szczęśliwi, jak nikt, nigdy. Ona zapomni, to dusza słaba, a ty jej przecie nie kochasz, kochać nie możesz, bo postępowałbyś niegodnie, zdradzając miłość moją... Pozwól, niech się skończy to brzydkie kłamstwo, ucieknijmy daleko, ja z tobą, przy tobie, do ostatniego tchnienia, które z pocałunkiem... dla ciebie... mój... mój...

Podniósł ją bezwładną, uniósł do ławki, ukrytej w kępie drzew czarnych. Zmęczona,

wyczerpana, tuląc się do jego piersi, drżała. Objął ją ręką, i cisnął do siebie.

— Tak się stanie jak zechcesz ty, bo ja kocham tylko ciebie...

Bronić się musiał przed pieszczotami jej dzikiej radości, w pocałunkach chwytając go zębami do bólu, płacz wstrząsał nią całą, a z ust leciały jęki, śmiech, słowa:

— Mój!... Ty jesteś mój!... I twoja... I jedyna...

Księżyc zasunął się na sam kraj horyzontu, przybladło niebo, gwiazdy pogasły, wiatr ciągnął nisko, nad ziemią, płatki akacyi w pagórki układał, nagle zaszumiał w ciemni starych drzew, gdzie wyniosłe klony, modrzewie, i jodły, już za chwilę, w płomiennym blasku, złociły swe szczyty. Wstawało słońce.

Usta ich piły szczęście.

Drogą sztuki.

Gdzieś u chmur samych, w pracowni, niby gniazdo dachu uczeplonej, marła z głodu, i ziębła. Z kobiecą zawziętością, drwiąc z codziennej troski, braków i niedostatku, brnęła przez życie, widząc tylko w marzeniach, dopiero u jego kresów, trochę mniej głodu, wiele, wiele pracy, i tę niezmierną radość, jaką daje wiedza zdobyta, pracowicie zbierana przez lata, pożądana przez życie, do końca. Tak zbiera skąpiec, co choć nigdy zadowolenia, że syty, że więcej nie pragnie, nie zaznał, śni o szczęściu użycia, co błyszczy mu w trosce życiowej, wciąż odpychane przez niego, bo nie czas jeszcze, nie pora.

— Uczyć się, uczyć, — szeptała dziewczyna, — a potem, potem, na starość, cel marzeń: — drogiej ziemi kawałek, słońce, las, woda, i taki mały obrazek, w którym byłaby ta miłość serdeczna, to ukochanie gorące, jakie człowiek ma w duszy, a zakląć w barwach nie może, nie umie.

Z kąta pracowni, zasnutego dymem, ponury, przerywany kaszlem, głos się odezwał:

— I dyabli wezmą uczucia, nim człowiek sztukę zrozumie. Bułki, kredyt w sklepiku, komorne zmarnują ci w duszy, co dziś żyje, gra, śpiewa. Dziś krwi radabyś z siebie utoczyć, — malować, potem rozum ci powie, farba czerwona także nie warta jest nic. A kochania te swoje zapragniesz wyrazić: gęba ci się szyderstwem wykrzywi, że uczucie chcesz z tuby wycisnąć, kiedy go niema na świecie, tylko wszystko, na handel. Głód ci dokuczy: sprzedasz ziemię na morgi, drzewo na łokcie, targować się będziesz, żeby ci więcej dali za te twoje dęby Rodziewiczówny, czy zadumane świerki Tetmajera. Potem sklepik sobie otworzysz, kraść zaczniesz, do kościoła chodzić na sumę, a ludzi oczerniać, — będziesz wtedy, jak się należy: kobieta porządna, powiedzą.

Z kąta się podniósł wielki, kudłaty. Odetchnął, i absyntem zionął.

— Uczuć, bez dobrobytu, niema na świecie. Kochanowski siedział pod lipą, pisał swoje kuplety, a gdyby go tak komornik z Czarnolasu wyrzucił, co myślisz?... Śpiewałby psalmy Dawidowe, trochę inaczej, inaczejby z Panem Bogiem rozmawiał. Ale zimno w twojej komórce; zasyp-no garstkę tych trocin z herbaty.

Dziewczyna powoli powstała, sięgnęła do szafki w ścianie ukrytej.

— Niema... Za... parę dni kupię...

— No, i kochajże ludzi, co śniadania żrą o tej porze, kochaj przyrodę, więc i ten wiatr, co ci za kołnierz się wdziera. *Bonne chance*, moje dziecko, ale ja nędzy nie lubię. Jak się oporządzisz trochę, to napisz...

Ku drzwiom się zwrócił, lecz zatrzymał chwilę, i obraz na stalugach, sękatym kijem wskazał.

— Salon? Trzeba się śpieszyć, oprawić. Poniedziałek, termin ostatni. Pejzażysko niezłe i w kolorze krzepkie, ale bez ram, i bez protekcyi, tyle warte właśnie, co puszka od herbaty, — pusta... No, *adieu* ci, goła kapłanko, chłodnych wiatrów strzegąca.

Zawinął się w pelerynę i ruszył. Ręce ku niemu wysunęła dziewczyna.

— Co ja mam robić, radźcie. Obraz ten przyjąć muszą, inaczej i tę nędzę, — stypendyum odbiorą, a ja tak chcę pracować, tak pragnę. Mówią, że mam poczucie, koloryt...

— Wszystko, oprócz gotówki. Cóż ja ci, biedo, mogę poradzić, — ramionami poruszył. — Sam nie mam co trawić, a brak tego zajęcia we wnętrzu, nie uszlachetni duszy... oj, nie... Obraz jest dobry, i mocny, ale, — cóż ci poradzę?

— Jeżeli nie przyjmą, to tyle ofiar, głodu, ciężkiego głodu... Ja sobie życie odbiorę.

— Myśl byłaby niezła, reklamowa myśl, ale przy dobrobycie. Samobójstwo z nędzy, — akademicka robota, sucha, pospolita. Jakież widoki na ramę? Ten stary z Batignolles miał podobno pożyczyc...

— Ma przyjść tu właśnie. Obiecał...

— No, a protekcja? Znasz pani kogo z jury?

— Nie, ja nikogo tu nie znam... Ja przecie już drugi tydzień tylko wodę, — mówiła szybkim, przerywanym głosem, — ja tylko wodę gorącą, z chlebem...

— No tak, do noweli to dobre, ale naszego brata, co liściami żył, póki nie uprzątnęli go do szpitala, taka nędza z wodą, ho, ho, gorącą, i chlebem, nie wzrusza... Kogóż pani zna w jury?

— Radzą mi do Leonisa, podobno wspiera młode talenty...

— Tak, młode, a zwłaszcza przystojne, i pani masz wszelkie warunki do tego poparcia, ale... — pochylił się jej do ucha, i szepnął z gorącym oddechem:

— Ale to świństwo, to, — brudne.

Odsunęła się od niego, opuściła ręce.

— Zdechnę...

— To wolę, to ma styl, tylko że, *hélas*, a po polsku, niestety, tak łatwo się nie zdy-

cha. Człowiek, mimo całego łajdactwa na świecie, coś kocha, czemś żyje, czegoś się spodziewa i, — męczy. Potem, kiedy ci wszystkie pragnienia ludzie wyszydzą, a sam spluniesz na nich, na siebie, znikczemnienie przyjdzie, i ono cię trzyma przy życiu. Hej, młoda jesteś, masz talent, Panu Bogu dziękuj, drwij z biedy, bliźniemu nie zawracaj głowy, i wierz mi, że się tak łatwo nie zdycha, moja ty biała. Nie każdego stać na to. Niel...

Ręką włosów jej dotknął.

— Pyszne masz te pakuły w kolorze, — i wyszedł, posuwając nogami.

— Psiakrew, psiakrew! — biegła dziewczyna po ciasnej pracowni, potraçała stojące przy ścianach blejtramy.

— Życie chcę, pracować. I będę, muszę... — aż wyczerpana rzuciła się na leżący w kącie materac, i głośnym płaczem zaniosła.

— Niechże pan siada.

— A tak... Właśnie... — sapał staruszek, rozglądając się po pracowni, w poszukiwaniu krzesła, gdyż na malarskim zydelku usiąść się obawiał.

— Może na kuferku pan spocznie; bardzo wygodnie. Meble do trzepania zabrali.

— A tak, do trzepania, a na kuferku, bardzo, tego, — wygodnie, a jakże, — i usiadł

zakłopotany, na staroświeckim, w blachy okutym sepecie.

— *Ça y est...* Tak, tego... Któryż to tedy obrazek, szanowna rodaczka... — chytremi oczkami po pracowni wodził.

— Ten właśnie, na stalugach: »Małżeństwo«.

— Aaaa, ten, — małżeństwo tego, aa—a... *Pas mal ça...* *Pas mal*, chociaż... No, tak... — odwrócił oczki od obrazu, i po ścianach błędził, aż znowu zagadał:

— Chociaż, jeżelibym radą, jako doświadczony, śmiał służyć, możeby lepiej coś innego. Rada z serca, życzliwa...

— Dlaczego? Koledzy bardzo to chwalą, i pomysł, i wogóle...

— Tak, tak, koledzy, i wogóle, *parfaitement*, ale właśnie temacik troszeczkę *scabreux*, temacik przykry...

Zakaszła się staruszek, i jakby zakłopotany, mówił:

— Zawsze, jak tam bywa, tak bywa, ale rodzina święta rzecz... Tak! Tutaj, na obrazku, tymczasem, żona, tego, od męża się wydiera, bo tam jakiś, *lachons le môt*, lajdak, na fujarze gra. Nie wypada, panienko; temacik za mało, tego, jakby tu powiedzieć? *Voilà*: za mało dziewiczy, przytem ludzie dorośli, i tak, *sans gêne*, na powietrzu, jakby w kąpielce, a — nie wypada polskiej dziewczicy, nie...

Zlekka, po ramieniu ją uderzył:

— O, jaka tłusciutka, malarski chlebek, he, he — pożywny, ale rodziny, świętych związków nie trzeba obrażać, nie trzeba, bo to gorczy, tego, maluczkich, a sztuka uszlachetnia ciemne masy, tłumy... Powinna, a jakże. Tak...

— Więc odmawia mi szanowny pan pomocy, a ja doprawdy nic innego nie mam, — i w oczach dziewczyny lży błysły. Ucieka ostatnia nadzieja.

— Odmawia mi pan?

— A... Nie odmawiam, niechże Bóg broni, chciałbym tylko kierunek, na kieruneczek, tego, pragnąłbym wpłynąć, żeby na przyszłość, — tak, — bo talencik jest, wcale, wcale, i kolorek, tylko że... Taka ramka, to ze dwieście franków, jak lodu, panie...

— Mówiono mi o pańskiej przychylności dla artystów, o jego zapomogach.

— I słusznie mówiono. Ostatnim groszem się zawsze podzielę, bo człowiek ma to głupie serce, na niedolę tkliwe. Tak... Ma serce.

Zastanowił się staruszek, westchnął:

— Ja obrazek kupię.

Spojrzał z uśmiechem w oczy dziewczyny. Wzruszona, chyliła się mu do ramienia.

— Panie — całe życie... Nigdy, nigdy tego dobrodziejstwa nie zapomnę; gotowa jestem do wszelkich ustępstw.

— Niema ustępstw! Nie żądam. Płacę za

ramę, i wchodzę w posiadanie obrazu, *c'est entendu*.

Radosne oczy dziewczyny zdziwienie rozwarło.

— I za tę cenę obraz przestaje być moją własnością?

— A, filutka, — a oczywiście. Przecie płacę grosz ciężki, i daję możność wystawienia, drogę do sławy toruję... A, niewdzięczna!...

— Dwa lata pracy, tyle dni głodu, tyle dni nadziei! — głos jej drżał, łamał się... — Ja... jeść nie mam co! — płaczem jęknęła.

Staruszek zakrzętał się niespokojnie, dotykał wszystkich kieszeni, wreszcie chustkę wydobyl.

— A, to niedobrze, to... to niehygienicznie, bo odżywiać się trzeba. Wy młodzi to tak: jak jest, to wydać, zmarnować, bez jutra się żyje, a jak niema, to zaraz pretensya do świata... Tak...

Poruszył się znowu, po kieszeniach szukał:

— Nie mam, oczywiście, że nie mam... *Mais, voyons, — c'est embêtant ça, —* gniewał się już, patrząc na szlochającą dziewczynę.

— *Eh bien?*

— Zgadzam się, zgadzam.

— No i rozumnie, i chwała Bogu, bo przecie żądać pani nie możesz, żebym ja grosz trwonil, rozrzucał, tego, jak młokos, panie. Da Bóg, sprzeda się obrazek, to przecie nie

bez tego, żeby tam piąty, dziesiąty, ludzki procencik, do kieszonki na szpileczki, — a jakże. Nikt na świecie nie powie, żeby ten, co krwią własną, co piersią, panie, ojczyzny bronił, żeby ten kogo ukrzywdził. O nie, koszulę ostatnią, — chcesz pani, i tę oddam.

Ramy przyniosą, słowo się rzekło, ale niechże rodaczka postara się, żeby tam w jury. był ktoś, coby popierał, inaczej nie przyjmą.

— Leonis...

— Dobra, dobra myśl. Człowiek wpływowy. Aa, — filutka, umie koło interesów chodzić. Za rok, dwa, już figurą w saloniku będzie, zapomni się wtedy o starym, zapomni, ale cóż robić, kiedy niema wdzięczności na ziemi... Ileż centymetrów rameczka?

— Dwa metry na sto dwadzieścia.

— Gmach rama, gmach, ale, mur — słowo, więc, — będzie... I do widzenia.

Jeszcze raz oczami po ścianach rzucił.

— Szkicyku jakiego niema, drobiażdżku, bo to stary lubi obrazki. Coś słonecznego, wesołego...

Głową na małe płótno wskazał, oko przy-mrużył.

— *V'là*, — coś właśnie dla mnie.

— To studium...

— Niech będzie i studium. Darowanemu koniowi, nie tego, a pamiątka zawsze...

Po obrazek sięgnął, zwinął go starannie, i wsunął w kieszeń paltota.

— Do widzenia. *Au revoir, la belle des belles.* O łapkę proszę. Mięciutka nie spracowana, he, he, a oczęta, ho, ho. Z taką rekomendacją do Leonisa nie trudno, a to znawca. *Bon courage*, moje dziecko... W czółko... Staremu to wolno...

Blade wargi wysunął, mlasnął dziewczynę w policzek.

— *Ma foi*, — smak!

Drzwi ostrożnie otworzył, wysunął się chyłkiem.

I cisza w pracowni-komórce, wiatr tylko dzwoni szybą rozbłą, a na maszynie imbryk piszczy żałośnie. Dziewczyna kruszy chleb suchy, leż na jedyną przyprawę nie zbraknie. Padają jedna po drugiej, wielkie i ciężkie, na skórki brunatne.

Lokaj, przyodziany w stylu pierwszego cesarstwa, cicho drzwi jej otworzył, zmierzył wyniosłe.

— Nie potrzebujemy modelu.

— Mam interes prywatny. Czy pan Leonis przyjmuje?

— Tak, pani.

Złotolitą brokatę odsunął, wobec cudzoziemskiego akcentu skłonił się zręcznie, drzwi do komnaty otworzył.

Przepych... Stara kaplica, blaski, witraże... Spojrzała po sobie dziewczyna, strach ją ogarnął co będzie, bo przecie tu, mieszkał ten, z którego i ona szydziła; marny tapicer, mdły portrecista, człowiek bez iskry talentu, episjer malarski. Stropił ją przepych, cofnąć się, czasu nie było, bo we drzwiach rzeźby gotyckiej, zjawił się posiwiasty pan, dumny, wspaniały.

— Czem służyć mogę? — miękim, uczonym głosem, zapytał.

Dziewczyna pochyliła się, bezwładnie opadła na fotel, wielkie oczy podniosła, usta jej drżały.

— Pani, widzę, wzruszona; nie będę natrętnym.

Cofnął się, a za chwilę lokaj, srebrny, rzeźbiony puharek z wodą, przed nią postawił, i zniknął.

— Niezdara, bieda wygłodzona, słabizna, — szeptała do siebie.

Oprzytomniała jednak po chwili, i już nawet z uśmiechem, zwróciła się do wchodzącego malarza.

— Pan mi wybaczy, ale...

— O, pani, żyjemy w wieku nerwowym, ja to rozumiem, sam podlegam chwilom słabości.

Siadł na wysokim stylowym fotelu, i patrzył chwilę na oszołomioną dziewczynę. Wybadał ją snąć dokładnie, bo pochylił się, rękę

jej opuszczoną podniósł, spojrział na nią, jak patrzy znawca na piękny odlew bronzowy, zamknął ją w białych, wypieszczonych dłoniach, i spytał:

— Cóż panią do mnie sprowadza? — a uśmiechając się, dodał: — Kłopot jakiś malarski, czy tak? Podniosła wdzięczne oczy na niego.

— Tak. Właśnie mam pracę ukończoną u siebie, włożyłam w nią wiele ofiar, nadziei, lecz nawet, — mówiła podniecona.

— Pani jest cudzoziemką?

— Tak. Polką jestem.

— Piękny, bohaterski to naród, — dłoń swoją uchylił, na rękę jej spojrział: — Rasowy...

— Zatem ma pani obraz? Proszę mówić spokojnie. Cóż on przedstawia?

Zawahała się chwilę, lecz zmogła w sobie nieśmiałość.

— Małżeństwo, symbol. Las, polana, bokami drzewa, między niemi pień chorobliwie skręcony, zmurszały, a z niego męska postać wyrasta, — postać starca. Ręce, gałęzie stylizowane, obejmują, jakby wydzierający się, a jednak z nim zrośnięty, młody, silny pęd: kobieta, — żona...

— Dobrze, świeże...

— Na dalszym planie znów drzewa. Jedno z nich to faun grający, — wabi, obok gałęzie — najady, życie i radość. W głębi słońce.

Malarz rękę jej zwolnił, zamyślił się:

— Dobrze...

Po chwili powstał, i mówił:

— Pień stary, zmurszały, — kropka nad i. Młode czy stare małżeństwo, to zawsze klęska dla uczuć, częste udręczenie dla życia, to gwałt. Czy pani sądzi, że miłość i szczęście, to tylko młodości przywilej?

— Ja nie... Ja mogę coś przemalować, gdyby pan tak uważał.

— O nie!... Szanujmy pracę, i szanujmy talent, — bo on jest w tej kompozycji. To tylko moja, taka, — poufna uwaga, poza kwestią urzędową przyjęcia, bo wszak pani do mnie z prośbą o pomoc w tej sprawie. Czy tak?

Znowu wdzięczne oczy podniosła, spojrziała na jego piękną siwą głowę, przed palącem spojrzeniem opuściła powieki.

On siedział obok i patrzył. Pan wytworny, ale zuchwały. Patrzył na nią, na młodą, świeżą, wytartą sukni nie widział, co krąsę przeczuwaną słoni, — wysnioną, rzadko piękną linię dziewiczego ciała, zdobycz dla sztuki, — dzieło nieśmiertelne.

Ona czuła ten jego wzrok, wszak tylu miała kolegów, i każdy tak na nią patrzył łakomie, oczami rozbierał. Drwiła z nich wtedy, a dziś wobec tego obcego, starego człowieka, płonie i blednie... I czuje dziewczyna, że te oczy

ogniste znów zatrzymały się na jej ramionach, już suną po piersiach zuchwale, obezwładniając, parzą nagie jej ciało, a od rąk jego białych, i chłodnych żar jakiś idzie, już oddech zaparł, szyję ogarnął, i do głowy się ciśnie, już w skronie uderzył...

— To z głodu, myśli dziewczyna, i słabnie w błogiej niemocy.

Puk! — we drzwi.

— Śniadanie! — uroczyście objawia służący.

Stary pan powstał z fotelu.

— Nie odmówi mi pani... Malarska przekąska, pomówimy o sztuce.

Rękę jej podał, miękko ramię do siebie przygarnął, i — poszli, bez szmeru, po wysokim, puszystym kobiercu.

Światło, kwiaty, srebro i kryształ. Turbot blade, liliowy, jak ciało dziewicze, bażant strojny w pióra barwiste, wino, co niepokój usuwa, i marzyć każe o szczęściu.

I śmiech, już aż dzwoni w poważnej sali Henryka; stary malarz sam dzisiaj olśniony, porywa, czaruje, a wśród blasków radości, zjawia się w głowie dziewczyny myśl szara, i smutna:

— Nie tak łatwo jest zdechnąć, moja ty biała. Nie każdego stać na to.

Ale na stole już *Chianti*, i upajające *lacrimae*, — jedyne łyżki słodkie na świetle, w misternych weneckich kieliszkach, proszą o usta

śmiejące, — a obok pan wytworny, wspaniały, miękką dłonią gładzi jej piękną głowę, jak stare złoto lśniąca, i niskim, pieściwym głosem upaja:

— Pyszne ma pani włosy w kolorze...

Dziewczynie giną w pamięci niedawne wspomnienia, pochyla głowę, jak kotka pieszczona, i — słodkie łyżki pije.

Paryż, 1907 r.

Trzy listy prababki.

Ciocia Barbara, drobna, rasowa staruszka, prześliczna z tą białą, w nioby zaczesaną głową, na tle zblakłych heliotropowych pasów stylowego fotelu, poruszyła się niecierpliwie.

— Co, ciociu? — podniosła ku niej duże, smutne oczy, siedząca obok, na niskich poduszkach blada, bezkrwista dziewczyna.

— Nic, dziecko... Nic... Czytaj dalej, ja słucham.

— »I wtedy przywarł do ust Enoe, i wgrzył się w blade, chłodne jej wargi, wzniecił w nich ogień-purpurę i — pił...«

»Pił z nich grzech — szczęście, otulony mgłą tonów liliowych ekstazy zapomnienia, pił rozkosz z darów prabóstwa, aż zadrżały usta płomienne szeptem nowej, nieznanej modlitwy, a rozelkany spazm bólu, radości...«

— Co, ciociu?

— Nic, dziecko, ja słucham...

— ...»po nich przeleciał, drgnął, zamarł w ciszy bezkresnej.

»Chwila, i Dolorski krwawy abażur uniósł z lampy przyćmionej, papierosa zapalił, spojrział w głąb duszy, skąd pełził czarny, oślizgły czerw zgrzytu i syczał:

— »Ukradłeś Serskiemu kochankę...«

— Co, ciociu?

Sucha, drżąca ręka staruszki wysunęła się niecierpliwie, zamykając czytającą książkę.

— Nic, dziecko... Dziękuję ci... Może to jest i ładne, ale mózg stary... czy ja wiem wreszcie... Nie czytaj...

— Jeszcze do rozdziału, cioteczko, tam dalej cudowny nastrój taki... Dolorski pije krew Enoe...

— A niech pije!... Bóg z nim, co mnie starej do tego?

— Ale bo ciocia nie wie, że Enoe właśnie kocha Serskiego, i dla niego zdradza tego malarza, co to jego żona z Dolorskim...

— Bój się Boga, dziewczyno! — szepce przerażona staruszka, i chwieje białą głową, i wzdycha, i grozi...

Zbudziła się z zadumy ciocia Barbara, spojrziała smutnie po zastawionej starymi sprzętami komnacie, wzrok zatrzymała na porzuconej książce czerwonej, i z koronek chustki dobytej misternie rzeźbioną tabakierkę.

— Wieczko znowu zepsute. Teraz to wszystko psuje się tak prędko... Wszystko...

Westchnienie pochyliło jej głowę, a z ust biegły ciche wyrazy:

— Kara Boska... Nic innego tylko kara... Rozpusta, Sodoma, i książki o tem piszą, jad sączą...

A »Boża czeladka«, »Złota Elżunia«, »Kołokacya«, »Garbaty«, a pani Klementyna, a Drużbacka serdeczna... śmieją się z tego dziś młodzi... »Wgryzł się w jej usta...« Boże, bądź miłościw mnie grzesznej! Drobną, zaciśniętą dłonią uderzyła w piersi. Odwróć nieszczęście, Panie miłosierny...

— I skąd to zgorszenie tak nagle się wzięło?

Myśl staruszki pracuje, i z dawnej dobrej przeszłości snuje wspomnienia, ukazuje obrazy blade, zatarte, a piękne, szlachetne, jak to, co żyje w starych portretach, gobelinach, mahoniach, i wdzięcznej ludzkiej pamięci zakłętę.

— Toć i ja byłam młoda i przez młodych kochana, — дума ciocia Barbara, — toć na trzecie pokolenie już patrzę, widziałam i złego, i dobrego wiele, ale złego człowiek się wstydił, przed ludźmi ukrywał, a dziś błąd za cnotę uważa, sławy szuka w grzechów bezwstydzie.

Trzeba ratować dziewczynę, trzeba ratować, póki jad młodej duszy nie skazi ze szczętem, nie udręczy serca, — ale jakże od tego nieszczęścia uchronić? I chwieje się biała

głowa ciocie Barbary, i pracuje mózg stary, w przeszłości szuka rady, pomocy.

— Jak to dawniej bywało, żebyż to ona wiedziała: jaki był skromny obyczaj, i myśl nieskażona, a zbożna, w sercu miłosierdzie, dusza wierząca. Dawniej, dawniej... A dzisiaj, Dolorski krew pije... Panno święta, módl się za nami!

I дума ciocia Barbara, marzy o tem, co było, aż nagle żwawo podnosi się z fotelu, i drepce w cichych ciżemkach, do gdańskiej szafy starej, kluczykami dzwoni.

Dawno się znają staruszki, nie mają dla siebie tajemnic. Gdańska mieszcza, jeszcze u jej prababki starościny służyła, młode łyzy, dziewicze westchnienia ciocie Barbary pamięta, a ona zna jej wszystkie najskrytsze tajniki, zna jej serce, — szufladę, z kunsztownym conceptem, i tam też kryje swoje najdroższe uczucia. Uczucia zawsze jasne, i świeże, w starych pamiątkach, zblakłych wstęgach, koronkach żółtych, pajęczych, w zbutwiałych papierach, w starem złocie koronnem zawarte.

I sięga ciocia Barbara drżącemi rękoma do zatajonego serca gdańskiej mieszcżanki, i dobywa z niego skarb, — sepecik, perłową masą, kością i srebrem ozdobny, i drepce radośnie do starego druha fotelu, do słońca, pod okno.

— Czytałaś ty mnie, teraz ja tobie poczy-

tam, kochanie... — śmieją się jej usta pocziwe.

Młoda krasa dawno z nich zbiegła ze łzami: toć widziało się wiele, przeboleło niejedno, a dziś, tyle radości, co wspomnień, i do nich to stare serce, i oczy, usta się śmieją.

— Teraz ja tobie poczytam, kochanie...

Małeńki kluczyk w sepeciku zadzwonił, zbudził w pozytywce dawnego mazurka, cichutko, jakby nieśmiało, zadzwiewczał melodyą. Melodyą stworzoną podówczas, gdy z obcej służby, z dalekich krajów, na ziemię ojczystą wracały resztki świetnych legionów. Wracały z melodyą radosnej nadziei, dzwon żałobny je witał... Ciocia oczy zmrużyła, i słucha, i płacze... Toć widziało się wiele, przeboleło i — przetańczyło niejedno...

Tabaczkę zażyła, jakoś żalność z duszy jej zbiegła, i jęła się ciocia Barbara listów, papierów, przenosiła je w rękach ostrożnie, z powagą, miłością, jak relikwie święte żegnając, na stoliku składała.

Przesuwają się przez jej suche, rasowe ręce, pergaminy stare, poźółkle, indygenaty, nadania z woskowymi pieczęciami na sznurach, i papiery zwykłe, — dokumenty stare, a trwałe; tak trwałe, że jakby urągające sztyderstwom nowych ludzi, co w godność dawnych rodów, spraw dawnych i rzeczy, nie

chęć uwierzyć, i drwią zawistnie, z nieodczułych przez własne serca pamiątek.

Przesuwają się z cichym szelestem zeszlę wiązanki, paczki listów, bladymi wstążkami związane. Miniatura zabłysła, a tam stary, jakby pobladły klejnocik. Przesuwają się dawne, miłości, szczęście i wiara, ale wszystko nie to, czego szuka staruszka... W końcu mały listów pakiecik, niebieską wstążką zamknięty, przed oczyma się zjawiał, i drgnęły uśmiechem usta cioci Barbary.

— Starościna Dorota, a moja prababka, — szepnęła z dumą staruszka. — Zaczna, pobożna była to pani, i jej listy, dziewczynie przeczytam, a może wtedy ją te złe, grzeszne myśli ominą, — dajże to Boże! — ale... trzeba samej w czytanie się wprawić... Dał Pan Bóg słoneczko, toć się jakoś zmoże pisane.

I znowu kluczyk w misternym zameczku zadzwonił, i dawny mazurek pożegnał ciocię Barbarę. Zgrzytnęła gdańska zrzedna starucha, skryte serce otwarła, utuliła sepecik srebrzysto perłowy.

Ciocia Barbara zsunęła z listów wstążkę wypelzłą, niebieską, i pracowicie czytania się jęła. Pismo wprawdzie wyraźne, litery wielkie, ale niezgrabne, atrament zaś wyblakł, a w załamach papieru znikł zupełnie; trudno też cioci,

więc głową kręci, okularów poprawia, wzdycha, a czyta:

Mnie wielce miłościwa podstolino dobrodziejko, a sercu memu najmilejsza pani siostró, Kunusiu ukochana!

Zawsze twoim zachceniom powolna, na pisanie z responsem śpiesząc, co mi zgoła nie idzie snadno, bo dłoń do kądzieli jeno, a różańców nawykła, dziękuję ci, ukochana, za twoje zaufane wyrazy, a smutki tak tkliwie wyrażone, że już moją stały się troską, ale i tą pociechą, że podpisanej siostry zgryzoty, żalości, w sercu zrozumienie, a w lubej twojej pamięci, ukontentowanie znajdują.

A zgryzot owych pono więcej, a więcej, i tak wiele, że biedna, ukrzywdzona, w żałośliwym momencie tęsknę myśli ku przeszłości zwracam, kiedy to zgoła we wszystkim jakoś lepiej bywało, a co najważniejsze, że w białogłowskim stanie naszym, o dzisiejszej obyczajów lekkości, pustocie, a Bożej obrazie i słyhu nie było, jako, że każda jejmościanka czyli też godna matrona, strzegąc w bojaźni swojej duszy leliowej, we wdzięcznej jeno melankolii, tkliwości serdecznej, a modlitwach trwała.

Inne dziś czasy, Kunusiu najmilejsza, aże serce krwią spływa, a oczy łzami zachodzą, gdy spojrzysz po dziewczkach dzisiejszych, co, ledwo z pąka wychynąwszy, już-ci w obrazie

Boskiej żywią, czas jeno na oczu zawracaniu trawiąc. A dziewczka takowa, tyle tylko ma w pomyśleniu, jakby to wyżej letnika ukasać, a zalotnikom nieskromne widoki prezentować, jakby wabnem słówkiem gaszka przymanić, rozkosze hymenu obiecować anielskie, a potem już w małżeńskiej alkwie, krogulcze ukazać pazury. A pojrzyj jeno potem, pani siostró kochana, jak to wnet idą bale, maskary, *theatrum*, kuligi, więc oczywiście i szaty bogate, bławaty, hałas, koftery, precyoza cenne, wonne olejki, mydła weneckie, spikomardy, rumidła, wielorakie dyabelskie wymysły zamorskie, miasto statku, starania o męża, roboty, bo owe, już jejmość całkiem z serca, pamięci wyjęła.

A potem już i rączki sekretne ściśnienie, trzewiczków deptanie, już i kartelusz wonny a słodki, za nim pultynek, a w nim manelki ozdobne czyli zausznice, potem znowu przez pannę szatną pisemka skryte, schadzki w gaiku, spacer po reducie, aż w końcu, gdy cały świat się już znudzi owym romansem, pan mąż wtedy, jako tur srodze rogaty, głupią głowę z szerci oblaźł, skrobie, żałośliwie jęczy:

»Kto piękną, bez cnót, wziął oblubienicę,
»Dla cudzych wróbli ten posiał pszenicę«.

Żaś owych wróbli mnogość, okrutna i na gładkość łasych, toć wiem i sama, bo mi się

casus niejeden przydarzył, jeno, że zawsze obyczaj skromny, a cnoty umiłowanie od grzesznej konfidencyi mię strzegły, czego i tobie, najmilejsza, życzę; wezwaniu zaś posłuszna, bez zatajenia szczerze, historię bolesnej przygody żywota mego, od przyszłego pisania już pocznę. Pomiarkujesz wtedy łącno, Kunusiu najmilejsza, że za nic są twoje zgryzoty przy tak ciężkich życia mojego opresyach, a osobliwie wtedy, gdy dzisiejsze pokolenie, błędami skalane, niegodnych szuka afektów, i wizerunek młodości bezgrzesznej, wszelki przykład cnót rozlicznych, waży sobie lekce.

Na intencję strapień twoich odwrócenia, dziś z kapłanem odprawię modlitwy a w siostrzanych sentymentach najtkliwsza, z całuskami, pozdrowienie ci śle, Boskiej Opiece, poleca, siostra twoja, i sługa powolna

Dorota.

Westchnęła ciocia Barbara, złożyła pismo starannie, potem niosąc szczyptę tabaczki, zamysliła się chwilę:

— Tak, tak, — i dawniej grzechy bywały, ale...

Sięgnęła po list drugi staruszka.

Kunusiu, siostro ukochana!

Jak pomnisz pewno przed naszym rozstaniem, to już dziewczuszką małą, o ślubach na Chwałę Bożą marzyłam gorąco, do klasztoru miałam inklinacye szczerze. Ostały one i na

później trwale, ale je za protekcyą Króla Imci, paż jego, potem kasztelanic, z myśli rugował, czem mię w srogiej aprehensyi pogrążył, bo choć mi życie ozdobnem uczynił, toć nie był mocen, choć gładki, i posesyonat, dać tego ukontentowania, jakie umiłowanie czystości doczesnej, na służbie Bożej sprawia. Toć miarkujesz, Kunusiu...

Po śmierci kasztelanica, bo tak Pan mię doświadczył, służby nikczemne znowu klasztorowi ofiarować miałam zamysły, ale i tutaj niezwykłą napotkałam przeszkodę, jako, że na pobożnej stanął mi drodze podczażyc, i sam już starosta, zadzierzysty, choć i leciwy, przystojnego kształtu kawaler, i ten o rękę deklarował się moją. Bóg widno nie chciał służki mizernej, bo pan starosta o miłości pięknie tak prawił... Hej!

Gołębiem mu byłam, siostrzyczką rzewną, on mię też miłował, jako rozumiał, i toć go nie winię, że był całę anielskiej kompleksyi, a melankolii zgoła nieziemskiej, w tkliwszym sentymencie. Zaszłym plotkom, poduszczeniom ludzkim wiary, ni ucha nie dawał, i folgę miałam od niego w praktykach pobożnych, i każdej okazyi zupełną, jeno później, dobrze już letni, począł miłować zazdrośnie, i razu pewnego, gdy postrzegł Francuza Armanda, gdy ów w ciszy alkowy, w czułych pieśniach

perfekcyonując, na puzoniku mi wdzięcznie wygrywał, — padł nagłą śmiercią porażon.

Litanią po dziś dzień odmawiam za niego, a wtedy oplakawszy go należycie, we wdowieńskich już szatach, dokonać żywota umyślałam tam, dokąd wiodła miłość serdeczna: w klasztorne zaciśnięcie, zdala od uciech światowych, i grzesznych terminów.

Bóg nie chciał, bo w tych moich intencjach napotkałam impedyment znowu: chytry wąż, kusiciel, nieopatrzna w małżeńskie pęta usidlił, i po roku, a niedzielach sześciu, stanęłam na ślubnym kobiercu, splakana, bojaźliwa, ze sromu niewieściego drżąca, obok dragonii poręcznika, — Imię pana Pukałły.

Oj pukał ci po mnie ów Pukałło, bo człek był nieludzki, na słabość białogłowską zgoła nieczuły, i złem słowem dokuczał, i harapem często. Krótko mówiąc, by ci serca nie ranić, Kunusiu najmilejsza, umyślił on sobie, że ów Włoszysko, dla pięknej gry skrzypcowej przeziemnie we dworze trzymany, pachół mizerny, tyle, że czarny, a w amorach zajadły okrutnie, na zdradzie mu stoi, że niby za mną ognistemi wodzi oczyma. Ano, Bóg dobry złego człeka pokarał, bo też mu się zmarło po jakowejś chorobie, co dziwnym trafunkiem, także przy tkliwej muzyce go zesła. Niechże nieziemskich instrumentów muzyki, dziś, w bez-

pieczności, słucha, i niechaj mu krzywdy moje, na Sądzie liczone nie będą.

Gdy zachorzał ów Pukałło sierzdysty, by długo nie cierpiał, wnet go pieczy medyków oddałam, a między nimi to pomnę, był fizyk znamienity, a choć plugawy traktował proceder, rezolut wielki, i zgoła szlacheckiej fantazyi kawaler, jak się okazało, i nieraz, bo i mnie, gdym z wdowieńskiej zasłabła żalości, kurował całę pomyślnie.

Włoszysko zaś, jeśliś wiedzieć ciekawa, tak się uląkł tej śmierci, że nawet prośby moje, jako w gospodarstwie, że dosyć ruchawy parobek, mógł być samotnej wdowie pomocny, za nic sobie ważył, jeno z tkliwości włoskiego serca, maneł moje perłowe, szmelcem napuszczane, dla ukontentowania pamięci zabrał, skrzypce ze smykem, przyczynę nie-szczęścia, ostawił, i w świat poszedł, na drogę, odemnie sto złotych czerwonych wymańszy.

Ostałam znowu, jako ten palec samotna, i, — jał się wtedy szatan, bezpiecznie biednej duszy mojej, złymi podszeptami kusił, tego, a owego wskazując, a temci łatwiej mu się zdało, że w leciech, na 45-ty mi szło, byłam w samej niewieściej urody kwitnieniu. Tedy krwie gorącej, hamując zapęły, w srogiej drżałam trwodze, zali mi zły duch, w sobie zadufany, a mdłości grzesznej świadomy, wy-

myślnej jakiej nie podsunie okazji. Takowej okazji, Kunusiu najmiłsza, w której wąta białogłowa, aże pisać wstyd, — nie zdzierży, jeno jak ta synogarliczka, w ostrych szponach kobuza, zda się na łaskę okrutnego przesładowcy.

Tak tedy widzisz, Kunusiu, siostró uko-chana, w jakiej to byłam turbacyi, a jednak dawny, dobry obyczaj, przyrodzona modestya uskromiły myśl płochą, a może i za dużo nieszczęść w życiu się zbiegło (co ci już z pisanja mego wymiarkować nie trudno), aby coś grzeszne, choćaby i słodkie, w pomyśle nie się wkradło, myśl, czystości oddaną, gwoli czarnej uciechy, zbrukało.

Z Imć kapelanem dnia każdego pomocne praktyki na twoją odprawiamy intencyą, przeto tak myślę, że w losach pani siostry pomyślne zaszyły odmiany, udręka zdradzonych sentymentów precz poszła, o czem wdzięcznych wiadomości czeka, boleściwem sercem oddana

Dorota.

Ciocia Barbara okulary przetarła i, — oczy. Rozwinęła list trzeci:

Jakoż i nieszczęście się stało, a wynikło za sprawą niezmierniej czułości mojej, bo oto, jak owa ptaszka potulna, czując się w mocy drapieżcy, wyjąknęłam na poły z płaczem obietnicę spotkania, w altanie, gdzie siostrzan mój, młode, grzechów nieświadome chłopię,

oczekiwać miało. Opiekunką mu byłam tkliwą, ciotką miłującą, poszłam tedy, bo miarkując, że serce w chłopaku się budzi, ustrzedz go chciałam, by w pazurach zalotnicy jakowej w pierwszej swej krasie młodzieńczej nie był umęczon.

I poszłam, — a zdało mi się, że ziemia pod stopami gorze.

Zrazu czas na miłej nam schodził pogwarce, aż gdy miesiąc zaszedł za chmury, jako grzechy czarne, i skryła się lubej jasności opieka, ów z detonacyi mojej widocznie skorzystał; chytry jak wąż zrazu po rękach pocałunkami się ślizgał, a potem zdrajca, bezbożnik ciemnością ośmielon, ciotkę srodze pohubił... Kunusiu najmilejsza, — przy uchu pocałował gorącemi usty. Wtedy dopiero miesiąc-niecznota, z poza chmury wystąpił, i wtedy na spłonionej twarzy owe krwawe piętno wstydu postrzegła, jako że lustro miałam szczęśliwie w puzderku.

Ten ci był grzech najsroższy, pani siostró miła: przywarł on i splamił bieluchną sukienkę żywota, i choć potem paniczowi dałam wstręt należyty, gdy fortelu szukał, aby modestyą moją na szwanki wystawić, to jednak zawsze na owe wspomnienie, wstydu szkarłatny lica mi palą, od czego tylko larendogra z serwatką pomocne *remedium*.

Gdy mię już pierwsza konfuzya odeszła,

admonicyi dać mu nie zaniedbałam, poczem, gdy skruczę okazał, chadzaliśmy, i nieraz, letnią nocką po sadzie, gdzie szpaler grabowy wielkiej był piękności, — tak przy chłopięciu utulona, na wdzięk przyrody zawsze czuła, z lubością patrzałam na perspektywę jego, spowitą jakby w koronkę srebrzystą listków maluchnych, co z blasków miesiąca ową jasność brały, i ścieląc się cieniem na szerokiej drodze, jakby śniły w słodkim spokoju.

W spokoju, — nie jako wdowie serce moje, co trzepotało się wtedy trwożliwie, zda się rade z piersi wyskoczyć z wielkiej alteracyi, a upałów nadmiernych, jakie tak poufna komitywa, przy blaskach miesiąca, i pieniu słowiczków, obok kawalera, i tak foremego, samotnej wdowie sprawiać musiała. Mój pazik, Hijacynt, bo takem sobie go już mile przezwała, temci okrutniejszą mi sprawiał dywersyą, jako że o amorach piękną mową mógł prawić, w przekwinty, a misterne rzeczenia zdobną, przytem strzeliste słał mi wejścia i pod figurą wiele miłośnej obiecywał słodczy. Ja zaś, jako obyczaj każe, buzię w ciup, a rączki w małdrzyk złożywszy, symulowałam małe w owych sprawach pojęcie, lecz słuchałam pilnie, popłakując, wzdychając rzewliwie, a trwoźnie, że już, już, owa minuta jasyru dla serca nadchodzi, której nie oddała ani włosienica, pięć razy w tygodniu

noszona, ni umartwienia, ni chłosta, bo tak jest zawziętą moc szatańskiej pokusy, a mierzna serca niewieściego słabość...

Jakoż i źle się stało owego wieczoru, w dzień Mamerta Biskupa.

Mgła wstała gęsta, od rana deszcz prószył, i nijako było wdzięczną odprawiać promenadę. Hijacynt w komnacie mojej wdowieńskiej się zjawił, niezwykle strojnie przybrany, aże luna biła od chłopca. Bo to i smukły a rośły, i w miarę czarniawy, łeb podgolony, wąs w górę się jeży, a pod nim białe zębiska, a wokół malinowe usta się śmieją... Taka, pani siostró, pokusa!...

A kontusz na nim grodeturowy niebieski, pupkami sobolowemi podbity i żupan białoperłowy. Pas z armezynu, szeroki, rozłożysty, obok szerpenty, na niej dłoń męska, wsparta do boku i kołpak z kitą wysoką. Skłonił się dwornie, jak to on umiał, i z komplementem wymyślnym ku ręce mojej sunął. Dałam mu ją do ucałowania drżącą i snadź to uczuł niecnota, bo ustami do niej przywarł, jako trzmiel do miodu, łakomie, a mnie, — aż zamróz za łopatki chycił, a potem gorącość na głę na jagody zbiegła.

Ledwom przysła do się, a niewieścią detonacją otrząchnąwszy nieco, w pomiarkowaniu pojrzałam po sobie i rada, że i ja na ów dzień ważny, jak mi coś wewnątrznie mó-

wiło, przyodziałam się całe przystojnie, a po wdowiemu skromnie.

Więc kontusik kuni z pasamonem srebrnym w kratę, a przy nim binda, cudnie z tęgiego bławatu pleciona, zarękawki złotem weneckiem nitkowane, zaponki włoskie, także zawieszenie u szyi, a zawicie z agażantem kunsztowne. Na nogach miałam trzewiczki maluchne, z kurdybanu szkarłatnego, a nad nimi, jako że inderaka, z pustoty ugięłam, biała pończoszka, wabnie, niby słonko z za chmury, brzeżkiem, wyzierała.

Staął tedy śmiały panicz, odębiały nieco, bo choć moją extra-ordynaryjną wielbił urodę, to w krasie jej nie znał takowej, rychło się jednak odzyskał i przysiadł do mnie, a za rękę biorąc, nad pojęcie, dwornie, a słodko, o miłości pieściwym głosem, jął prawić... Prawił rzewliwie, pokornie, to znowu zuchwale, a ku mnie ciągle się garnął, jak gdyby gorzał, tak oddechem palił. Chwila po chwili, już całkiem uczułam się słabą, powolną, jakoweś łaskotanie po ciele mi biegło, upał bił w skronie, jak na trwogę dzwonił, a ów ladaco głowę swą ku mnie chylił... a chylił... Aż nagle ciemność przed oczyma zaległa, poratunku wzywać już chciałam, ale coś w usta się wżarło, siwe źrenice zabłysły nademną...

— Boże bądź miłościw mnie grzesznej! —
jęknęła ciocia Barbara.

Zżółkła karta papieru z rąk jej wypadła, i długo biała głowa staruszki chwiała się smutnie, na tle zblakłych pasów stylowego fotelu.

Paryż, 1904.

Chleb swojski.

Co ja z tobą pocznę, nicponiu? Płaciłem, od gęby odejmując, za samą stancję 180 talarów, a gdzie wpis, książki, mundury?... I co za to? Wyrzucili gałgana i spadł mi na kark, z deszczem na żniwa... Co teraz będzie?...

— Ja tatce będę pomagać w gospodarstwie...

— Tak, w gospodarstwie!... Naturalnie, — jak który głupi, to do gospodarstwa... Minęły te dobre czasy, teraz i mądry kapoty nie ma całej... Do gospodarstwa, a jakże... Zjesz nas z kretelem...

Tak mówił stary szlachcic, doskonały typ takiego właśnie »trzeciego syna«, któremu kiedyś ojciec pracę przy roli przeznaczył, z tą wiarą, że byle ziemi, po chłopsku, trzymał się pazurami, choć i mądry niebardzo, — nie zginie...

Syn, — piętnastoletni chłopak, z krótko ostrzyżoną, ale nieporządknie utrzymaną płową

czupryną, z wypukłemi niebieskimi oczyma, bez wyrazu, stał zapłakany, gniotąc w dużych, czerwonych rękach, uczniowską czapkę. Mówił z trudnością, połykał łzy, i pociągał nosem, przy bezowocnem poszukiwaniu chustki. Czarna, wytarta bluzka, popękany pasek, dziurawe, krótkie majtki, i powykręcane buty świadczyły, że ten cały skromny przyodziewek płowiął niejedno lato, mókł w niejedną jesień, i przetrwał wiele chwil zaburzenia, i wojen domowych klasy IV — tej przełomowej klasy, w której tak wielu wyrzeka się ambicyi dalszej nauki, i jedzie w świat walczyć pustą głową, aby zaspokoić, choć w części, despotyczne żądania również pustego żołądka.

Po smutnym szkolnym wypadku, zjawił się Józio niespodziewanie w małym dworku rodziców, ubogim, zaniedbanym, lecz pamiętającym te czasy, kiedy taka zagroda, za województwo starczyła. Dziedzic fortuny przyszedł z Poznania piechotą, zaopatrzony tylko w plagi na drogę. Krzyknął im »veto«, i, — drapnął, jak to się wreszcie możniejszym zdarzało... Wypląkał żal i ból w matczyną spódnice, dostał od ojca ciągi pod wytarte majtki, i teraz stoi przed nim, rozczzerwieniony, nabrzmiały od płaczu, mały, chudy, wobec groźnego pytania: »co będzie teraz?« — Czy on wie, co będzie? — nie zdaje sobie sprawy za co go biją, i dla czego każą się nad przyszłością zastanawiać,

kiedy on nic nie winien, bo wiedzą przecie wszyscy, że został wypędzony »przez niesprawiedliwość«.

— Gadał jak to było, tylko prawdę, błaznie, mów... Może się jeszcze co poradzi...

Chłopiec przełknął łzy, a miętosząc czapkę, zaczął mówić szybko:

— A to, proszę tatki, było tak, że u nas najmocniejszy to jest Gimpel, potem zaraz idzie Kempelski, a potem ja... Więc ten Gimpel, kiedy była kaligrafia, nie dał mi stalki, choć przegrał dwie napoleonki; tak ja jemu mówię: ty szwabie, co przecie nie jest nic złego, ale on mię zaraz kopnął pod ławką, a potem na dużą pauzę zaczął bić... Kempelski mówi wtedy: nie daj się kartoflarzowi! — tak ja się tyż nie dałem, i on dostał, choć niby mocniejszy, co wszyscy widzieli, więc mogą powiedzieć, a potem nawet sam Gimpel mówił, że się nie spodziewał...

— No! Dalej...

— Więc dalej było wszystko dobrze, nawet mu krew z nosa leciała, i potem pogodziliśmy się, tylko ten lizuch Fischer, co to się dawniej nazywał Rybak, był właśnie dyżurny, i naskarżył i o szwabie i wszystkim, tak że zaraz Herr Koenig już wiedział, i kazał mi się zostać... Ja się znowu nie mogłem zostać, bo stara... bo pani mówiła, że kto w kozie siedzi w sobotę, to nie dostanie

kawy w niedzielę, a właśnie była sobota... Więc myślę sobie: lepiej pojutrze, a sam idę do domu, ale bez torby, żeby myśleli, że ja tylko na dwór, a właśnie w torbie miałem jedną książkę, co to się kończy:

»A lud miejsce srogiej pamiątki,
Psiem Polem, dla wstrętu nazywa...«

Herr Koenig torbę znalazł i książkę zaraz złapał, i zaraz mówił: »herausschmeissen«, a jak przyszedłem w poniedziałek rano, to powiada: »Machen sie, dass sie fortkommen«, tak ja już zaraz wiedziałem, że to znaczy wypędka... A potem mię pan bił, potem pani, a nawet ta stara kwoka, jej ciotka, to mię za uszy targała: ty, ośle, powiada, aż mam znaki, więc myślałem, że mam iść, więc poszedłem do mamusi i do tatki. A mamusia to tyż płakała ze mną, bo przecie sama mi zawsze kazała czytać tę książkę, więc ja myślę, że wypędka, że... że taka rzecz... niesprawiedli-iwa...

Chłopak się rozplakał szczerze, serdecznie, a stary czuprynę tarł, wzdychał, jak gdyby łagodniał; rzekł jednak surowo:

— Sprawiedliwa — niesprawiedliwa, ale co będzie teraz? Na karku nam siedzieć nie możesz, bo nas i bez ciebie, do miski zadużo, a tu tylko patrzeć, aż nas Niemcy ausrotują, i do Korony, na marną ziemię, — na dzier-

zawę, trzeba będzie... Do roboty musisz-ci jakiej...

— Ale, ja do szewca nie chcę...

— Pójdiesz do hycła, jak każe, a teraz zmykaj...

Chłopiec zniknął, i za chwilę już klęczał, łkając, u stóp tej jedynej w złej doli opiekunki, którą kochają źli i dobrzy; bez niej cieszą się niekiedy, a płaczą z nią zawsze...

— Mamusiu, przecie niesprawiedliwie...

— Tak, tak, ale nie płacz, biedaku...

A samej łzy duże, ciężkie, te łzy, co nigdy nie kłamią, padały, raz po raz, na chłopca jasną czuprynę.

Przesuwała po niej białą ręką, a trwożny szept drżał na jej ustach:

— I co z ciebie teraz będzie, mój ty biedny chłopaku?...

Wieczorem zeszli się codzienni goście małego dworku: zjawił się ksiądz i dwaj sąsiedzi. Po omówieniu wypadków z kroniki bieżącej, po wyrażeniu poglądów na sprawy polityczne, po zapewnieniu się wzajemnem: ziemi Niemcom nie damy, — zaprojektowano, jak zwykle, »pulkę«; dziś jednak gospodarz, zgnębiony wypadkiem syna, ponury był, i smutny, do zabawy nie czuł się usposobionym. Uproszony przez przyjaciół, zwierzył się z troski, i zwrócił do nich pytająco:

— Co ja z tym gałganem zrobię?

Gałgan stał w kącie i płakał...

Ksiądz trzepnął kartami, westchnął, dzwignął swą szeroką, ciemną postać z fotelu, a kładąc na opuszczonej głowie chłopca tłąstą, białą rękę, począł mówić powolnym głosem:

— To źle, moje dziecko, to bardzo źle... Nauka, — to dziś wielka siła, do niej każdy się garnie: i możny i ubogi, a choć ona słabej głowie na szkodę się obraca, — świętej wiary zapomnienie sprawia, toć jednak uczyć się trzeba, i czerpać z nauki, co daje dobrego.

— Ja to już gdzieś słyszałem, — myślał chłopiec, patrząc dużemi, jasnymi oczami, w pogodną twarz księdza.

— A jak tam, kochanku, z religią?... Uczyłeś się?

— Ja, proszę pana... proszę księdza, miałem zawsze z religii »sehr gut«.

— To dobrze, moje dziecko, to bardzo dobrze; bez wiedzy żyć można, bez wiary — trudno... Jedna wiara daje trwałą radość w życiu...

Chłopiec pochylił się do ręki księdza, rozmyślając, co właściwie jest złe, a co dobre... Najgorsze jest to, że go wydalono, i nie przykrzejszego go spotkać nie mogło, choćby miał tylko »ziemlich« z religii.

— Idź, kochanku, pomódl się; Bóg dobry,

może cię natchnie myślą szczęśliwą, a my z ojcem coś poradzimy.

— Pan Bóg się takim niezdara nie będzie zajmował, — i dodał stary po chwili, — bo nawet i księdza na asekuracyą nie natchnął, tylko piorunem grzmotnął w stodołę...

— A, — nie bluźnij, panie Marcinie, — biorąc go pod rękę, ksiądz uspokajał. — Chłopca gdzieś oddać do pracy, byle nie tu, między wrogów, i nie w Galicyi, bo nędza. Do Królestwa z nim trzeba, tam Łódź, miasto bogate, ludzie zamożni. Z dobrego domu dziecko chętnie niejeden zabierze, pracy nauczy, i może jeszcze to wszystko na pożytek się obróci. Doktorzy, inżynierzy, dziś z głodu mrą, a człowiek praktyczny, fachowy, idzie daleko...

— Praktyka grunt... — mruknął sąsiad z »Piasków«.

— Tak; grunt ci zabrała praktyka, — zaśmiał się złośliwie pan Piotr z »Nędzy«.

— Myślałem ci ja i o tem, — mówił zachęcony pan Marcin... — Myślałem... Znam nawet paru fabrykantów w tej Łodzi, koledzy szkolni przecie. Tępe to były osły, ale przecie są i niezli ludziska. Ano pojedą, może co zrobię.

— Jedź, jedź, Marcinku; chłopiec uschnie, zapłacze się tutaj... — szepnęła matka.

Radzono jeszcze i każdy z obecnych przypominał jakiś wypadek, kiedy to młodzian

dobrze pokierowany, dochodził do pieniędzy, — ba, do milionów nawet.

Niedaleko szukając, Wacio Gurynowski z »Dołków«, nic nie miał, nic nie umiał, do aktorstwa już się z nędzy brał, to dosyć powiedzieć, ale gdy do tej Łodzi pojechał, na loteryi wygrał, dziś pan, — trafikę na siebie otworzył. Hej, a ilu to takich, co to zdechłaczek, ni z pierza, ni z mięsa, a upodoba go sobie panna krociowa, jakiegoś ci tam nastroju dopatrz. Pełno dziś takich, kołowatych a posażnych, na świecie, od czasu jak te nowe książki piszą.

— Młoda Polska, tfu, na psa urok... — zgrzytnął pan Piotr, i potoczyła się dalej rozmowa, a w jej następstwie goście doszli do wniosku, jako że nawet dobrze się stało, iż chłopca ze szkół wydalono. Do czego by on doszedł w Poznaniu, choćby i skończył? Bieda i, — bieda! Fach w garści, panie dobrodzieju, to rzecz! Chłopak sprytny, nieźle mu z oczów patrzy, przytem krew dobra, — pieniądze zrobi. Zobaczyciel!...

Uradzono dzień wyjazdu, powrotu, a potem:

— Możeby chociaż od trzystu pulkę... — ksiądz białe ręce zatarł.

— Po szóście, jak zawsze... — trzepnął kartami gospodarz, i już po chwili:

— Siedem pików, — wist, pas... — Proszę odkryć.

— Co za rozkłady! Jest goła dama, a wstyd dobrodziej, bez jednej...

Dobrej myśli, pobłogosławiony przez zapłakaną żonę, ruszył pan Marcin, o świcie, do kolejowej stacji. Syna zabrał ze sobą, boć przecie pokazać go trzeba, i uczył przez drogę, jak się zachować należy, żeby ojcu wstydu nie zrobić, a zyskać sobie przychyłność przyszłego chlebobdawcy.

Chłopiec słuchał ogłupiały, nie zdając sobie sprawy dokąd jedzie i po co. Silne wrażenie dni ostatnich sprowadzały mu przykre wspomnienia, a z niemi łyż, cisnące się wbrew woli.

— Czego beczysz mazgaju?

— Strasznie mi czegoś przykro, tatusiu.

Po przyjeździe do Łodzi, zapomniał jednak o trosce, poddając się całkowicie nowym uczuciom, które błyskawicznie ogarniały mózg młody, wrażliwy. Rozglądał się uważnie, zastanawiał, pytał... Dziwiły go wielkie budynki, a przy nich małe zaniedbane domki, zdumiewało niegrzeczne zachowanie spieszących, jak nigdzie, przechodniów, niepokoił gwar mowy niemieckiej, i brutalny szwargot żydowski.

— Tatusiu, czy to tylko żydy, i niemcy mieszkają w Koronie? — spytał zdziwiony.

— Gdzie ich niema mój synu! — westchnął stary. — Są tu i Polacy, ale i ci po niemiecku gadają.

— Dlaczego tatusiu?

— Bo u Niemców służą.

— To i po żydowsku mówią, proszę tatki.

— Jeszcze nie...

— Ale się nauczą?...

— Nie nudź mnie, ośle!... A wreszcie, — dodał stary po chwili, — toć żydzi bliżsi sercu naszemu. Przetrwalo się i przebolało razem niejedno, i w złej i dobrej doli na tej ziemi razem się było, a szczerzej pocziwości zaznał od nich brat-szlachcic podówczas, kiedy inni mieli dla nas tylko nienawiść i zdradę.

Podniecony był stary, przytem gniewny, że go znikąd dźwięk polskiej mowy nie dochodził. Gorzej tu jeszcze, niż u nas, myślał, dziwił się, a zżymał, boć pamiętał przecie tę Łódź dawną, rzemieślniczą, bez wyniosłych kominów, i bogatych fabryk, Łódź nędzną, ubogą, lecz polską, czego dziś śladu nie zastał, gdy nowe, a cudze bogactwo dawnego jej ducha zniszczyło. Rzucił się stary, i spluwał raz po raz, gdy nagle uszu jego dobiegło głośnie, przykre:

— *Morgen, Herr Müller!*

— *Morgen, Herr Slotopolski!*

— Tfy, naród plugawy!... — wszędzie oni

ci sami... — począł się ciskać i krzyczeć, aż jakiś zimny głos zabrzmiał mu nad uchem:

— Ej, pan, nie szumi!

— Jeszcze lepiej, z deszczyska pod rynną... — i pociągając syna, ruszył w boczną ulicę.

— Ojczyzna, — psiakrew!

— Józio rozglądał się ciągle, a dziecinny mózg jego pracował, nie mogąc rozwiązać pytania: czem się to dzieje, że na tej ziemi, co wychowała tylu wielkich bohaterów, i spłynęła tyle razy krwią, w obronie praw swoich, — na tej ziemi, dziś tak, jakby z dawnej potęgi ducha, i mocy samego narodu, nie zostało nawet tyle szczątków miłości własnej, aby ich wystarczyło na odwagę używania własnego języka we własnym kraju? Co za dziwna słabość ogarnęła tych ludzi, co pracując na cudzy dostatek, płaszczyć się jeszcze muszą, przed przybyszami?

Słaby o tem nie myślał, bo wiedział, że ta słabość okrutna nazywa się znikczemnieniem, i dźwignąć się z niej, tak trudno, jak trudno wyrzec się rubla, który tu jedyny ideał człowieka stanowi. Wobec jego potężnej siły, niema rodziny, szczerých uczuć, zapału i wiary, on zbrukany, zmięty, a silny zdusił to wszystko, co w duszy ludzkiej zakwita. W tej duszy rubel, — jest sam, jego zdobycie stanowi jedyny cel ludzi, co wierzą, że wszystko o czem

głowa zamarzy, czego serce zapragnie, — wszystko to, kupić dziś można. A kupić najtaniej, żeby potem coś zyskać, bo szczęście nie w posiadaniu, użyciu, się mieści, ale w przyszłej korzyści.

Rozglądał się stary ponuro, snując dawne wspomnienia, obok przykrych wrażeń dzisiejszych: — Na psy idziemy, — my, cośmy od morza do morza... Hej... Na psy idziemy... — mruczał do siebie i znowu o Poznaniu dumiał, o nowym ćwierć miliardzie, o cesarskim zamku: Czy aby wytrwają nasi? Z niemiłych rozmyślań zbudził go głos syna:

— Tatku, a które szwabę są gorsze, nasze, — czy łódzkie?

— Niemiec wszędzie jest zły, gdzie siłę swoją odczuwa. U nas jest niby u siebie, więc gnębi; tu wyrósł na pracy cudzej, zdobył bogactwo, więc silny... Daj mi pokój i myśl lepiej o sobie.

Po przybyciu do hotelu, chłopiec już w nim pozostał, a pan Marcin pospieszył »rozpytać się«, powołując do rady dawnych znajomych, ludzi światłych, i ze stosunkami.

Ten i ów przy butelce wina, w Polskim hotelu, dodał mu otuchy, i zapewnił, że wszystko dobrze będzie, a chłopak wyjdzie na ludzi.

— Bo to, dziedzicu dobrodzieju, u nas w Łodzi, byle głowa na karku, — nie zginiesz. Nie tu, to tu, pracować można, a dobrze tra-

fić, dorobić się, potem coś na siebie, i — mająteczek jest. Byle nie pić, ze zdaniem się nie wrywać, jak się trafi łajdactwo, — zmilczeć, to chleba dla wszystkich wystarczy... Dziedzica dobrodzieja, zdrowie!

— Że to nie samym chlebem człowiek żyje, możebyśmy jeszcze jedną, — tego — zwrócił się pan Marcin do kompanii.

— Ano dobrze, za zdrowie i pomyślność przyszłej fabryczki.

— Za zdrowie i fabryczkę, tycią, maluchną, dobrzy, kochani panowie, złoci ludziska! — belkotał stary, całując się ze wszystkimi. Za fabryczkę, mówicie, no to jeszcze jedną, — tego, — na zapas.

Dobre twoje, dobre i moje, więc, poszło, — kolejką. Fabryczka rosła, olbrzymiała, aż o zmroku, pan Marcin akcyjnym towarzystwem już rządził...

Dnia tego wszelkich starań zaniechał, lecz po przespaniu się, wczesnym rankiem, świeżo ogolony, w czarnym surducie, mruczał na syna:

— Śpij, śpij, niech tam ojciec sobie lata. Jak się czego dorobisz, to dla siebie, staremu nie dasz, nie bój się...

— Lepiej go zostawić... — myślał, — oberwany... Bogaci ludzie nie lubią, kiedy im bieda w oczy lezie. Co mam zrobić, sam zrobię, a mam przeczucie, że wszystko powiedzie się

dobrze. Może dziś jeszcze chłopaka pozbędę, a jutro wrócę do siana.

Zanim minęła godzina był już w przedpokoju dużego, fabrycznego budynku.

— Jest pan?

— Jaki pan?

— No pan, — właściciel fabryki.

— Ja tam nie wiem, bo tu jest *Actiengesellschaft*... I jest pan prezes — odpowiedział służący.

— No, dobrze, zamelduj...

Służący wziął bilet, powoli przeczytał, przyjrzał się koronie, uśmiechnął, i niedbale w głąb budynku ruszył. Po chwili powrócił:

— Pan prezes nie wie, ale pan prezes prosi, nie ma czasu pan prezes.

Zniecierpliwiony już pan Marcin sunął rażno naprzód, i znalazł się wprost pleców, zajętego pisaniem fabrykanta.

— Jak się masz, Edwardzie, prezesie, czy jak ci tam... Nie widzieliśmy się, co?

— A tak, rzeczywiście. Niechże pan dobrodziej siada... Czem mogę służyć? — bąkał pan prezes, zmieszany poufałem przywitanie.

— Jaki ci tam dobrodziej?... biedak jestem... Ziemia nas żywić nie chce, a i ten kawałek, juchy niemcy wydzierają... Marniejemy, psie czasy! — splunął pan Marcin zamasyście, na wzorzyste linoleum.

Sięgnął pan prezes ręką do dzwonka:

— Sprzątnąć to...

Poczem, zwracając się do pana Marcina, twarz skrzywił:

— A tak, rzeczywiście... czasy ciężkie. Ale ziemi nikt nie wydrze, kiedy się ją mocno trzyma... Czemże mogę służyć?

— Bieda mię przypędziła. Chłopak uczyć się nie chce, więc chciałbym, żeby gdzie praktycznie się kształcił. Zdolny szelma. Mój syn... Wymagania niewielkie, byle wyżyć. Chciałem właśnie cię prosić.

Żachnął się pan prezes:

— Dlaczego właściwie łaskawy pan mówi mi »ty« — robi mi tu nieporządki... — i skinął głową w stronę kretowiska, jakie usypał starowny służący.

— Jakto, nie pamiętasz Marcina Horwata, z jednej ławy kolegi?

— Horwat? Może być, ale tu tylu »kolegów« do mnie się zjawia... Pamiętać trudno... Wreszcie... cóż pana do mnie sprowadza?...

Przybladł pan Marcin, powstał na chwilę, — pan prezes rękę do dzwonka wysunął.

— Gdybyś więc, szanowny prezesie, chciał mi pomoc okazać, a chłopaka do roboty przyjmując jakiej, choć za byle co, wdzięczny ci będę nieskończenie... — drżał głos proszącego.

— Do jakiej roboty?

— No do fabryki, może majstrowi poma-

gać, albo tam gdzie pisać. Charakter wyraźny, czytelny, — to po mnie. U nas w rodzinie wszyscy...

— No tak, ale co umie syn pański?

— Pisce, czyta, rachuje... Historia... geografia... Krew dobra, szlachecka!

Uśmiechnął się pan prezes.

— Zapewne... Historia, krew, ale to się w fabryce nie kalkuluje... Mamy kandydatów wielu, wykształconych, więc trudno będzie; pomyślę jednak i zrobię, co mogę. Zostawi mi pan adres, zawiadomię, bądź pan spokojny.

— O, dziękuję, serdecznie dziękuję, czcigodny prezesie... — powstał szlachcic, i zapominając uraz, usiłował go uściskać.

— Niema za co, robi się, co można; mieszkamy przecie tutaj, i wspierać polaków jest naszym obowiązkiem... Jakże małżonka? Pan zdaje się żonaty?

— No, naturalnie, przecie syn...

— A prawda, zapomniałem, ale... przepraszam: Czas mam zajęty, czekają.. Masa pracy, masa... Zawiadomię, adresik pan dobrodziej zostawił... Jakże tam żniwa? Pruska ziemia, dobra ziemia... Moje uszanowanie... Adieu...

I pan prezes pobiegł szybkim, nerwowym krokiem.

Stary powstał, pomyślał, machnął ręką i wyszedł.

Za chwilę w drugim pokoju brzmiała niemiecka dyspozycja:

— Herr Krack, póki pamiętam, oto adres: *per Posen, in Jaworzyc*, dać korespondentowi: grzeczny list, bardzo grzeczny: Żalujemy, może później etc., jest wreszcie szemat dla polskich praktykantów. Wysłać pojutrze, ja sam podpiszę...

I pobiegł znowu szybko, z twarzą ozdobioną, uprzejmym uśmiechem, w odpowiedzi na ukłony spotykanych urzędników. Mało inteligentny, źle wychowany, próżny, »źle urodzony« wreszcie, a jednak silny, prawie potężny, gwałcił karki w pokorne ukłony, tłumił szept nawet... Przemówił do urzędnika, ten kurczył się, jak gdyby skręcał pod groźnym wzrokiem milionera-wyrobnika, i oddychał dopiero swobodnie, gdy odgłos oddalających się kroków usłyszał. Spojrzeć nie śmiał...

Pan Marcin, jadąc, rozmyślał:

— Kolega!... niby grzeczny, a cham... Pruska ziemia, powiada, dobra... Pruska ziemia... Czy też co robi dla Józia?... Może co robi, a może nic, i pewno nic... Pojadę do Katza, powiadają że człowiek dobry... Zawsze prawil, że Polaków okrutnie lubi...

Na krańcu miasta zatrzymał się stary...

— Jest pan Katz?

— Jak trzyżwy, to jest, jak pijany, to go budzić nie trza, — objaśnił go tam stróż.

— Zamelduj.

Po długiej chwili oczekiwania, zjawił się posłany, i poprosił do salonu, urządzonego na piętrze.

— A to ci Niemiec mieszka, — rozmyślał pan Marcin, rozglądając się po białym ze złoceniami pokoju, — Mieszka, bo mieszka! Jak Baśce opowiem, to gębę otworzy.... Złoto, i złoto, a graty!... Za taki stółek jeden, to możebym i stodołę zbudował... Zdałoby się, bo przecieka, i wali się... — dumał, przyglądając mebelkowi, malowanemu, *à la Watteau*.

— A sensu w tem niewiele... Niby to owce pasie, flondra, a ubrana, jak na maskarę. Fircyk przy niej, a bydlę niech sobie w szkodę idzie... Dałbym ja ci!...

Zjawił się gospodarz, opasły olbrzym, z rudą krzyżacką brodą, i radośnie pana Marcina powitał:

— *Ja, ja, Herr Horwatt, ja*, — uderzył go rubasznie po ramieniu. — *Na nu*, wypijem... *Reński oder Champagner?*

— Bóg ci zapłać, kochany panie Rudolffie, ale ja z prośbą, — z interesem...

— Interesem?... *Geschäft*, to jest pierwszy. *Ja!*

— Syna chciałem umieścić gdzie w fabryce, niech pracuje, — niech się uczy. Za byle co, aby wyżyć. Weźcie go, przyda się. Z dobrego domu, krew szlachecka...

— *Ja, szlachecka... Lumpereil... Ein Baron...* Dobrze. To robi syn mój Herbert, on jest, ale *in Pabianic*. Dobrze! — on bierze wasz chłopak. Wypijem?

— Ano, skoro dobrze, zacny panie Rudolffie, to Bóg zapłać, i możemy wypić... Kiedyż przysłać chłopaka?

— Chłopak jeszcze nie... *Nicht zu eilig...* Herbert wróci, ja go wolam, on powie... On sam.

Na żądanie gospodarza, zasmolony stróż wniósł ozdobną stylową wazę, z dwoma butelkami wina. Tenże stróż ustawił misternie »baccarat«, napelnił je, mruczając pod nosem:

— Znowu się uchło, i znowu stara go spierze... A niechta, a mnie co?

Nieciekawa rozmowa snuła się leniwie dalej. Gospodarz mówił o sobie, chwalił się operacyami handlowemi, sprytem... Opowiadał, jak się dorabiał, jak pracował, jak potem Bóg dobry zesłał mu ogień... szczęśliwy, — jak się z wierzycielami potem ułożył i jak wreszcie fabrykę wielką postawił... Opowiadał historię wzrostu przeciętnej fortuny łódzkiej, i pysznił się nadużyciem, oszustwem, podpaleniem, bankructwem, wszystkimi środkami, które tak prędko do milionów prowadzą... Mówił i podniecał się treścią słów swoich, a że popijał często, upił się szybko, a i pan Marcin, gdy czerwone wypieki wystąpiły na policzki,

stał się poufałym. Uderzył gospodarza żartobliwie w kolano, i mówił z uśmiechem:

— Aleś się bracie dorobił, — mieszkasz jak książkę... Trochę mniej szczęścia, i zdrowia, a byłbyś w kry... — ugryzł w język się stary, gospodarz sylabę podchwycił:

— Był w Krynitz, i w Karlsbad, i w Nizza był, i wszędzie może, jak ma swój *pass*, i książka od szeki. *Ja!*...

Dorobił... Kanapa ładny, i lampy, żyrandol, *Dass heisst Styl*. Landszafty jest, ja to ale nie lubi, i tylko robi dla firma. Mój syn ma swoja stancya, tam jest ale podloga, co on bez buty sam chodzi, a ja tak gładko nie lubi, jak trochę piasek niema. To jest dobry syn, i *Kaufman durch und durch*. *Ja!*... *Prosit*. Ja nie hakatista, *nein*, ja lubi *die dumme Polaken*, a szwabcy nie cierpi. Ja wszędzie lubi, gdzie zarobi... O Jessaes! — ziewnął szeroko.

Jeszcze usta otworzył, blademi bezmyślnemi oczami zamrugał, chciał coś dopowiedzieć, ale głowa opadła mu bezwładnie, i — usnął.

Pan Marcin smakował dalej dobre wino, i z zadowoleniem rozglądał się po salonie. — Kto wie, — szeptał półgłosem, — kto wie? Chłopak bystry — moja krew. Inne czasy, — może się i dorobi, pokaże niemcom nasz szlachcic, jak się żyje... Ziemia, las, — a fabryka w mieście... Hej! Sprząglbym mu ja czwórkę!...

— A Niemiec pić nawet nie umie, dobre

ma wino, ale główkę słabą, uczciwy jakiś szwab, ale jak to wygląda jucha...

Gospodarz chrapał, pół leżąc na misternej kozecie. Nabrzmiały, siny, niechlujny, — pan milionów, odbijał rażąco na tle bladej liliowej materyi. Nad nim z białych rzeźbionych zwojów, wysuwał się amerek, i mierzył w pana Katza strzałą złocistą.

— Tfu! — nie wytrzymał stary, pomimo całej wdzięczności...

Na podwórzu rozległ się dźwięk podków, i z cichym szmerem zatoczył powóz, z którego wysiadł rudy, opasły młodzieniec, i zwrócił do wejścia. Pan Marcin poprawił wąsa, czupryny, wypił resztę wina, w pośpiechu, i czekał.

Młody człowiek, przyzwyczajony widać do obrazu, jaki zastał, spojrzał obojętnie na ojca, na dwie butelki i nie zadziwił się wcale, natomiast z typową, przesadną uprzejmością urodzonego gbura, który pragnąłby być dobrze wychowanym, przedstawił się panu Marcinowi, zapytując czem służyć może, gdyż ojciec zasłabł widocznie, a wino wogóle mu szkodzi...

Pan Marcin opowiedział, co go sprowadza, wyrażając nadzieję, że syn nie będzie miał nic przeciw postanowieniu ojca, i przychylił się łaskawie do prośby...

— *C'est dommage*, że szanowny pan spó-

źnił się trochę, mieliśmy właśnie miejsce praktykanta, ale zostało zajętem... *Enfin* zapewnić pana mogę, że po porozumieniu z bratem, który się tem zajmuje, jutro dam panu pomyślną odpowiedź.

— Znowu odpowiedź... — zastanowił się pan Marcin. — Niedobrze.

— Czy ma szanowny pan nadzieję, że prośba moja skutek pomyślny uzyska? Zależy mi tak wiele.

— *Mais, pour sûr, monsieur.* Jutro rano odpowiedź, to formalność tylko...

Będę niecierpliwie oczekiwał rezolucyi pana dobrodzieja. Moje uszanowanie panu dobrodziejowi... — mówił wzruszony pan Marcin i cofnął się plecami ku drzwiom.

— *Mes compliments, monsieur.*

Po wyjściu szlachcica, młody człowiek zbliżył się do stołu, wypił resztki z butelki, i zwrócił do śpiącego ojca:

— *Na, alter!* — począł go trząść za ramię.

Stary bełkotał coś niewyraźnie, zsuwał się z kozety, i nogami wierzgał.

— *Na, — Saufkerl!...*

Począł go trząść znowu, stary szamotał się przez sen, i rzucał, aż pękła wążka kanapka.

— *Na!...* — zamierzył się, i bezwładnego starca za nos jął targać.

Śpiący otworzył blade, ogłupiałe oczy...

— Elegancki jakiś kawaler... — myślał sobie pan Marcin, i spieszył do hotelu, pragnąc, co najrychlej, ucieszyć syna wieścią radosną.

Na drugi dzień od rana, oczekiwał posłańca, oczekiwał wiadomości spokojnie, jak człowiek, któremu się zamierzona sprawa powiodła. Od czasu do czasu, rozmawiał z synem, przygotowując go do przyszłych obowiązków.

— Postarałem ci się o miejsce, więc pracuj, szanuj swoich chlebodawców, a jak dojdiesz do czego, pamiętaj, że to ojcu zawdzięczasz.

— Będę tatusiu szanował, i zawdzięczał...

— Pamiętaj... O ojcu myśl, żeby go Niemcy jak chwast niepotrzebny nie wydarli z ziemi.

Spojrzał na zegarek, nasłuchiwał chwilę:

— Wyjrzyj-no, zdaje się, że ktoś do nas idzie...

Józio zniknął, i długi czas go nie było; wrócił rozczzerwieniony, zadyszany...

— Szła, tatusiu, jakaś panna, a szumiała jak woda pod upustem... Ukłoniłem się grzecznie i pytam, czy do nas... Zaraz się uśmiechnęła i powiada, że przyjdzie za pół godziny, — powiedziałem jej numer. Uśmiechnęła się znowu, i szu — szu, poszła... Przyjdzie napewno...

Stary oniemiał, otworzył oczy i usta, wreszcie śmiechem wybuchnął:

— I cóżes ty, gapiu, narobił, — ja przecie na posłańca czekam...

— Nie trzeba być lekkomyślnym — mówił dalej, — należy uważać na każdy rozkaz, i spełniać go... To bardzo ważne. Niemiec nie niemiec, — wszystko jedno... I między Niemcami są ludzie. Niemiec to dzisiaj twój dobrodziej, trzeba go szanować i spełniać swoje obowiązki, aby się stać w społeczeństwie...

— Pożytecznym członkiem, i oddać mu ten dług, jaki się zaciągnęło, — wyrecytował Józio pośpiesznie.

— No tak... właśnie...

Zapukano do drzwi — pan Marcin ruszył otworzyć.

— Pan Horwat?

— Tak...

— List... Pan będzie łaskaw pokwitować.

— Zaraz, zaraz... Masz tu, bracie kochany, pół... masz tu rubelka, — podziękuj panu i kłaniaj się...

— Józio, oto list, sam przeczytaj, bo tam cały los twój...

Chłopiec wziął kopertę do ręki, — zaczerwienił się.

— Kiedy ja, tatusiu, po niemiecku jeszcze nie wszystko...

— Jak to po niemiecku? Dawaj...

Na firmowym papierze skreślone były słowa następujące:

Herrn
M. Horwath
Hochwohlgeboren
z. Z. in Lodz.

Zatrząsł się stary, i czytał dalej w tymże języku:

Niezmiernie żałuję, lecz po porozumieniu się, doszliśmy do słusznego wniosku, że wobec okazywanej naszemu narodowi, przez Polaków nieżyczliwości, nie możemy wprowadzać do niemieckich przedsięwzięć, żywiołów nieprzychylnych, tem więcej, że wobec rodaków posiadamy obowiązki, których wypełnienie jest niezbędnym warunkiem do pozyskania trwałego dobrobytu firm naszych.

Nie krępując zatem pana w wyborze dla syna, właściwszej, a Jego urodzeniu odpowiedniej kariery, piszę się

z poważaniem

p. p-a R. Katz

Rudolph Tschopp.

Stary zgniótł list, darł i deptał nogami, potem go żał ścisnął za serce, i ogarnął smutek rzewny. Oparł siwą głowę na rękach i myślał, nie ruszając się z miejsca. O zmroku powstał,

i chodził w podnieceniu. Obrażona duma w nim grała:

— Tyle upokorzenia... Tyle płaszczenia się... Na nic wszystkie ofiary... — szeptał przez zacisnięte usta, aż w końcu krzyknął do syna: — zabieraj manatki, — jedziemy!...

Za drzwiami piskliwy głos się odezwał:

— *Darff ich herein?*

— Idź panna do dyabła!... — i stary syna za uszy wytargał.

— Za co tatusiu?

— Za to żeś głupi!...

Przez myśl chłopca przeleciało wtedy, że jednak w życiu jest wiele zawitych zagadek: co złe, a co dobre, niewiadomo jest nigdy, a mądrości od starszych uczyć się trudno, bo dziwną tajemnicą otoczona jest zawsze.

Smutno było i w domu. Nikt pytać nie śmiał; dopiero po dniach paru, gdy przygody opowiedział stary, nastała długa cisza, aż w końcu ten i ów odezwał się ze zdaniem, z czego wytworzył się wniosek:

— A to i dobrze, a to chwała Bogu!... Zniemczyliby ci chłopaka, i byłbyś, jak bez syna... Niech pracuje na roli, — a nie wyciera fabryk niemieckich; nie szlachecka to rzecz... Dalipan, dobrze się stało... Niema tego złego, coby...

— Na gorsze nie wyszło... — mruknął stary pod piecem...

— A—le... Żartuj, panie Marcinie, a dobrze się stało... Ziemi niech chłopak pilnuje, — pracy nie zabraknie, a choćby i bieda przyszła, to my kupą, panie dobrodziej, kupą za ciebie... Tak!

— Ziemi nie dam, choćbym i zdychał...

— A któżby im dawał, panie dobrodziej, ziemię, — a »gryź go«, a nie daj, kupą nie damy, bo wszyscy za jednego...

— A sąsiad już pono zadatek od landraith'a wziął?

— To mu i oddam, a panu co do tego? Moja ziemia, czy nie moja?

— Nie sprzeczaście się sąsiedzi... — i...

— Możebyśmy choć od dwustu... — białe ręce ksiądz zatarł.

Późnym już wieczorem, po wyjściu gości, stary przywołał syna, na ramionach oparł mu dłonie, pochylił się nad nim, i mówił głuchym głosem, w którym łzy drżały:

— Żebyśmy z głodu zielsko jeść mieli, drzewo zębami łupać, — nie damy ziemi... Choćbym widział śmierć twoją, choćby wszystkie nieszczęścia spadły na biedną naszą chałupę, wszystkie troski na starą moją głowę, a wszystkie krzywdy żarły mi serce, — nie damy ziemi... A jeśli po śmierci mojej, nie-miec choć jedną skibę zaorze, ja się o nią u ciebie upomnę... Pamiętaj... ziemia nie han-

del, — to cała siła nasza, — wiara, nadzieja, bo ziemia jest święta, a handel to kłamstwo i brud...

Chłopiec objął kolana ojcowe i płakał. Miłość serdeczna dla roli, którą miał we krwi, jak matki kochanie, uczyła go całej mądrości życiowej.

Monachium, 1903.

U mety.

Attention!

Człowiek dał znak, zamotały się konie, i wyrwały pędem.

— *Çay est!* — wykrzyknął starter, a w tejże chwili dzwonek na szczycie trybun uderzył.

— *Parti!* — przeleciało po tłumie i — cisza.

Konie sadziły skokiem nierównym, rychło jednak naprężonym cugłom głowy poddały, wydłużyły giętkie swe ciała, i suną. Jeźdźcy takt pochwycili, a stojąc w krótkich strzemionach, przygięli się nieco, i już tak zostali, jakby do kłębów końskich przyrośli.

Gnają, — wicher za nimi, a wokół tłum ludzi, a w tłumie serce przy sercu, i każde łomocze, a myśli i oczy biegną za tą zwartą lawą szkap, sadzących z zapalem i mocą, niby Hipocentaury za leśnych Najad gromadą.

Hipocentaury w trykotach, na cztery nogi okuci, o tak płochych rozrywkach nie myślą, bo inne ich cele. Wiedzą oni wreszcie i o tem, że lasów boginki, na paryskie bulwary wyniosły się dawno, a choć drapieźnych nie zatra-

cili instynktów, dawnej bojaźni pozbyły zupełnie. To jedno z prawspomnień w ich duszach zostało, że marzą o tym bogu swawolnym, co w deszcz złoty się zmienił.

— Zeszlij i na nas swych uczuć ulewę, cudnej Danae kochanku!

Oto i one, rozparte w *break'ach*, *coach'ach* i czerwonych *mail'ach*, z psimi karzelkami na rękach, panie ze świata i jego większej połowy, a tak dziwnie do siebie podobne, że mylą się ludzie, gdyż równie zawodna wielkiej damy zuchwała swoboda, jak wytworna powściągliwość tej drugiej.

Przy paniach gentlemani z twarzami oszustów, i znowu częściej oszuści z pozorami panów, — wielkie międzynarodowe gwiazdy klubów i *turf'ów*, światowcy, nieskalani pospolitą kradzieżą w złym tonie... Obok nich anemiczna pełnej krwi młodzież, i ci, urodzeni za szafą sklepową, dziedzice milionów, drwiący ze starych rodów zawistnie, i inni, bez nazwiska, bez sklepu, bez obiadu często, zawsze trzymający się klamki pańskich powozów, i wreszcie najmłodsi, z rozpaczą nudy na bezmyślnych twarzach, bankruci sił i młodości, co już nic stracić nie mogą, — prócz złota. I patrzą zdechlaczki w pledy otulone, patrzą na maj, życie i słońce, i — nudzą się, ciskając z wysokości szarabanu, przechodzącym pięknościom blade, wymęczone dowcipy.

A one ciągną po torze, zdobne w barwy tak miękkie, harmonijne, jak gdyby każdą stroiła przyroda, jak stroi ptaki, motyle i kwiaty.

Jasne falujące pióra, mgły złoto-szarych koronek, blaski kamieni, suknie jak kwiatów kielichy, na których osiadł lekki pyłek koloru, inne znów w barwach mocne, gorące jak pasy zachodu, a tam znów czarność ponura a świetna: dżety, koronki, pióro olbrzymie, a pod niem oczy płomienne. Z poza ust rozchylonych, z cudnym zębów szeregu, — pokusa, zdolna umysł zamroczyć najzuchwalszemu z pijaków miłości, a zawsze oszukając młode serce wierzące.

Oszukać, bo w tem siła i cel, a z chwilą, gdy w tych oczach jarzących, serdeczne uczucie kłamiwe blaski zagasi, gdy przez malowany uśmiech łzy szczere popłyną... — Wszystko dla niego, — gdy szepną usta drżące ze szczęścia, — to klęska.

Un sale métier, — ta miłość prawdziwał

— O, to gorsze od ospy... — śmieje się słoneczna blondynka, otulona w lekkie mgły seledynowej materyi. — Ale któż się teraz kocha naprawdę? To było dobre za małego kaprała, wreszcie za drugiego cesarstwa. Wtedy król kochał, a dzisiaj chłopiec ze sklepiu, i ten chce być oszukiwanym, jak wielcy panowie. To mu pochlebia.

— Jakże to?

— Co podoba się jemu, podoba się i drugiemu...

Tuż przy baryerze mignęły czerwone, rozdęte chrapy, zamigotał żokiej płamą niebieską, obok przerażony łeb koński, tam żółta czapka zabłysła, — zwarta gromada koni przesunęła pędem, i skryła się za falą nierównego toru. Chwila, — i już w oddali na ciepłym, szarem tle krajobrazu, ukazały się znowu w pełni powietrza i słońca, jaskrawe postacie, i jakby pod ziemię zapadły, aż gdzieś daleko znowu błysnęły złotem końskie kadłuby, gdy na mgnienie oka w powietrzu zawisły, nad przeszkodą wzniesione.

Wtedy z gromady oderwał się czerwony punkt jeden, i sunął. Na trybunach szmer głosów się podniósł, poniżej tłum zawył, zakołysał się, a z pędzącej masy znowu odprysnął błysk kolorowy, zrównał się z pierwszym, i chwilę tak trwali przy sobie, a wrzask całe pole przeleciał:

— »Voltaire«, »Voltaire!«

— »Massena«, »Massena!« — odpowiedziało mu echo.

I nagle wydarł się trzeci.

— »R-roland!« — jak piorun huknęły głosy.

A konie już wyciągnęły się sznurem, sznur rwie się chwilami, znów łączy, i znów jakby zwija, lecz jego początek, głowa wyścigu, serce tłumy całego, to »Roland« złoto-gniady. Białe

jeździec na nim, prawie że klęczy na siodle, mały i drobny, a zda się, że ciska koniemi-olbrzymem, na przeszkody go rzuca: jedną przesadził, już drugą, jeszcze na niej chrust się kołysze, a on już daleko, i rwie, rwie, przestrzeń przed sobą.

Za nim kłębi się zgraja, a on jeszcze szerokimi susami naprzód się wydarł; już krzyk: »bravo!« jako zwycięzcę go wita, gdy nagle,— do przeszkody dopadły dwa konie; jednocześnie do skoku się spięły, i jednocześnie jak dwa kurki spadły. Huk grzmotu, ryk, wycie, lecz oto czerwony jeździec wparł w złote boki wierzchowca dwa blaski, minął »Rolanda«, i gna aż do zdechu, czy do zwycięstwa. Tłum ciśnie się, jęczy, łka:

— »Xiphias«, »Xiphias«... o—oo, »Xiphias«.

A w ciżbie słania się dziewczyna. Rękę kurczowo zacisnęła na piersi, w ramiona towarzyszyki się chyli.

— On, on... Wielki bohater, on!...

— Tak, tak, ale uspokój się... Ludzie...

— On pierwszy, on mój... Jakże go kocham, jak kocham!

— Ależ uspokój się dziecko... Niewiadomo jeszcze, jak płacić będą za niego.

— Ja nic, nic nie chcę. Wszystko, wszystko dla niego. On wielki! — i gonia oczy dziewczyny za jeźdźcem, a ręka ciśnie serce bijące.

I jeszcze jedna tylko przeszkoda, i »Xi-

phias« — *tout seul*, — tłum ryczy, a koń zwycięzki sadzi miękko, równo szeroko, jeździec poddaje mu cugli, pewnie, zimno, na ostatnią faszynę prowadzi spokojny, ani chrapu, ani tententu już za sobą nie słyszy. Jeszcze dwa susy, koń uszy postawił, przygiął się jeździec do kłębu, potem nagle w tył cofnął:

— *Houp là!* — i potężny »Xiphias« wspiął się do skoku, już zawisł, i... padł na kolana.

Czerwony kłębek dziwnie powoli stoczył się z niego, koń zerwał się, runął. Jakiś cichy szelest się rozległ, chrzęst przykry, charczenie...

— »Roland!« »Roland!« — huragan głosów witał zwycięzcę u mety.

Do leżącego bez ruchu, wtłoczonego w murawę, podbiegli ludzie, podnieśli go: ciążył do ziemi, bezwładnie, długie stopy, zwrócone do środka, kołysały się, nie szukając oparcia, a blada, gładka twarz była martwa. Zjawił się doktor, potrząsnął nim, serca poszukał potem w oczy mu zajrzał.

— U mety...

Wcisnęli czerwoną czapkę na głowę, dzwignęli nosze.

— Szkoda człowieka. W zeszłym roku wziął *Derby*.

— Ja tam nigdy do niego zaufania nie miałem... Ale szkoda, bo dziśby ładnie płacili za chłopca.

Odwrócił go twarzą do słońca, zgięte nogi sprostował, i strzepnął atlasowe ubranie:

— No, i marsz, niedołęgo!

A z boku słania się dziewczyna, rwie stanik na piersiach, szarpie włosy, rozpacza:

— Za miłość moją, za wierność... O Boże!...

— Uspokój się... Trudno, nieszczęście...

— Tak go kochałam, i jego jednego... Ja oszaleję... Wszystko, wszystko poświęciłam dla tego człowieka, a on? On...

Pęk zmiętych totalizatorowych biletów gnieść, szarpać poczęła:

— Podły, zdrajca, niezdara... A tak mu wierzyłam, tak mu ufałam!

W bezsilnej wściekłości deptała kolorowe płatki.

— O podły, podły!...

Aż wyczerpana, zmęczona osunęła się na trawę i gwałtownym płaczem wybuchła.

A za chwilę człowiek dał znak, zaszamotały się konie i wyrwały pędem...

Nie zastanawia się życie...

Paryż, 1905 r.

Za cześć zagrody.

Mieszkał w beczce — solówce, pokrytej chrustem. Żywot pędził równie umiarkowany, jak starożytny pierwowzór lokatora tego rodzaju, — filozofem był także i kochał słońce...

Z rodziny ubogiej, a uczciwej, oddany wcześniej na pastwę głodu i chłodu, wcześniej zdobył doświadczenie, jakiego uczy tak prędko, twarda biedy szkoła; wcześniej też pojął życie, zrozumiał, że ginie słaby i tkliwy, zaś silny a chytry trwa w błogosławionej sytości...

Nie pożądał nigdy zaszczytów, zasługi nie szukał, i rad byłby tak urządzić sobie bytu warunki, aby odbierać kijów jak najmniej, a jeść, byle głód nie skręcał wątlęgo ciała, nie dręczył.

Nie miał znacznych wymagań, kijów otrzymywał jednak zbyt wiele, nie ufał też ludziom, za to, chętnie z psami przestawał; wierzył im jednak o tyle, o ile pragnął złudzeń na ziemi, o ile wrażliwe jego serce pożałowało przyjaźni,

szczerości, wogóle tych uczuć, które postęp, handel wszechwładny, wyżyły z myśli i serc ludzkich.

Posiadał wybitne zdolności, lecz bez jednostronnego wykształcenia fachowego, musiał przyjąć trud ciężki, i żył jak pies, bo stał się wiernym stróżem i przyjacielem człowieka.

Żył jak pies, bo psem był z urodzenia o tak wybitnych cechach gatunku, iż nie mógł, z łatwością ludziom właściwą, zmienić skóry, uczuć, ambicyi, i przedzierzgnąć się w mopsa lub pinczera, które to stworzenia, wiodąc życie bez troski, zażywają szczęśliwości obcej dla psa — wyrobnika.

Nazywał się — »Cukier«, a nie znał jego słodyczy, gdyby »Głód« mu nadano, mógłby wiele powiedzieć o swoim imieniu. Człowiek często posiada w nazwisku szlacheństwo, a nie wie, co ono znaczy, i jakie duszne wkłada obowiązki, — człowiek taki szarga niekiedy swe imię, wtedy dobrzy ludzie, przyjaciele, dodają do niego złe słowa: podły lub nikczemny...

Pies zwał się Cukier, a ludzie mówili: pies dobry...

Z niewiadomych rodziców zrodzony otrzymał po niech nieszczęśliwie, w krwi spadku, upodobania sportowe, tak bardzo nieliczące z jego położeniem i stanowiskiem.

Upodobania, tak właściwe tylko krwi nie-

bieskiej dziedzicom, dowodziły niezawodnie szlachetniejszego pochodzenia, bywały jednak przyczyną niejednej ciężkiej zgryzoty psiego żywota.

Gdy był jeszcze trzpiotem lekkomyślnym dusił nocą młode zające, płoszył zawzięcie kuropatwy, chwycił leniwe przepiórki, gonił po tatarakach podloty, a kilka śrócin, tkwiących dotąd w tej okolicy ciała, która przy ucieczce najczęściej na szwank narażoną bywa, stanowiło jedyną pamiątkę chwil pierzchłych uniesień... Było to dawno, było to wtedy, gdy wiedziony przekazany krwi zapalem, postradał w zalotach część ucha, i dużo kudłów burej sierści utracił... Hej, hej, jak to zbiegły młodości porywy!...

Dziś, gdy zdrowy rozum zmógł płochość, a pańskich sportów, nieodpowiednich stanowisku stróża zaniechać kazał, podeszły w lata oddał się z drobiazgowością starca, jedynie obowiązkowi pilnowania chałupy Pęków — gospodarzy, ale i na tej placówce pozostał nie bez namietności, jakim wobec przyrodzonego temperamentu ulegać musiał.

Lubił się zapędzać za bryczką, nienawidził powozów, a patrząc na konie wierzchowe, aż skamlał z uciechy, ile to on strachu napędzi...

Na widok bryczki już zdaleka oznajmiał, że czuwa, wypadał przed konie, poczem do kół wracał, a gdy na odległości, dokąd bat

nie sięgnie, obszczekał ją należycie, cofał się na stanowisko.

Powóz drażnił go niewypowiedzianie, rzucał się na koła, chwycił zębami, zbliżka drogę zabiegał, krążył, kotłował się w piachu, a patrząc w górę, jakby wymyślał siedzącym. U najbliższej chaty powierzał swój obowiązek oczekującemu już następcy, poczem dopiero wracał zmęczony, nakuliwając to na jedną, to na drugą nogę.

Widok wierzchowca wprowadzał go w stan takiego podniecenia, jakie ludziom zaślepionym nienawiścią, świadomość czynu odbiera, pies tłumiał jednak złości uczucia, i działał rozumnie, a chytrze.

Kładł się wtedy, szary, nieruchomy na piasku, a w stanowczej chwili postępował rozmaicie. Niekiedy wypadał tuż przed koniem, i wydawał jakiś dźwięk radosny, a jednocześnie płaczliwy, — dźwięk o tonach wysokich, dochodzących do górnych, najwyższych w chwili gdy spłoszony rumak zwracał na miejscu, i sadził gdzieś w bok, przez pole.

Czasami pozwalał przejść mu spokojnie, lecz w tejże chwili zrywał się za nim, szczekając chrapliwiej, zajadlej i groźniej; koń wtedy sadził szczupakami, pies mu drogę zabiegał, i naszczekiwał cienko a dźwięcznie.

Innym razem za kamieniem przycupnął, cichy, spokojny, nawet oczy przymykał, od-

wracając głowę w stronę przeciwną, dopiero gdy nienawistny odsunął się kilka kroków, biegł chyłkiem, tuż przy ziemi, i szedł za nim. Wyciągał łeb i cofał go w takt konskiego kroku, aż nagle upatrzawszy odpowiednią chwilę, chwycił zębami za nogę powyżej pęciny, — rzucał się w jednej chwili naprzód, i radosnym głosem obwieszczał wszemu psiemu sąsiedztwu o pognębieniu tak potężnego nieprzyjaciela.

Tymi sposobami zaszczepiał w koniu bojażń przed ubogiem pokoleniem psich rodów, gęsto rozrzuconych, po chatach, wzdłuż piaszczystego traktu.

Gdy rumak już dostatecznie odczuł swą nicość, a wiedząc o oczekującym go wrogu, zbliżał do chałupy niespokojny, i strzygąc uszami prychał trwożliwie, wtedy Cukier stawał się wspaniałomyślnym: rozsiadłszy na środku drogi, jedno uszko zlekka nastawił, i przechylając głowę, przyglądał się koniowi obojętnie, gdy zaś ten, pobudzany przez jeźdźca, mijał nieprzyjaciela, — powstawał wtedy, a unosząc dumnie, kudłaty ogonek, oddalał się wolnym kołyszącym krokiem, boczkiem zerknął jednak nieufnie, jak się też, ten zgębiony przez niego, duży zwierz zachowuje.

Z szeregu przesuwających się jeźdźców, Cukier nienawidził zwłaszcza jednego: na du-

żym złotym kasztanie przebiegał on zwykle pełnym kłusem obok zagrody, i ginał mu z oczów. Nienawiść wtedy ogarniała jego małe psie serce, i pozbawiała dzielności, aż tak dalece, że dnia tego na widok innych koni szczeknął tylko raz, drugi, jakby zaznaczając, że widzi, groźnym być może, lecz nie chce, i powracał chmurny do obejścia. Pozorna ta łaska jednak nie świadczyła, aby zapomniał o przekazanej mu z krwią nienawiści dla zwierząt, nieposiadających określonych przez niego warunków zewnętrznego wyglądu, i dla ludzi pyszniejszych, niż jego otoczenie.

Pies pobłażał tylko koniowi, który był mały, chudy, ciągle w pracy, z wytartymi bokami, dużym hakowatym łbem, smętnie zadumany, jednym słowem, koń dla niego musiał być chłopski. Człowiek zaś, powinien był być kolorowy, nosić bolesny rzemień, chodzić z batem lub kosą, pomrukiwać, wzdychać, i narzekać, gdy je chleb, powinien go krajać kozikiem, psu cisnąć mały kawałek, lecz nigdy się z psem nie bawić i pieścić, bo to obraża psią godność, a i czas drogi zajmuje niepotrzebnie.

Kobieta—gospodyni, powinna być pełną, jędrną, i ciągle gadającą, wolno jest jej rzucać za psem rozmaitymi twardymi przedmiotami, lecz obowiązana jest pamiętać o nim, i dawać mu jeść, ale nigdy mniej ani więcej,

jeno tyle, ile się patrzy... A pani Pękowa za-cna to kobiecina, ona i słowo dobre dać umie:

— Naści Cukierek, żryj podła sobako...

Jeden ma tylko zwyczaj brzydki, którego pies uznać nie może, i przyzwyczaić nie potrafi; oto »skądinąd« miła kobiecina polewa go, od czasu do czasu, wodą gorącą...

Bolesne to jest bardzo, szerść od tego wyłazi, a wtedy robactwo tnie okrutnie. Ano, cóż robić, przeznaczeniu na przekór iść niepodobna, a życie z tem umartwieniem nawet, posiada tak wiele powabów...

Zresztą przykrość tego rodzaju spotyka go raz, dwa razy na miesiąc.

Dzieci gospodarskie są bardzo rozkoszne, posiadają jednak tę wadę, że zwykle ich jest za dużo, przez co targanie za uszy jest zbyt częste, poza tem dzielnik wikt staje się zbyt wielki, przez co iloraz kartofli z omastą, na korzyść psa, mniej znaczny.

Dzieci wogóle, powinny być jasnowłose, i trzymać w ręku kawał chleba z serem.

Ser rzecz pożywna, a w smaku delikatna..

Poza właścicielami czwartej chałupy, poza ich rodziną, najbliższem sąsiedztwem, nie istniały dla Cukierka organizacje wyższe. Żyje co prawda pewien gatunek stworzeń podobnych, są to jednak istoty bardzo złośliwe, wydające zapach przykry, — figury pyszne, krzyczące, a równie jak psy ich tchórzliwe.

Żywił tedy Cukier złość i żal do społeczeństwa za to, że jest inne, lepsze czy gorsze, lecz inne niż jego otoczenie, — żal tego rodzaju trwa i w ludzkim świecie, chociaż człowiek posiada więcej złożone zwoje mózgowe, a nawet tkliwość serdeczną, o czym piszą poeci.

Pies nie zaznał tej cnoty, więc ludziom obcym nie ufał, wierzył w tkliwość gospodyni i przywiązał się do niej szczerze, nie pamiętając razów. Przyzwyczaił się do nich, jak człowiek do krzywdy i troski, przez co i dobro słodsze się zdaje.

Nie zastanawiając się, dlaczego świat poza własną beczką, i gospodarską chałupą tak brzydkim mu się wydaje, wiódł pies życie spokojne, bez silnych wzruszeń i wybitnych wrażeń, aliści pewnego dnia słonecznego, zajęty gdzieś za stodołą badaniem treści jakichś złożonych zapachów, usłyszał nagle szybki tentent kopyt końskich.

Szczeknął w pośpiechu byle jak, i rzucił się ku ogrodzeniu, przewracając po drodze najmłodszego z dziedziców Pękowej zagrody, nie spojrzawszy nawet na wrzeszczącego »raka«, i wypadł na gościniec, gdzie ujrzał gnającego całym pędem nienawistnego konia. Pogonił za nim, nagle przysiadł, rzucił się na prawo, skoczył na lewo, stanął, zawył żałośnie, naszczeakał kamieniom przydrożnym, i ruszył

wolnym krokiem do domu. Oglądając się poza siebie, naszczeakiwał smutnie; gdyby miał odpowiednio urządzone torebki łzowe, płakałby niezawodnie, że jednak natura zaniedbała udoskonalenia mu przyrzędów, w których ludzie płynny żal mieszczą, szedł zmartwiony, ponury, uczuwał srogą przykrość, jaka psy dręczy tak wyraźnie, w chwilach poczucia błędu zaniedbanych obowiązków.

Smutny był pies, położył się u wrót zboża, i czekał... Toć przecie oni wrócić muszą, a wtedy...

— Cukier, — Cukier, a pójdz ino... — zabrzmiał dźwięczny głos z chaty.

Pies znał ten głos, niby pieszczotliwy, a groźny, nie wróżył on nic dobrego, zwłaszcza że już minęła pora obiadowa, wreszcie, o tym czasie sam pilnował chałupy, wzywany zaś był tylko na bicie.

Nie zawiodły przecucia. Twarda kijanka w silnej ręce żwawej gospodyni, zaklekotała po kościach bohatera, zaczęła po jeszcze boleśniejszej chwili wiązania na sznurku, zaciągnięty został do beczki.

— Widzisz, tera cię uwiążę, i będziesz se siedział, żebyś mi dzieciaków nie roztrącał, kołtunie powietrzny...

Tak to smutki zmieniają radości chwile, tak to uniesienia zmieniają się w bóle, a bóle w twardy sznurek niewoli. Wtedy świat pię-

kny, świat zielony, słoneczny, stokroć piękniejszym się zdaje, beczka straszniejszą, a sznurek twardy, jak gwałt, nieublagany, dusi złotej wolności porywy.

A na gościńcu rojno i gwarno, jak nigdy: turkoczą bryczki, przemknął powóz dworski, i stangret z bata strzela wesoło, przechodził żyd z depeszą, szli żebracy, jakby na odpust, a psy jakieś obce podeszły pod same wrota, i poczęły harcować, jak gdyby jego, — gospodarza zagrody, nie było...

Odwracał łeb, nie patrzył na to wyraźne lekceważenie, siedział bezsilny, marny, i pi-szczał zcicha, jakby jęcząc:

— Oj smutna, oj psia dola moja!...

Zbliżały się do niego kury, a dzwoniąc dzio-bami w próżną miskę, przechylały głowy, zer-kały zdziwione, co się z tym psem wesołym zrobiło... Z dachu stodółki zeskoczył biały kot domowy, spojrzał, przystanął, usiadł cicho, grzecznie ogonek podwinął, zrobił postać ukła-dną, jak to koty umieją i patrzył na zgę-bionego Cukierka zielonemi oczami. Powstał nagle, wygiął się, parsknął w psią stronę, jak gdyby splotał.

Mściwy kot krzywdy swoje pamiętał.

Przed wrota wyszła gospodyni pogwarzyć z sąsiadą, spojrzała w kierunku psiej budy, i jeszcze pogroziła pokutnikowi.

— Pockaj kudłacu!...

Cukier powiódł za nią smutnemi oczami, poruszył wystrzępionym ogonkiem, na znak, że gotów uraz nie pamiętać, gdy nagle porwał się, szarpnął, wyskoczył w górę, i począł jęczeć, przyszcze kiwać, wyć, zgola nie psim głosem, — ujrzał bowiem rzecz straszną, do wiary niepodobną.

Tuż przy wrotach stał koń nienawistny, na nim jeździec od ust ręką przesyłał gospodyni pocałunki, — coś mówił potem, a ona śmiała się do niego, ujmując w boki...

Pies nie rozumiał o czem mówią, z czego się cieszą, czuł jednak, że dzieje się strasne, niebywałe bezprawie, że dzieje się krzywda tej chacie całej, Pękom gospodarzom, a jego spotyka wielkie, niezmierzonego żalu lekce-ważenie.

Rzucał się, targał, dławił, aż ochrypl w końcu, i wyczerpany, dyszący, padł jak martwy na ziemię. Ocknął się z odrętwienia dopiero o zmroku.

Gospodarz powrócił z pola i wyprzągł chudą, siwą szkapinę. Z pochylonym łbem, wolno przedstawiając zbolale nogi, powlokła się do swej komórki. Człowiek pozostał przy wozie, i coś przy kołach naprawiał, schylał się, prostował i w głowę drapał, co chwila czapkę przesuując, wreszcie splunął, zaklął brzydko, i mrucząc, do chałupy ruszył.

W obejściu stało się cicho, wiatr tylko

szumiał zlekka naginając drzewka wiśniowe, w kątach podwórza odzywały się świerszcze, a z góry płynęły łagodne głosy ptaków, nocą żerujących.

Pies wyprostował się, ziewnął, usiadł, dziesięć kom przysłuchał, i snadź smutek miał w sercu, bo nagle szczeknął raz, drugi, wyciągnął mały kudłaty pyszczyk ku górze, i zawył żałosliwie... Zamilkły świerszcze, ucichły głosy, a wiatr poniosł tę psią żalność po chatach. Za chwilę pies zajęczał znowu, i już znalazł odpowiedź współczującego smutnej doli towarzysza, głosy pobiegły dalej, z nimi łączyły się nowe, i cicha przyroda rozbrzmiała tą smutną psią skargą, której wstrząsająca rzewność niepokój do dusz ludzkich sprowadza, bez myśli o tem, że jednak źle być musi temu stworzeniu, co żal taki głosi.

Wiatr niósł echa tych jęków pod słomiane poszycia, siał w proste dusze obawy, co rosły w śmierci przecucie.

— Oj, zemrze się komusik, — zemrze...

— Dumince, albo i Agacie najpewniej...

I żegnały się pobożne gospodynie, z westchnieniem:

— Zebyśta skapiały, parsywe...

Na rudawo-zielonym prostokacie kartoflanego pola, odcinała się barwna postać gospodyni. Przegięta do ziemi, uderzała dziabką

w grunt szary, piaszczysty, skąd wygrzebane kartofle rzucała zręcznie w koszyk, stojący o kroków kilka. Opodał widniał wóz samotny.

Robota szła szybko, a że z góry prażył skwar wielki, uciążliwą była, często też pracująca prostowała się, przeciągając białe, pełne ramiona.

— A to ci gorąc okrutny!...

Na rozesłanej obok kwiecistej chustce siedział dzieciak dwuletni, i pokrzykiwał z uciechy, ciągnąc leżącego psa za uszy; wkładał mu palce w oczy, zęby, lub szerść tarmosił. Pies mrużył powieki, i podsuwał do zabawy części ciała mniej na dotykane wrażliwe, rozumując zapewne, że przecie młodemu obywatelowi powinno być wszystko jedno za co go targa, jemu zaś palec w oku sprawia zgola niepożądane wrażenie.

Pękowa pracowała ciągle, raz po raz spoglądała w stronę dziecka, rzucając mu słowa pieszczoty, chwilami coś szeptała do myśli swoich, aż westchnęła głośno:

— Przegniły bestyje, — przymokro im było. Nie przebiedujemy... oj nie...

Od wąskiej ścieżki polnej rozległ się tętent i parskanie konia. Pies zerwał się gwałtownie, spojrział w stronę odgłosów, i nagle przypadł do ziemi, jakby przytłoczony siłą wrażenia...

Zwróciła się i Pękowa, przykrywając ręką

oczy od słońca, spojrziała, zaśmiała się i szybko pochyliła do pracy. Zasłoniła całą szerokością swych wdzięków dziecko i psa, żwawiej kopać poczęła.

Cukier leżał i drżał, — zbliżali się sprawcy jego nieszczęść wczorajszych...

Dzielny hunter, lśniąc w słońcu złotą mascią, pędził olbrzymim kłusem, aż dzwięczała ścieżka pod siłą uderzenia stalowych nóg, wybijających takt mocny, równomierny. Już się zbliżał, — już słyhać było sapiący oddech, już wąty jeździec osadzał się w siodle, hamując bieg szybki, gdy nagle z przeraźliwym skomleniem wypadł pies, i rzucił się koniowi do pyska...

W mgnieniu oka, koń wspiął się, tylko błysnął żółtawem podbrzuszem, i już pędził w szalonym biegu przez pola.

Jeździec za to pozostał, a grzebiąc się w piasku, kłął.

Chudemi nóżkami, spowitemi w fałdy angielskich *breeches*, poruszał delikatnie, aby możliwego nadłamania nie złamać do reszty. Po chwili się uniósł i przysiadł, patrząc w zadumaniu, na szeroko rozstawione, piękne kamasje.

Nad nim, sponiewieranym, marnym, stała Pękowa silna, pełna, kraśna, — śmiała się rześście, szeroko, a echo niosło ten głos, jak rżenie kłaczy mocny, niosło aż pod siny pas

lasu, i wracało, łącząc się ze świeżym, jędrnym dźwiękiem.

Śmiała się, a pochylając naprzód, przysiadła do ziemi i — śmiała się, aż jej łzy z oczów płynęły...

— O, paniczku, panoczku, aż me coś zatkało. Oj, panie Wielmożny...

Pan wielmożny mógł wiele, ale powstać mu było trudno. Leżał więc, uśmiechał się smutnie, i kwilił:

— I wy się śmiejecie jeszcze, szydźcie z uczuć mych, i poświęcenia...

— Ady Wielmożny Pan ma piachu pełną gębę, i bez to gada tak cudacznie, — niech no pozwolą, przez urazy...

Pochyliła się nad nim i wytarła zabłoconą twarz podółkiem, aż mu łzy wdzięczne na oczy spłynęły.

— O i galancie!... Tera niech Wielmożny Pan przywstanie krzyne...

Wzięła go za rączyny, i uniosła w górę, aż stanął.

— Boli co paniczka? — zajrzała mu w oczy z przymileniem.

— Nie boli, — przy was się o bólu zapomina.

— A jużci!... Jakem raz, jakoś, chłopą polankiem dzieliła, to bez niedzielę łaził, a przystękiwał.

— Nie mów tak, kobieto, bo mi duszę rozdzierasz...

— Kiej znów pan coś baję; bo czy to dusza perkalowa, czy ze smaty jaka...

Spojrzał na nią wypłowiałemi oczyma, i westchnął:

— Piękna jest prostota, ale niechże będzie mniej, — prosta...

Z pola powrócił pies zadyszany, utykający, a choć miał wielką ochotę zbadać gatunek kortów, okrywających wąską postać młodzieńca, usiadł opodal jednak, w obawie, że pomścił krzywdy zbyt srogo, i za chwilę usłyszy niemiłą propozycję:

— Cukier, a pódz ino!

Siedział więc cicho, od czasu do czasu tylko na głośniejszy dźwięk głosu zakurzonego panicza, pomrukiwał złowrogo, wnet się jednak miarkował i przelykał ten pomruk, a unikające stąd bulgotanie tak niepokoiło młodzieńca, że zwracał co chwila, w psią stronę blade, trwożne źrenice, że jednak otrząsnął duszę z przykrych wrażeń, a ubiór z piasku, prowadził w dalszym ciągu rozmowę swobodnie:

— A gdybym wam dał krowę...

— Za cóż by mnie chudzinie Wielmożny Pan krowę darował?...

— Za nic, za chwilę wzajemności...

— Kiej nie miarkuję...

— No, żebyście mnie kochali...

— Niby zebym Wielmożnemu Panu do siebie zezwoliła... Jakże to tak, kiej ja jednemu chłopu przysięgała.

— To nic nie szkodzi...

— Jakże nie szkodzi, kiej chłop je sierdzi-sty, a tu i widły, i siekiera...

Zaśmiała się, błyskając białymi zębami, a pod nim zadrżały *breeches* fałdziste. — Baba żartuje ze mnie, — pomyślał.

— A gdybym dał wam dwie.

— Niby z cielokiem, i piernastkę drugą...

— No, — tak...

— Ano, — zadumała się chwilę. — Chłopa się poredzę.

— Broń Boże, kobieto, — zrozumcie, że uczucia nasze muszą być w tajemnicy, zdala od podejrzeń ludzkich...

— Kiej pan znowu cudacznie zagadał... Jo się chłopu poredzę, a gadzinę niech już Wielmożny Pan przyśle...

Schyliła mu się do kolan...

Nastroszony Cukier, jak gdyby zrozumiał co się święci, oczy przymrużył, i oblizał się; śmiać się inaczej nie umiał...

Za to wabiła uśmiechem Pękowa... Z poza pełnych soczystych ust, lśniąc zębów białością, słała pokusę przesłódką w kierunku młodzieńca. Ujęła się w boki, a podając pełną pierś naprzód, mrużyła oczy, szepejąc:

— Jakże panicu... Panicku...

On stał przy niej mały, mizerny, a silny, bo wierzył, że tą licytacją kupić ją musi, prędzej czy później, — kupi ją świeżą, i tak wdzięcznie głupią... Teraz jednak przeczuwał podstęp, bał się straty i śmieszności, odparł więc z przymileniem:

— Nie mogę tak, nie wierzę wam...

— Takie to i kochanie wasze, panicu, — niewierne.

— Kocham naprawdę, i dam dwie krowy, w lesie zbierać pozwolę, korale kupię... Ale...

Rękę ku niej zuchwale wysunął.

— No, jakże?...

— Ej, mizeraku... Ej, Wielmożny Panie, nie za chybko, toć ja gospodyni, nie dwórka, czy ogrodziarka!... Ciego!...

Oczy jej zabłyśły, zacisnęła pięści, podała się w tył bez bojażni. Z poza spódnicy pies zęby wyszczerzył, a dzieciak wrzask podniósł okrutny.

Drgnął zlekka młodzieniec, nie spodziewał się tak stanowczego odparcia zalotów.—Trzeba odejść,—pomyślał, a choć piękne zęby miała Pękowa, Cukier z wyszczerzonymi kłami, wstrętnym mu się wydał.

Zapałił papierosa, podeptał trochę na miejscu, wreszcie uśmiechnął się z pewnością siebie:

— Zostańcie z Bogiem, gospośiu, — złośnico...

— Niech Bóg prowadzi... — i poszedł wąską ścieżką, dzwoniąc ostrogami; odwrócił się, i psu *stick'iem* pogroził.

— Porachujemy się jeszcze.

Cukier mu coś przyszczechnął krótko, a zjadliwie, i głowę odwrócił, jak to zwykle psy czynią, gdy im widok niemiłym się staje. Gdy odszedł kilkanaście kroków, pies zaczął naszczekiwać, a sądząc z wysokości tonów, i zawieszenia głosu, te psie obelgi musiały być bardzo złośliwe, a mogły być przykre, gdyby je panicz rozumiał... Nie o psie jednak on myślał, bo przed oczami stała piękna, dumna Pękowa, a w uszach brzmiały przykre, ponure, jak wichher cmentarny słowa: a tu widły, a tu siekiera, bo chłop je sierdzisty...

— Aż wstyd jak mało nasz lud jest kulturalny...

Zmierzchnęło się już gdy przyszedł Pęk, prowadząc konia...

— Jakże ci?... — spytał.

— Ano udziubałam ze dwa korcyki, maluchne to takie, o... Insze wielkie, a zgnite...

— Nie daj Boże, bo coraz gorzej na świecie, a gorzej... — westchnął...

— A bez co tak, Wawrzon?...

— Bez bidę... Bez to ze człowiek je biedny,

ni to nawieźć, ni narządzić, bo to i źle, i gorzej...

Chłop zaklął, ona podolek zbliżyła do oczów.

— Może ta i Pan Jezusik będzie miał zmiłowanie, nie zabacy nas bidoków...

Chłop ręką machnął.

— Nierychliwy, — nie...

Zaprzął konia, oboje wóz podparli, — stęknęła szkapa, i ruszyła noga za nogą. Dzieciak uczepiony matczynej spódnicy dreptał pospiesznie, przewracał się, szedł, a pobekiwał; pies, idący obok, lizał go po twarzy. Oglądał się co chwila, jakby coś przypominał, i warczał.

Smutno było w chałupie tego wieczoru, Pęk siadł na ławie, głowę zwiesił i medytował; niewesołe miał myśli, bo wzdychał a kłął.

Baba krzątała się u warzy.

Nastawiła wody w bańkę, przygotowała gliniany garnek z kisem, spróbowała, splunęła, podeszła do stołu, i poczęła krajać słoninę.

Spojrzała na męża raz, drugi, zamyśliła się, potem spytała nagle:

— Wawrzon?

— A ino?

— Kochasz ty mnie aby?

— Chłop porwał się z ławy i splunął.

— Cóżeś ty babo zesalała, cy zjadłaś co

niezdrowego, że ci we łbie głupstwa takie... Kartofliśka oto pogniły, zyta trzy ćwiercie, potrawu ani ani, gnoju dwa razy na widły, a ona z kochaniem. Tfy, — grzysznica, jucha...

Pękowa w jednej chwili zalała się łzami, i jęła zawodzić.

— Oj biedna ja sierota, oj chłopie podły, coś mnie zagubił, zmarnował gospodarską córkę.

Pęk nie mógł się uspokoić z oburzenia. Chodził po izbie, potraçał sprzęty bosemi nogami, spluwał, kłął, mruczał, wreszcie odsapnął jakoś, podszedł do płaczącej i trącił ją:

— Markotno ci, — i bez co tak, głupia?

— Oj biedna ja sierota... — wybuchnęła głośnie, — oj biedna...

— Cichaj, nie bec na tę bidę jesse... No, cichaj Jadwuchna...

Uspokoila się powoli, wreszcie przytuliła się do męża, podniosła piękne zapłakane oczy, i spytała cicho:

— Wawrzon?

— A ino?

— Nic mię nie kochas, ani tyła?...

— Cy cię źle kobito, może cię co ugryzło? Miarkuj, żebym cię aby za to kochanie nie zeproł...

Patrzył na nią osłupiałemi oczyma i groził, zgoda jednak zapanowała pomiędzy małżonkami, gdy zasiedli do wieczerzy. Na stole dy-

miła misa z żurem, obok się wznosił pagórek kartofli. Przeżegnali się, i biorąc łyżki, jeść poczęli żwawo...

— Cie-go, sperkę już wyżar...

— Tyla mojego co se podjem zdziebko...

Po zaspokojeniu pierwszego głodu, jedli powoli, spokojnie i dużo, jak na osiadłych gospodarzy przystało.

Zniknęły kartofle, chłop misę bliżej siebie podsunął, i już po jej dnie łyżką dzwonił, wdychać zaczął i głośno poziewał.

Ona oparła rumianą twarz na rękach, utkwiała błyszczące, siwe oczy w zmęczonej twarzy męża, i rzekła z uśmiechem:

— Kiej byłam u kartofli, psylecioł ten chuchrocek ze dwora, i zagadał do mnie...

— A cóż ci zagadał?

— Nic potem takie gadanie... Prawił ci ta różności, o krowie gadał, dwie mi obiecował, niby za kochanie moje, dwie, — z cielokiem i piernastkę, powiada, dam...

Chłop spojrział na nią, pomyślał, i po długiej chwili, rzekł obojętnie:

— A no krówska by się zdały, ino że, — z wypasem jak?

Zerwała się z ławy gospodyni.

— Cóż ty, Wawrzon, bój się Boga chłopie, takie to kochanie twoje, takam ci to żona ślubna?... Ja myślałam, że mię prać będziesz żem gadała, że mi obiecował, a on nic, —

jesce przyświadcza... Jakże to chłopie, Boga nie bojący?

Poczęła go szarpać za sukmanę.

— Jakże to myślisz, na grzech me chcesz dać?...

Chłop znowu zastanowił się chwilę, podniósł do ust okruszynę kartofla, cyknął śliną przez zęby, i patrząc gdzieś w stronę, mruknął:

— Jo nic, — ino powiadam ze krówsko by się zdało, a dwie, to — ha!

Pękowa porwała się za głowę, i rwąc włosy z głośnym płaczem wypadła z izby. Chłop oparł łeb kołtuniasty na łokciach, i myślał; po chwili ruszył z chałupy, podszedł do płaczącej na przyźbie.

— A to Jadwuchna, na jutro obleczenie daj mi z komory. Na jarmark siwą prowadzę...

— Ostatnie zyjące z chałupy... — przez łzy szeptała kobieta.

— Ano cóż, kiej nima sposobu, a i tak nie przebidujęm bez zime.

— O Jezu, o dobry Boże... O sirota ja bi-dna...

— Ino nie zabac Jadwuchna... A wracaj do izby, bo ziąb idzie.

Za progiem chałupy odwrócił się i dodał:

— A jakby ten chudziok psylecioł, to niechże ci i tę łąkę ode grobli, na wypas zezwoli...

Kobieta powstała, chciała coś odpowiedzieć,

lecz opuściła się na ziemię, zakryła twarz ząpaską, i cicho płakała.

Obok niej kręcił się pies, niespokojnie skomlał, trącał ją nosem, drapał łapami, odbiegał do drzwi, wracał, i znowu pisał, aż przysiadł, i wyć poczał żałośnie, tym razem nie nad swoim nieszczęściem.

Pękowa podniosła się, odpędziła go, i powstrzymując łkanie, chłoneła powietrze przez spieczone wargi.

Piękna jej twarz miała wyraz zaciętości, usta jej drżały, szepcząc:

— A niechaj!... I krówska będzie miał, i łakę, ale mnie to nie... oj nie... podły chłopie...

I znowu zapłakała rzewnie.

Chłodny wiatr jesienny ruszył jej lzy, rozwiewał ciemne włosy, z pod zsuniętej chustki, i chłodził twarz płonąca.

Z poza chmur wyjrzał księżyc — stary szyderca co widział łez tyle, i śmiał się z nich zawsze: widział miłość i zdradę, — na śmierć patrzył, i na poczęcie, śmiał się i wtedy... Cóż go dziś lzy jednej Pękowej obchodzić mogą, — martwe oczy w nią utkwil, zimny, niewzruszony jak świat.

A ona patrzy w jego bladą twarz, i modli się, bo przecie za tym księżycem słodki Pan Jezusik mieszka, — Jezusik miłosierny, — Ten co uczciwości broni, i biednym ginąć nie pozwala.

Niebo zaledwie zbladło po ciemnej nocy, gdy skrzypnęły drzwi u chałupy, i wyszedł z nich chłop ubrany do drogi; powlókł się do stajenki, kopnął leżącego konia, a gdy ten powstał, założył mu parcianą uździenicę, i wyprowadził na podwórze. Tam go obejrzał uważnie i mrugnął:

— Nie przedom cię, nie, ino z oczów ludzkich trza zejść, a i raźniej, gdy na krzywdę człowiek nie patrzy.

Podprowadził szkapinę do kamienia, wszedł, przełożył nogę przez chudy grzbiet, pięścią huknął po gnatach, koń stęknął i ruszył... Zaspary Cukier wyjrzał z beczki, a widząc, że nie dzieje się żadne nadużycie, zaszył się znowu w słomę, i nagarnął jej wysoko od wyjścia, bo wiatr dął zimny, deszcz mżył przykry, a pies był rozumny i doświadczony.

Późno wstała dnia tego gospodyni, a ukończywszy pospiesznie codzienne ranne zajęcia w izbie i obejściu, zasiadła na kamieniu przed chałupą, i zamyśliła się nad czemś, popłakując od czasu do czasu.

Jakoś o południu, podeszła do psiego mieszkania, i wywołała stamtąd »Cukierka«, rozkazując mu iść za sobą... Pies wyskoczył chętnie, łaszac się i podskakując, w chwili jednak kiedy zbliżali się do stodółki, ogarnęły go złe przeczucia, zamienione w przykrą pewność,

gdy gospodyni stanęła w ciemnych wierze-
jach, i poczęła gościnnie zapraszać do środka:

— Cukier — Cukierek, chodzi-no piesku,
chodzi pokracny...

Pies począł się zwijać, tulić do ziemi, pi-
sząc pokornie, jakby chciał wyrzec:—Sługa
twój nie godzien, o pani... — ale nie poruszył
się naprzód. Wszelkie pieszczoty i obiecanki
chlebów, kotów, przyjmował ze szczerą wdzię-
cznością, uderzał ogonem po ziemi, oblizywał
się, czołgał, ale nie szedł, owszem cofał się
nawet nieznacznie w przeciwnym kierunku...
Uśmiechnęła się na to Pękowa.

— Cie-go, — jaki mądrała...

— Podeszła ku niemu, wzięła na ręce, i po
chwili zamknęła w ciemnym, niemiłym wnętrzu.

Cukier musiał się poddać tej przykrej nie-
woli, ale wcale się z nią nie godził, wiedział,
że wydostać się stąd może, gdyż rozumny pies
ma wszędzie swoje przełazy, zwykle nocami
kopane, rozumiał jednak, że spotka go wtedy
kara i drugie zamknięcie... Tam w samym
rogu, pamięta, podkopał się zeszłej zimy do
wnętrzości z wieprza, zachowanych w sto-
dole. Pamięta tę noc doskonale; rozpoczęła
się tak pięknie, jak sen rozkoszny, ranek był
jednak przykry, jawa bolesna, w twardym
rzemieniu zakłęta.

Przełaz zasypano wtedy, nietrudno jednak
będzie powołać go znowu do pożytecznych

celów wygody osobistej, na to czas jednak
o zmroku, a do tej chwili spać można spo-
kojnie, — ciepłej tu nawet, jak w beczce...

Budził się często, i nasłuchiwał, nie zau-
ważył jednak nic podejrzanego. Obok gda-
kały kury, jak co dnia, na starej gruszcze
wróble odprawiały zwykłe wiece jesienne,
z oddali dobiegały głosy psów, a Cukier, zna-
jąc okolicę, rozróżniał je łatwo, skąd który,
poza tem szum wiatru, pluskanie deszczu,
usposabiały go do snów i marzeń, tak boga-
tych, w piękne, wesołe obrazy.

Zbudził się już po zmierzchu. Nad zagrodą
unosił się spokój, — spokój wsi, przerywany
łagodnymi dźwiękami dalekiej muzyki, i śpie-
wem pijanego chłopca, którego głos brutalny
rozchodzi się jakoś po rosie, łagodnieje, do-
straja harmonijnie do odgłosów pola, i brzmi
miękką muzyką nieuczonego zespołu dźwięków
przyrody. Pies słuchał, nie słuchał, nozdrza
mu drżały, coś wietrzył, — nagle zerwał się
niespokojnie. Podbiegł ku wierzejom, przy-
sunął nos do szczeliny, sapnął, szczechnął, po-
ciągnął nosem, znowu i znowu, aż począł
ujadać wściekle, drapał twarde klepisko, gryzł
wrota, wył, piszczał, ciskając się na wszystkie
strony...

Na dworze był jego wróg, przechodził
tam... Jest jeszcze, — nie wyszedł... Takie wra-

żenia błon śluzowych mózg psa pochwycił, sercu żywo bić kazał i zbudził w nim złość...

Podbiegł do rogu stodoły i poczał drzeć ziemię pazurami... Trudna robota, bo przelaz zawalili ludzie kamieniami i żwirem, pracował też z zapalem, aż dyszał ciężko, i w pracy ustawał, — kładł się wtedy i odpoczywał, i znowu brał do pracy mozolnej... Oddech psa stał się krótki, świszczący, ciało ogarniało wyczerpanie, a im przelaz był głębszy, robota cięższą się stawała, piasek gliniasty zalepiał nos, oczy... Wykopie, — nie wykopie, — darł ziemię, i skomlał...

Gwiazdy już wystąpiły na niebo, gdy ukończył trud ciężki, i przelazł... Pędem rzucił się naprzód, z nosem przy ziemi, skoczył do wrót, zakręcił się, i popędził z powrotem, — zatoczył kilka kół coraz mniejszych, aż przypadł do drzwi chałupy, — przycisnął nos do spodu... Jest...

Odbiegł kilka kroków, wietrzył trop znowu, i znowu do drzwi się cisnął: — Jest, — napewno jest...

Chciał wyć, szczeekać, radować się, ale przywarował w progu i czekał, — nie odpoczywał, bo drżał cały...

Gościńcem śpieszyła poczta, głos trąbki zbudził po chatach psy wszystkie, i wszczął się hałas wielki... Cukier uchem poruszył, drgnął, ale pozostał... Na podwórzu gryzły się

szczury, kot obcy, czarny przesunął się tuż obok niego, pies spojrział, i głowę odwrócił... Czekał...

Minęła jedna i druga godzina, a gdy znikły gwiazdy, zabrzmiały pierwsze hasła poranku; na gruszcze odezwała się sikorka, po niej raz po raz, zaświergotały wróble, od pola przyleciał z wiatrem głos poranny dzwonka— »do doju«, zaklekotał bocian na łące, porykiwały krowy, śmiał się żrebiec do kobył.

Cukier powstał, nastawił uszy, bo dosłyszał szmer cichy, potem szept, kroki... Ktoś szedł ku drzwiom, nacisnął je, i powoli otwierał...

Przysiadł i trząsł się, — warknął głucho, skoczył, i wpił zębami w szarą postać człowieka... Krzyk bólu, potem chwila szamotania, nagle strzał buchnął, przemknął cień jakiś, i znikł na gościńcu.

.

Z poza lasów wyszło słońce, i wielkie czerwone sunęło powoli, darząc światłem, szczyty grusz polnych, potem zabłysło złotem na poszyciu chałupy, zamigotało tęczą na szybach, a w końcu promień ciepły i jasny zszedł za próg chaty, i usłał się świetlaną smugą, na drgających krwawych kudłach zwierzęcia.

Za cześć zagrody...

Wesoło powracał Wawrzyniec Pęk z jarmarku, jechał truchcikiem na swej kobyłce, chwiał się, a podśpiewywał, wybijając okutymi butami takt na chudych bokach wierzchowca. Klaczka trzęsła starą hakowaną głową, i spieszyła z wyteżeniem, czując stajnię blisko, gospodarz za to dojeżdżając do chałupy, chmurniał widocznie, rozweselił się jednak gdy ujrzał w obejściu dwóch parobków, a przy nich krowy, powiązane sznurem za rogi.

— Wi-jo, siwa!... Żakołatał butami po żebrach szkapiny, i wjechał w ogrodzenie.

— A cóż...

— Od dziedzica, od młodego, dwie krowy przywiodłem...

— Lo mnie?

— Jo ta nie wiem, lo was, cyli dla baby, cyli za babę... — uśmiechnął się, mrugając, parobek.

Pokraśniał Pęk, oczami ponuro błysnął, i rzekł groźnie:

— Nie gadaj bele cego, bo...

— A co mi ta, — nie moje dzieło... Kazali, to i przywiodłem, ino miarkuję, ześta mu tyz co musieli ochwiarować...

Uderzył krowę po grzbiecie, aż się przygłęta, i prawił:

— To wielgie krówsko niezgorsze, a i jałoska galanta, — baba wasza teraz nie byle-jaka, bo to i biała, i w sobie...

Pęk skoczył ku chałupie.

— Będzie proł... — zwrócił się parobek do towarzysza, bladego kudłatego chłopca.

— A bedzie... Jakze inacej?...

— Ale krowy jego?

— A jego...

Westchnęli obaj.

Z izby rozległ się krzyk przeraźliwy, — odgłosy razów, i przekleństwa. Parobcy podeszli pod okno, i przyglądając się, wykrzykiwali:

— Sprawiedliwie tak, — kozicą wydrę... Jesce ją...

— Za kołtuny Wawrzynie...

— Bez łeb sukę, — matkę...

Za chwilę, z izby, Pęk wyszedł, krew miał na rękach. Z chałupy dochodziły jęki nie-szczęśliwej.

— Tera krowy juz wase... — bezzecznie uśmiechnął się parobek.

— A moje, — za krzywdę moją.

Wziął za sznurek, i pociągnął ku oborze, opierające się zwierzęta, — ustawił je przy żłobach, i starannie oglądać począł: uderzał po krzyżu, ścisnął za gardła, zaglądał w zęby, oczy, racice, w końcu rzekł:

— Nizgorse bedloki.

Zarzucił im trochę słomy, uderzył raz jeszcze po szyjach, i spojrzał z zadowoleniem.

— Niezgorse i w sobie podufałe...

Dochodząc do chałupy przystanął i mruknął:
— Zeprołem, bom zeproł, ale tak było
potrzeba...

I groził pięścią ku izbie.

W progu potknął się o trupa psa; — spoj-
rzał bezmyślnemi oczami, i kopnął go w wy-
szczyrzone zęby...

W Zapolu, pod Grodziskiem, 1901 r.

Małe kobietki.

Wiosna, nie wiosna, ale już sezon, więc
choć mróz ostry, drwiący z barwnych, cie-
płych wystaw sklepowych, chwytą za uszy,
łzy do oczów ciśnie, szarpie za wątle koń-
czyny, w letnią kratkę odziane, to jednak już
paryżanin wiosennej fantazyi nie straci. Choć
dzwoni zębami, — na upał narzeka, wciąż
w górę blade oczy podnosi, rychło-li wesołe
słoneczko przedrze chmury ponure, w duszy
zabłyśnie, do serc wrażliwych nowe przynie-
sie uczucia, — na długo, — na cały sezon
wiosenny...

Niechże tylko zabłyśnie, choćby na chwilę,
już wnet zbudzi pieśni natchnienie, a niech
tylko, pierwsza z tysięcy, zwrotka wiosenna,
gdzie na bulwarach zadzwoni, niema już zimy,
koniec troski węglowej, i chłodnej niedoli.
Wtedy, choć i mróz zleci, w lodowym uścisku
zatrzyma Sekwanę, któżby na to uważał, kiedy
się kocha, i śpiewa o wiosnie...

Śpiewają starsi, żartują z chłodu; piszcza za nimi i dzieci, a cała sinołydkich czereda już po Luksemburgu harcuje. Kto na wyludnienie Francji narzeka, niechże tam idzie, w świat młodych — najmłodszych, a serce ucieszy. Świeżość i zdrowie, zapach, fantazja, wogóle dobry gatunek tych próbek przyszłego społeczeństwa, pokryje niedobór w ilości, i ciek się uśmiecha, już marzy:

— Hej, wróci Alzacya, — odbierzemy miliardy!...

Dumają tam o lepszej, szczęśliwej przyszłości i mamut-arystokrata, i kwiat Rzeczypospolitej — sklepikarz i dobra wróżka Paryża — kokota, i szare matki robocze, a choć różne ich myśli, porywy, patrzą ze szczęśliwym uśmiechem na tę Francję najmłodszą, co jakby w przeczuciu przyszłych trosk wojny, od rana do zmroku, morskie prowadzi batalie. Miejsce owych zapasów, przy wodotrysku sadzawka, bo tu serce ogrodu, tu kipi życie. Gwar, śmiechy, zabawa, bo tędy przechodzi główna arterya państwa kwiatów i dzieci; pędzi ona od wczesnego poranku falę barw, śmiechów, jaką tłum ludzkiego drobiazgu błyska i dzwoni.

— Oh, — *là, là!*... — wesoło jest tutaj, choć czasem i strasznie w morskiej bitwie brać udział. Dość popatrzeć na mężnych kapitanów twarze rozognione, na łzy małych

żon, a usłyszeć ten jęk na wybrzeżu, gdy okręt, za dwa *sous* wynajęty, fala wody zabierze... Wtedy doprawdy tych mocnych, gorących wrażeń, duży, chłodny pan małym bojownikom zazdrości, rozmyśla:

— A może między nimi jest wielki bohater przyszłości, co znowu Europą potrząśnie, krwią nowe określi granice? może genialny twórca odrodzonej Panamy, co świat stary i nowy, arcydziełem oszustwa zadziwi? a może to tylko rzesza przyszłych ludzi — porządnych, dążących drogą małych nikczemności, pospolitych wyzysków, do wielkiego międzynarodowego ideału, — korzyści dla siebie, pod gromkiem hasłem społecznej zasługi.

Młode pokolenie zaprawia się do marzeń ludzi dojrzałych, pieniądź i dla nich pragnieniem gorącym: kto ma *sous'ów* dwadzieścia, z taką flotą wystąpić jest w stanie, że nikt jej nie zmoże... Tryumf jednak i wtedy trwa krótko, bo oto się kończy godzina, i stary obywatel, wynajmujący żaglowce, strąca admirała z urzędu:

— Idź po pieniądze do mamy... — Ale wnet drugi bohater się zjawia, — świetny bohater: aksamit, guzy złociste, rana na kolanie a przy nim świta, i »jego kobiety«. Małe, żywe lalczki, w czerwonych, niebieskich, żółtych blaskach jaśnieją, dawnego admirała odbiegły, wdzięczą się, i szydzą z upadku...

Za chwilę już zapomniany, gdzieś za drzewkiem laurowem, tuli do chustki nos rozżalony, a »łzy czyste, rześiste« po twarzy mu lecą. Ból jakby ucieleśnia się w tej małej figurce; wszystko w niej płacze: żalność, co piersi rozpiera, drży w marynarskim kołnierzu, nieczule guziki porusza, wstrząsa majtkami febrycznie, a cała postać złamana, zgnębiona, — żywy posąg bóleści.

A przed nim i za nim dzwonią głosy dziewczynek, śmiechy, okrzyki... Tryumf innego, i zapomnienie okrutne...

— Ach, jakie fałszywe!...

— Wstydź się i nie płacz... — uspokaja go bona. — Dostaniesz od cioci znowu trzydzieści centymów, i będziesz miał flotę... Dzisiaj i tak bitwę przegrałeś... Zabłociłeś ubranko...

— Dajcie mi okręty, okręty mi dajcie! — tupie mały nogami. — Teraz jabym im już pokazał, tym wszystkim przewrotnym dziewczynom, tym podłym kobietom...

Zbliża się ciocia, czy mama, znowu pociechy słowo, potem chwila ożywionej rozmowy, aż nagle: pęc, — pęc, — i dwa klapsy gorące...

A la guerre, comme à la guerre... a tam u sadzawki nowe zjawisko:

Zwraca uwagę blady, ładnie ubrany chłopiec, amerykański magnat zapewne, bo z własnym jachtem przyszedł pod pachą.

Kobiety świetnego admirała patrzą na przy-

bysza z podziwem, wahają się chwilę, ale oto opuszcza go biała anielska dziewczynka, za nią już biegną dwie liliowe *empire'ki*, już i czerwona dyrektoryatu markiza, żółta secesya... W zachwyceniu krzyczą:

— Parowy ma statek!... Ma statek parowy.

I już otaczają magnata wieńcem barwnych sukienek.

— *Canailles, oh, — canailles!* — porusza się z oburzeniem jakiś zawiedły staruszek, śledzący dotąd zabawy dziecinne. — *Oh, canailles!* — trzęsie głową w cylindrze drugiego cesarstwa, i ciężkim, sękatym kijem grozi spowitej w lekkie gazy markizie.

— Jak pan śmie... Na małe dziewczynki?... — mierzy go złem spojrzeniem, zajmująca połowę ławki, mama w sile wieku.

— Małe dziewczynki? To są złe, przewrotne kobiety, to klęska Francji. Hańba, upadek... Dziewczynki! Zgraja małych kokotek — córki nieodrodne...

— Panie! pan matki znieważa!...

— Niema dziś matek w Paryżu... Tylko automaty, dobra pani — automaty publiczne, pani kochana... — sapnął staruszek, odwrócił się, ręce oparł na kiju, brodę na rękach, i tak upodobniony cyfrze 41, zamarł bez ruchu.

— Oj, musiały jednak panu dokuczyć te, jak pan nazywa...

Jakby ugodzony boleśnie, zerwał się stary,

splunął, do sąsiedniej ławki podreptał; posunęła się jejmość, rozłożyła szeroko ciemne dekoracje wdowieńskiej żałości, westchnęła:

— Stary kawaler... Całe życie od szczęścia ucieka...

A nieporozumienia przyczyna — parowy statek, już pruje ciemną wodę sadzawki: właściciel jego, chłopiec w aksamitnem, marynarskiem ubraniu, otoczony sztabem i barwną świtą, objaśnia »głupim dziewczynom«, zasady mechaniki, urządzenia kotła i tłoków. Mówi dosyć od rzeczy, do słuchaczy się zwraca z pogardą, niby dojrzali, świadomy swych celów prelegent.

— Czy to wy wiecie, co to jest para? co to jest motor?... Nie na wasze rozumy...

— Ja wiem... Para jest białe...

— A motor?

— A motor?... Spytał się pani...

— Oh, dużo wie twoja pani... Motor jest to, co się kręci; motory bywają różne...

— A czy tu jest taki, jak na prawdziwym statku?

— Mój statek jest także prawdziwy...

Ale odzywa się i głos wątpliwości nieśmiało:

— A czy każdy statek prawdziwy musi być także na sznurku?

— No... naturalnie... Ach, nie nudźcie mię, proszę...

— Nie nudźmy go... — powtarzają sobie dziewczynki, strwożone chmurą, co zasępiła blade czoło młodzieńca.

Cisną się do małego despoty, wdzięczą, schlebają próżności, a w każdej główce myśl jedna, jedno ciche pragnienie:

— Żeby chociaż za ten sznurek pozwolił potrzymać...

Możny właściciel parowca zna te marzenia, ma na ich rozbicie twardą odpowiedź:

— Jeszcze czego?! Przecie ty jesteś dziewczyna...

Tak, — dziewczyna — istota niższa, słaba, niedołężna. Wiedzą o tem małe kobiety, i godzą się z losem, nie walczą; obce im jeszcze równouprawnienia ideały, okrzyk: »*A bas les hommes!*« — jeszcze nieznany.

I stoją przy panu stworzenia ciche, uległe, w doskonałość wierzące.

Nagle niespodziewane zjawisko porywa oczy, zajmuje wszystkie umysły. Na wodach sadzawki zjawił się współzawodnik parowca. Skąd się tu zjawił, do kogo należy, nikt nie wie, ale — prześlizgnął. Leci, jak strzała, cały czerwony, i jest na nim chorągiew.

— *Oh, il est électrique, c'est lui là!* — pisk się podnosi, — i żegnaj kapitanie parowca!

Już też go odbiegły dwie liliowe *empire'ki*,

już i czerwona z dyrektoryatu, za nią żółta secesya, i biały burnusik, jedna tylko Pompadour nóżkami przebiera, niepewna jak się zachować, w myślach waży co lepsze.

— Chcesz, trzymaj za sznurek... — słyszy słowa zdławione.

Ale, — *électrique, électrique*, — aż dzwoni w powietrzu pokusa; mała markiza jeszcze chwilę się waha, w oczy chłopca spogląda, a tam już łyzy błyszczą.

— Mazgaj!... — szepcze z pogardą, odchodzi wspaniała.

— Masz pani kobietę! — krzyczy z ławki staruszek. — O, biedna ty Francyo!

Z godnością porzuca mała markiza, lecz że młodość nie zna jeszcze wytrwania, drepczą żółte buciki coraz pospieszniej, bo piękny jest statek zwycięzki, i jakże mizernie, przy nim, ten drugi wygląda. Piękny jest także jego właściciel: jasny blondynek, włosy ma w puklach, cudownie mu w tem niebieskiem ubraniu, a jaki w obeiściu wytworny... Cóż to za porównanie do źle wychowanego Gastona.

— O, nawet mu już pary zabrakło!...

Ale biedny wzgardzony nie chce tryumfu ustąpić; klnie jak dorożkarz paryski, oczernia współzawodnika, jak przedsiębiorca żegluga na Wiśle, — i pali pod kotłem siarczyście.

— Niech pęknie, — ale on teraz pokaże.

I drżą ręce w pośpiechu, a łyzy wielkie, gorące: — puk, puk, — spadają na blaszany pokład okrętu.

— Mazgaj! — piszczą małe kobiety.

— *Oh, canailles, canailles!* — zżyma się stary.

Za pałac senatu ucieka słońce; pas złoty, płomienny wysunął się ponad kępy lip i kasztanów, zabłysnął drobnemi światłami na zmarszczonej powierzchni zbiornika, jakby rozrzucił blaszki złociste na głębokich szafirach, jakimi przedmrok brudną wodę ustroił.

Przed gmachem zmieniła się warta, głos bębna zadrgał w powietrzu, poleciał falą w przestrzenie, codzienną żalność w sercach obudził:

— Zamykają, — do domu iść trzeba.

Przedsiębiorca, wynajmujący okręty, już całą flotę na wózek ułożył, złym czasem posłał przekleństwo, pchnął budę przed sobą, i sunął za starą towarzyszką, wolnym, zmęczonym, krokiem. Dźwignęły się mamy z ławek i krzeseł, rozległy nawoływania, płacz rzewny i sprzeczeki, gdzieś głoś żal:

— Ja nie chcę!...

— Mówi się: dziękuję, ty dziecko, niegrzeczne.

— Ja dziękuję z ogrodu... — i raz po raz, przysiadła na ziemi, wleczony za rękę.

Z ławki uniosła się jejmość. Potężna, wspinała, kołysząca się niby pancernik, przeszła obok suchego staruszka. Pięknemi jeszcze oczami zmierzyła jego postać mizerną; zdawała się mówić:

— I po co taki stary wielbłąd żyje na świecie?

Dziewczynki, w gromadkach, zebrały się na zwykłą naradę: coś mówią, coś radzą, twarze uroczyste, poważne, tajemnicze szepty, z »sekrétów« zwierzenia, i plany na jutro.

Nagle jakby odżył staruszek, powstał szybko, trwożnie rozejrzał, w ciżbę dziewczynek chyłkiem się wsunął, małe paczki cukierków z kieszeni dobywał, gubił po ziemi, cisnął je w rączki.

— Macie marne istoty!... Macie, — złe, przewrotne kobiety...

Małej blondynce na złote włosy, ciemną, drżącą rękę położył, i gładził niezgrabnie; pochylił się ku niej, i szeptał wzruszony:

— Dziecko kochane, — ty... — radości nieznana...

Oczami zamrugał, i — uciekł na ławkę.

Po chwili zbliżył się do niego policyant, w pochylone plecy go trącił.

— Panie, trzeba wychodzić, — pan spóźnia się zawsze...

— A tak... — Podniósł trzęsącą się głowę, uśmiechnął boleśnie: — Tak... Zawsze...

Wsparł się na kij, i ruszył z ogrodu.

— Waryat, waryat! — krzyczały za nim dziewczynki.

Calvados, 1904 r.

Z bożej łaski.

Do pracowni szkoły sztuk pięknych, głośno stukając butami, wszedł Józef Chlust z pod Łowicza. Od stalug ten i ów głowę odwrócił, i spojrzał ku tej wielkiej, niezdarnej postaci, z którą, zda się, wsi mocny powiew — zapach stajenny, zawitał.

Chlust, rosły, rudawy, o twarzy sennej, bezmyślnej, ponuro zebranych zmierzył, potem po stalugi ruszył, powlókł je za sobą, z grzmo-tem w oddalonym kącie ustawił, w pozującą zmęczoną dziewczynę się wpatrzył, i — splunął wyraziście.

Szmer po pracowni przeleciał, zdziwieni spojrzeli uczniowie, a Staś Krasnohorski, ładny, rasowy chłopiec, odezwał się głośno:

— Tu akademia, mój pa-panie, nie stodoła...

Chlust drgnął, zbliżył się, i pochylając, w same oczy mu zajrzał:

— Czego?

— N-nic...

— No-ol... — mruknął, ku stalugom się

zwrócił i już szybkimi, pewnymi ruchami postać modelki na kartonie znaczył.

— Majster! — błysnęło w myślach kolegów.

Chlust »stawiał« figurę, węgiel pryskał mu w palcach, kruszył się, on kłął wtedy, a dalej rysował, nie zwracając uwagi, że teraz już wszystkie spojrzenia na sobie zatrzymał. Widoczna śmiałość linii, pewność siebie przy pracy, budziły podziw w zebranych.

— Cham, ale — rysuje... Co? — szepnęła ktoś do sąsiada.

— Talent... Samouk...

Jeszcze chwila, i Chlust energicznie pracę ukończył, węgiel cisnął o ziemię, odetchnął, potem pudełko otworzył, kilka barw na palecie zabłysło. Szerokim, a miękkim ruchem, malować począł.

Ustała robota wokoło; uczniowie, pracujący nad samym rysunkiem po dni kilka, zamarli w podziwie. Cisza zaległa w pracowni, a w ciszy tylko serca kołaczą, myśl wrażliwa pracuje: co lepsze... rysunek czy kolor? Bo że siła być musi, ruch szczery, to pewne, to czuje się przecie.

A Chlust już zlekka pędzlem płótna dotyka, oddala się od stalug, i oczy mruży, i znowu ledwo że muska swą pracę, aż dziwiskąd w tych wielkich, czerwonych łapach bierze się to wycucie, skąd w duszy prostaczej ta łaska... Łaska to Boża, a za jej sprawą,

i kowal wioskowy, misterną, na złocie, miniaturę wypieści.

— Tak, łaska Boża... — przelatuje przez myśli, a w młodych sercach ciche zawiści powstają, walczą z uznaniem, miłością dla tego, co piękne, co z tej łaski, z talentu się rodzi.

Uderzyła godzina, i ruszyli wszyscy jedną siłą porwani: zobaczyć! Chlust, szerokiemi barami kąt ze swoją pracą zagroził, błysnął złemi oczyma:

— Czego?

— Nic...

— No-o!... — Szarpnął płótno ze stalug, otaczając go ciżbę rozgarnął, i stukając podkowami, wyszedł. Smutne, zawiedzione twarze za sobą zostawił, ale w myślach tem większe uwielbienie, cześć dla talentu, co silny, zuchwały, mdłą uprzejmością pogardza.

Ale wnet zaszumiało w pracowni:

— Technika, co?

— Co technika! Dusza, prostota, rysunek!

— Widziałeś choć trochę?

— Po co? Marna publiczka niech wacha obrazy, niech je lornetuje, a ja mam przeżycia, i to mi wystarcza. Ręczę wam, że linia to Hogart, a moc naszego starego!

— Tak, tak... A kolor?

— Spojrzałem na paletę to dosyć, i ja wam

dziś mówię, że takiego tu u nas jeszcze nie było.

— A plastyk?

— Ja myślę... Widziałeś, jak oczy mrużył, modela żywcem jadł...

— Psiakość...

Rozeszli się, a każdemu myśl w głowie zasiała:

— Takim być, tak czuć, tak rozumieć!

I pomknęła wieczorem po kawiarniach wieść lotna o synu chłopca z pod Łowicza, — Chłuscie, co cztery stypendya bierze, ale rysuje, jak sam Holbein, a kolor... kiep Tycyan: Chlust świeższy!

Minęły dwa tygodnie, i całe miasto wiedziało o samouku genialnym, bo oto dziennik poczytny z ciepłych słów wzmiankę o nim zamieścił, kończąc a *capite*:

Cześć ludowi naszemu. W nim sztuki odrodzenie!

Choć tym sposobem talent artysty stał się już dobrem społecznym, a promienna droga sławy otwartą mu była, trwał on jednak w dawnej skromności, pracował ciągle w tym samym kącie, i osłoniony tajemnicy nimbem, dzieła swoje krył przed okiem ludzkim, z brutalną godnością. Obok niego przesuwwały się codziennie smutne twarze, trawione gorączką wiedzy nigdy niedościgłej, zmęczone głodem i troską postaci, i młodzi zuchwalcy, drwiący

z przeszkód, jakie życie im stawia, a on zawsze zimny, spokojny, syty, odrzucał korzystne prace, gardził pieniędzmi i rósł, ponad ten szary, ubogi tłumek malarski. Ten i ów z mizernych, zawistnych przebąkiwał niekiedy, że Chlust nie wypowiedział się jeszcze, że nikt prac jego nie widział, patrzono na niego wtedy z pogardą, jak się patrzy na ludzi, co ponad proch ziemny zaledwo wyrosli, a marną odurzeni zazdrością, chcą stawiać zapory na drodze olbrzymów...

— Poczekajcie, pokaże on kły i pazury, zgęźbi padalców!...

I oto nadeszła chwila nareszcie, w której talent miał zajaśnieć tym blaskiem, co sowie oczy nikczemne oślepią na zawsze, z serc za-wieść wypala, — żądło bezsilne.

Ogłoszono konkurs na freski w kościele. Chlust stanął.

Nie mówił o tem nic wprawdzie, bo przecie on wogóle nic nigdy nie mówił, cóż się jednak przed przenikliwością malarską ukryje?

— My wiemy, a skąd wiemy, co komu do tego? — i drwili z tych, którzy Botticellemu, Rafaelowi sławy zazdroszczą, a dzisiaj z Chlustem pragną się mierzyć.

— Buchalterzy, pacykarze, trąd sztuki polskiej...

Zbliżył się dzień upragniony, przyszła chwila uroczysta, i świat malarski, rzeźba, literatura,

czekały sercem zamarłym wyroku. Aż nadeszła wiadomość, potwierdził ją dziennik, zdarty w jednej chwili na strzępy, niepotrzebny był wcale, bo już w mieście, od krańca do krańca, huczał głos jeden:

— Chlust nie wziął nagrody!

— Dlaczego? — wtórował mu pomruk zły, podejrzliwy.

— Dlaczego? Dlaczego? Wycofał swoje prace, więc nie mógł otrzymać nagrody, — dlatego.

— A-ha-a!... Intryga w komitecie, koteryjki, wzajemne adoracje. Chlust mądra sztuka, przeczuł chłopskim rozumem...

— A jaki taktowny...

— Dzielnie się spisał!

A Chlust zimny, niewzruszony, ramionami poruszył, obfity obiad pilzneńskim już zapił, o przeszłości duma, jak to za lubem chadzał bydełkiem, i wiatraczki strugał, a rzeźbił i jak przyszedł pan dobry, znudzony...

— Hej, galante portczyzka mi sprawił, hej, kurtę, ino, że uczyć się kazał... — do myśli się uśmiecha laureat niedoszły.

To jedyna troska, bo poza nią dobrze mu dzisiaj, wesoło: ma przecie talent, stypendya, i całą czeredę tych głodnych, wierzących, co krzyczą:

— Dobrze że cofnął... On teraz dopiero pokaże!

Nic nie pokazał, bo po co?... Opromieniony sławą, ciągle otoczony tajemnicą zazdrośnej urokiem, sam już w siłę swoją uwierzył, i jak inni — mali-wielcy, zasłużonymi jął gardzić.

Uśmiechał się lekceważąco, gdy o starych malarzach mówiono, drwił w myślach ze szczerých uniesień, i pracy ofiarnej, ale w rozmowy nigdy się nie wdawał. »Ja zrobię, i wtedy pokażę!« — obiecywał niekiedy, ale pracownie swoją, jak i dawniej, przed ciekawymi zamykał, kto jednak w Józefa Chlusta uwierzył, tego blizki tryumf już czekał...

A choć proste to były środki, co go do sławy przywiodły, choć nikt dotąd powiedzieć nie umiał, dlaczego, Chlust właśnie, ma stać się sztuki polskiej ozdobą, jednak zawsze wiara w niego była tak wielką, że jeszcze po roku oczekiwania na dzieło, gdy gromadka spóźnionych malarzy ujrzała nocą światelko w Chlustowej pracowni, zatrzymali się wszyscy, i jedno wielkie westchnienie pobiegło w tę stronę, gdzie mistrz Józef...

— Jakiś kapitalny nastrój maluje przy świecy! — szepnął głos jeden.

— Kata-akumby... — czknął drugi, o latarnię się oparł, oczy wzniosł w górę.

— Widziałeś?

— Zawsze to głupie »widziałeś?« Widziałem! Studya ba-jeczne! — Ręką szeroko ogar-

nał, na nogach się rozparł. — Widziałem: ciżba, tłok, podziemia, kaganki, wojsko, chłód, zimne blaski, same refleksy, ale kolor, ko-olor, i siła okrutna!... Widziałem... — improwizował pijany sztuki apostoł.

— I co my warci wobec niego jesteśmy? pytam się, panowie? — bełkotał drugi. — Co warci?

Porwał za mizerną pelerynkę bladego towarzysza, i szarpał...

— Co warci? Pył, miazmaty, nic...

— Nic, nic! — wtórowali mu inni. — On Europę zadziwi... E-europę, A-azyę, Amer..
Amer-Picon... Zdrowie Chlusta, panowie!

— Niech żyje nam! Niech żyje nam! — aż zbudzony mistrz głowę przez oko wychylił.

— Czego? — ryknął, godowników rozpędził.

W świat Chlust pojechał. Teraz pokaże... Czekano, aż nadszedł znowu dzień upragniony. Mistrz wypowiedział się wreszcie, duszę wyśpiewał, moc ducha zaklął w potężnym ry-synku, uczucie w cudownych barwach, głębokich, tajemniczych jak dusza artysty.

Tak, to był Chlust, cały on, w tym obrazie.

— »Widzenie w Colosseum...« »Widzenie w Colosseum!« — huczało po mieście, a przed pięknem dziełem malarza, tłumy w zastano-

wieniu i podziwie trwały. »Widzenie w Colosseum« szeptali przejęci artyści, i w niemem skupieniu stali zapatrzeni przed płótnem, chłonąc w duszę wrażliwą barwnej harmonii tajemnicę.

— Chlust *pinxit*... Nasz Chlust z pod Łowicza. Pojechał do Rzymu, i patrzcie, i... — tak się maluje...

Dobra, wierząca rzesza malarska patrzy ze łzami. Zawisć uciekła, duma tylko pierś wznosi, ale w nikczemnych mózgach prostaczych, w podejrzliwych myślach filistrów, tłucze się ciągle pytanie:

— Chlust, Chlust, a podpisane Bell-Jury?

O ciemny, zły motłochu, »co jak skorpion własnym zatruwa się jadem!« o marna zgrajo, niszcząca chwilę zachwyty obuchem własnej podłości! — toć jasne przecie, że Bell-Jury — pseudonim, on was może oszuka, ale my w każdym calu Chlusta widzimy.

Ta siła obok miękkich półtonów, chłód wobec blasków gorących, sok, technika — rzeźba... Tylko on jeden tak modelował, on jeden czuł kolor, szarość naszego pejzażu, i włoską jasność zrozumiał, bo on od dziecka małego, kwiatami łąk naszych siwe oczy pieścił, ponure głębie wód naszych ukochał.

— Ale dlaczego Bell-Jury? — pytają znowu mydlarze.

Dociekanie pospólstwa nie gasi płomienia

zachwyty w duszach artystów; oni wiedzą, że Chlust i Bell-Jury to jedno, ich przeczuć i przenikliwości nie oszuka ten wymyślny pseudonim, i korespondencya z Madrytu, — podstęp taki prosty, naiwny, jak dusza tego szczerego dziecka — siłacza. A chcecie? — są i dowody —, rzucimy wam w twarz!

— Taki wąły, blade człowiek, kto się po nim mógł tyle siły spodziewać... — szepnął, pewnego dnia, cudzoziemiec w obraz zapatrzony, a śmiechem parsknęli Chlustowi koledzy.

— Co, proszę? Kto wąły? Kto blade?

— Bell-Jury przecie, znam go doskonale z Hiszpanii. Taki czarny, suchy, w oczach płomienie...

Odpowiedziano mu wtedy z pogardliwą godnością:

— Pański Bell-Jury nie był Bell-Jury. Prawdziwy Bell-Jury, Józef Chlust się nazywa, i nie mógł być czarny i suchy, bo jest blondyn i tęgi. Tak, panie, a jeżeli pan — tego, oto karta moja i — *servus*...

Życiem wiary broniono, a mówią, że ją tak trudno u ludzi pozyskać...

I znowu rok minął, i drugi; obraz dawno w świat poszedł, na wstyd kraju całego, że kupić go za co nie było. Bell-Jury zniknął ze wspomnień, dziesięć szczerých talentów prze-

szło przez szkołę: ten zmarniał, ów rozpił się z żalu, a tamten z głodu gdzieś przymarł, dawno zapomniany. Było złe, dobre — przebrzmiało, Chlust jeden trwał tylko w pamięci.

— Co się z nim stało? Jeden był tylko, jeden był wielki... — mówili starzy, wspominali go, z dumą, po latach.

— Tak, to malarz był duży — prawiono — to pan był, co czuł i rozumiał, a chociaż właściwie w tem jego »Widzeniu«, tak między nami, te dalsze plany były trochę puszczone, no i powietrza za mało, a i rysunek nie wszędzie, przy trochę szarym koloru, i akademickiej kompozycji, zawsze to obraz był kapitalny, i takiego już dzisiaj nikt z młodych... Gdzie im do Chlusta, tym stypendystom z czarnej łaski, obraźnikom sprzedajnym, »Zachęty« sutenerom! Gdzie im do Chlusta, co pewno z nędzy gdzie zmarniał, bo dumna była figura: sztuka dla sztuki... To nie młode pokolenie naszel...

Tak gwarzyli starzy malarze »pod Matką Boską«, przy bombie ciemnego, wspominając dni przeszłych zapalów, dni młodej wiary uniesień, chwile dawnych żalów, zawodów, radości i — głodu, aż zjawił się, pewnego dnia, Chlust między nimi.

Pewny siebie, bogato odziany, złoto na brzuchu, pogoda na czole:

— Jak się macie, łapciuchy!

Rzucili mu się na szyję, ciesząc się szczerze, ściskali serdecznie.

— Jest nasz pocziwy Chluścisko, nasz zacny...

— Jakże ci idzie? Mina magnacka i złoto. Chwała Bogu, choć jeden się czegoś dorobił przy sztuce...

Chlust strzyknął śliną przez zęby, ręce w kieszenie wparł, uśmiechnął się:

— Ano, nie gorzej mi poszło... Piwo pijeta, bo po co gębę po próznicy strzępić.

— Ma styl, ma jak dawniej, a my pijemy jak zawsze, gdy żal się zalewa. Ale jakże ci idzie? Ze świata powracasz, o sztuce gadaj! Dobrześ zrobił, żeś uciekł od naszego bydelka.

— Na bydło nie trza wam gadać, jedno bydło co macie pocziwe. Ano tułało się po świecie, było się i Boże odpuść, malarzem, i tfy! cukiernikiem, potem, musieliście słyszeć, kantor służby otworzyłem na siebie, aż z Bożej łaski, uciulało się trochę i jestem... Placu se szukam...

— Wystawa? Secesya! Tu cię poznajemy... Ślicznie!

— Wystawa!... Na cóż to komu? Roboty nam potrzeba, nie głupstwa! Ślachtuż oto wam wystawię fajny, będzie na co popatrzeć... — ciesza się chłopaki.

Tyle szczerości biło z tych słów prostych,

że tylko zdziwienie rozwarło źrenice dawnych kolegów, cisza zaległa, aż po chwili wybełkotał z nich jeden:

— A sztuka?! Ideały? A Bell-Jury? »Widzenie w Colosseum?»

— Jaki tam jury, funta kłaków nie warto to zagraniczne gadanie... Piwo pijeta?

I pili, aż o świtanie, gdy Chlust głowę już zwiesił, zachrapał, odymając twarz czerwoną, spotniałą, rozczył się stary malarz, i jasna łza, do »z rumem trzęsionej« mu spadła.

— Tak się u nas marnują talenty, tak łaśka Boża...

— Tak... — westchnął drugi głęboko. — Zagryzła go krytyczka, zmarnowali koledzy, publiczność, zmora bezduszna. Hej, Chlust taki człowiek, taki artysta, i co z niego zrobili?

Chlust głowę podniósł, blade, mętne oczy w nich wlepił:

— Nie jestem żadny artysta, bo uczciwie na chleb pracuję, fachu się swojego nie wstydzę, a do bydła zawsze serce mię ciągnęło, nie do waszych durnych secesyów, — do grzechów malowanych...

— Spaczyli myśli, zbrukali tę duszę piękną, a prostą. Oj ludzie, ludzie!...

— Niema co wyrzekać, zarobicie i wy przy mnie. Portret starej każę malować, litery mi drugi na znaku odrobi. Byle bez figłów,

wywijasów, a pod sztrych, równo, to się i dla was znajdzie robota. Zapłacę sprawiedliwie...

Westchnął, senną głowę pochylił i mruknął:

— Niebardo tam malarz na świecie potrzebny, ale przecie i taki żyć musi... To się rozumie.

Już chrapał.

Kraków, 1904 r.

Maj.

Tprrr...

Zatrzymały się konie, cofnęły z chomąt, i potrząsając głowami, poczęły oglądać za siebie. Jeden z tej czwórki fornalskich mizera-ków, snadź niezadowolony z widoku, stulił uszy, i — podobnie jak czynią ludzie w jedno jarzmo pracy wprzągnięci, — za kołtuniastą grzywę szarpnął towarzysza.

— A, tprrr! pokracny, — od sie! zatracony! — wrzasnął człowiek-fornal, i ciął batem pokrzywdzonego, potem lejce o kłonicę wozu okręcił, westchnął, zaklął, odwrócił się:

— Słazić! Niech państwo słazi, ino że jak do boru, to trza steczką, kole Skakałowej zagrody, bo dojazdu niema...

W drabinach, otoczonych gałęziami brzóz i świerków, podniosły się gwar, śmiechy, żałośliwe głosy:

— Już!... Już las... Tak prędko... Ale — gdzie las?

Chłop biczem wskazał oddalony pas siny.

— A stoi wej, bo kajżeby się podział, ino że nieruchawy, nie przyjdzie do miastowych gości.

— Tak daleko... — mój Boże!... Zakurzymy się na nic, a jak się kurz raz w kontrafałdy dostanie, to — amen! — świergocze jasna blondynka anielskiego gatunku.

— Schodzić tam, schodzić... — skrzypi żółciowy staruszek z pliką gazet i parasolem pod pachą, a obok zboląła, wszelako zasobnego ciała kształtu, mama czy ciocia, jęczy barytonem:

— I tak ciągle, mój panie: z lasu do miasta, z miasta do lasu, z wozu na wóz, a zimą na kanapie siedź, pilnuj nocami...

— A pilnujże sobie dobrodziejka, nikt na to dobro nie łakomy.

— Panie!

— Hej, państwo, złazita czy nie?

Nad zielonem obramowaniem wozu ukazuje się czerwona parasolka, obok biała i w rzucik, potem dwie żółte, jak zazdrość, pasterki, różowa bluzka, cylinder, szalik niebieski, łysina... Rozlegają się młode głosy, nad nimi śmiech, i dźwięczne wykrzykniki trwogi:

— Ach jak wysoko... Ależ strasznie wysoko!

— Ja tam nie wyjdę... za nic w świecie nie wyjdę.

— A ja się boję...

— Wyniosę panią, służę, panno Florentyno, zaufać mi proszę swą postać nieziemską... — deklamuje misterny studentik, ucharakteryzowany na księcia Poniatowskiego.

— Ach, — a-ach... A—o—ach, moja falbana! — i zwija się, niby aligator, matrona, usiłując wyswobodzić tak zwany ogon z pułapki, a obok:

— Hop, panno Zosiu...

— Panie, bo — mama...

— Nie budź mamy, kiedy śpi...

— A, ślicznie! — i chyli się trwożna w ramiona.

Wóz powoli opróżnia się z »drogich ciężarów«, już barwne bluzki migają tu i owdzie po wielkiej przestrzeni szarego nieużytku, zdołbego tylko stale mu wierną dziewanną, już ciche dotychczas, szczere pole brzmi okrzykami miejskiej, przesadnej radości, głosami sztucznego zachwyty.

— Jak tutaj ślicznie, precudnie, a jak zielono! Patrzenie, i agrest...

— Kartofle, proszę pani...

— Cynik!..

Z pękiem czerwonych maków u kapelusza, białe, powiewne zjawisko, całe w pliskach, ażurach, mereszkach, na wysokościach wozu pozostało samotne. Zjawisko stroi minki, wdzię-

czy się do oczekującego młodzieńca, śpiewa czy płacze:

— A Tola nie zejdzie, Tola wróci do domku, do, — babci...

— Ależ, panno Teofilo... Bóg niesłusznie białych skrzydeł ci nie dał: zejść trzeba, jak zwykli śmiertelni... Wszyscy już poszli do lasu.

— Niech poszli, a Tola nie zejdzie, bo...

— Bo? Duszo mej duszy...

— Bo Tola, — wstydzi...

— Ady kieckę niech se panna kole nogów obciśnie, i chluśnie z woza... — niecierpliwi się woźnica.

— Ach, jakież ten kmiotek ordynaryjny... Ach, Boże...

— I—ii, — nie marudzić!... Toć przecie drugi raz trza mi obrócić po tych tam, — gości, co w mieście ostały, a tutaj skapy ledwo że ledwo w tym piachu... Niechże panna skika, nie z porcyneli przecie...

Wdzięczna fernalska prostota skutkuje więcej, niż ozdobne prośby młodzieńca, gdy oto za chwilę, pęk maków już tuli się do niewątpliwie wzruszonej piersi młodzieńczej, a białą bluzkę, wraz z całą wdzięczną zawartością, unoszą szczęśliwe ramiona, we mgle tiulów, i *valenciennes* rozwianiu.

— Ach, jaki niegrzeczny!... jaki niegrze... W przyrodzie piękny maj, nad barwną

ziemią dobre słońce, na jej rozkosznym posłaniu jeszcze jedna z milionów sielanka, — tych młodych dwoje, pragnących życia, użycia. Naokół złe oczy, serca zawistne, przesąd ponury, ale i miłości śpiew cudny, cała pieśń tego kochania, co świeże, mocne, wiosenne, tyle serc rozraduje w dzień jasny, noc ciepłą, ile łez rosy zabłyśnie na kwiatach o wschodzie.

Hej, co tam grzech, co pokuta, wobec tej pieśni kuszącej, i — młodzi z ust gorących szczęścia biorą zadatki... On tuli jej główkę, niby mak kraśny spłonioną, i szepce ciche, ciche, a takie słodkie zakłęcia; ona mu wierzy szczęśliwa, i choć milczą usta pragnące, serce bije odpowiedź szczerą, wymowną:

— Tak, tak... — tak, tak...

I — na stary temat, w starym układzie, zawsze piękny obrazek, ale:

— Tfy! — spluwa fernal z pogardą. — Wstydała się, wstydała, i co? Wyściskał, wycałował, zaś teraz gdzieści w szkodę ją poniosł... A niechta! a mnie co...

Rozsiadł się wygodnie, zaklął siarczyście, leje koło garści omotał, i westchnął:

— I, co to to warte takie miastowe tala-tajstwo?... ani to gruntu nie ma, ani rozumu, a do zielonego to to ciekawe, jak krowa albo inne... Wii-issa! ha! i bat w misterną ósemkę

rozwinął, nad czwórką zbiedzonych wyrobników palnął kunsztownie.

— Jezus, Marya!... Co się stało? — i bodaj z samego dna wozu, z pod der, snopów słomy, wyłaniają się fałdy postaci niewieściej, ciemne koronki, falbany, a spowita w nie jejmość piszczy przeraźliwie:

— Co? Co się stało? Kto strzelał, kogo zabili? Gwałt, rozbój!... ratujcie!...

— W imię Ojca i Syna... Wszelki duch Pana Boga... Skądże owe babsko się wzięło?

I sięga biczyskiem, jakby badając zjawisko.

— Żyjące czyli mara? Zbaw, Panie...

Ale oprzytomiała już jejmość, między drabinami się słania, w dal patrzy i trwoży, jak kokosz o kaczęta w obawie.

— Zdrzemnęłam się chwileczkę, właściwie nawet nie... zamyśliłam się tylko, mało to jest o czym, tymczasem ci nic nie powiedzieli, — zabrali się, wzięli i — poszli. I jakże to teraz będzie? Dziewczyna zapłaczę się bezemnie, a dobrze! — sama sobie winna, mogła mię przecie obudzić... Ale co teraz?... jakże ja tutaj?... — i spogląda z trwogą w pogodnie uśmiechniętą twarz chłopca.

— Ano trza pani z woza, koniom lżej, jak to mówią, a pani piechty przetrzęsie się krzyne, krew se zburzy galancie, na zdrowie...

— Tak, tak, ale jakże to? Z woza, łatwo

się mówi... Krzeselka nie macie, mój dobry człowieku?

— Kaj se przysiędę, mam i krzeselko, ino mi użyczyć niejako...

— Jakże więc będzie?

— Ano z prosta: Niech się panisko w tyle ułapi, u drabki, potem nogą sięgnie do buksu, drugą piachu dostanie, i pryska z Bogiem, a prędko, bo mi też śpieszno...

Jejmość zastanawia się chwilę, mierzy przestrzeń, niepewna, wóz bada, wreszcie:

— Pod Twoją obronę uciekam się, — do przodu się zbliża, trwożnie nogę do orczyków wysuwa.

— Mój panie łaskawy, mój dobry panie, a konik nie kopnie, nie ugryzie?

— Jakże ugryzie, kiej kuń ino we łbie ma zęby...

— Ale bo to... Mój panie szanowny... — pracowicie opuszcza się z wozu. — Bo to czasem są takie konie, co to... A jakże... No, chwała Bogu, bez wypadku, ale gdzie się oni podzieli? Cóż ja tu zrobię w polu, biedna wdowa samotna, bezbronna?

— A—ady, ktoby ta panią ukrzywdził? Mało to babów, i młodszych po drodze się uwija, a drugie, że w naszych stronach nicht ta do wdowów nie jest ciekawy... Owa!...

Splunął, ręką przed siebie ukazał:

— A trafić, pięknie se trafi panisko, ino

z miejsca od siebie, zaś u krzyża trzy drogi, to nie zważać a iść, ino zdziebko ksobie, a ksobie, póki do sosny, co ją pieron oszczepił... Ady co gadać, wej pokrzykują na wy-cinkach, majówniki zatracone! Na piwko by się zdało.

— Słyszę pustaków. *Adieu* panu, trafię już jakoś.

— Na piwko...

— Właśnie... Napiję się, napiję, czy tylko aby na zdrowie — odwróciła się, i już wędruje, unosząc wysoko spódnice ponad prunelowe trzewiki, hej, ponad pończochy siwe...

— Jaki piach! co za piach! — wzdycha przyzywając na świadków całe szeregi świętych niebieskich.

Nagle zatrzymuje się, chwytą za głowę, śle wzrok przerażony za kłębem pyłu, gdzie wóz w oddali majaczy, i ciemna postać jej chyli się na kamień przydrożny, a z piersi biegnie spazm bólu, drży szeptem trwogi na ustach:

— Kurczęta!...

I stała długą chwilę w rozpaczny bezradna; żal usta wykrzywił, w oczach łzy błysły, ale zmogła ból w sobie, otrzęsła serce z żalości, w obie dłonie ujęła alpagowe falbany, poszła wśród żaru blasków, przez palące sypkie piachy tej drogi, u której kresu: sześć kurcząt w gazety spowitych.

Poszła z zaparciem się, z utkwioną źrenicą w kurzu obłoki, gdzie ginął wóz drabiniasty, gdzie właśnie fornał uśmiechał się z lubością, do szeregu ptaków złocistych, kunsztownie złożonych, niosących w poddańczej ofierze, własne wątróbki pod pachą.

— Dobrze se beskurcye jedzą!—mruknął.—Widzieć, to widziałem, alem nie smakował onych dobrości. Zabankietuję za to se tera galancie... Śtyry oto zjem zara, jedno lo baby, a jedno w chałupie ostanie, — na pokaz... Pódź-ze, kurosku, ty z brzega!

Wziął pieszczotliwie jednego z ptaków za skrzydło, obejrzał uważnie, potem z ostrożnością dowcipnie zadzierzgniętą główkę odłączył, w szerokich szczękach raz, drugi obrócił, i powoli, medytując, żuć począł.

— Nie trza nic gadać: delikatne... — i jął się kuraka.

Zaś jejmość brnie w piachu, a sapie... Wóz dalej, a dalej...

— Po półtora złotego, jak woły były kurczęta.

A tam w sonej przestrzeni, pod starą gruszą polną, niby pod drzewem wiadomości dobrego i złego, wśród chabrów, powojków, sasanek i jaskrów, we fioletowych cieniach ukryta, biała florencka pasterka, raz po raz, do lśniącego cylindra chyli się bez-

władnie. Pod skronią płonąca, uderza myśl trwożna:

— Ratuj, matuchna... tak mi jest dziwnie...
Tak dziwnie!...

A matuchna wóz ściga...

Paryż, 1904 r.

O Kostce Napierskim i Hance Czubaszównie.

Opowieść.

Zwał się Kostka Napierski, choć pono inaczej mu było. Powiadali, że z królewskiej miłośnicy zrodzony, co i do wiary podobne, albo i żelgane, jako że, pod owe czasy, synów królewskich liczono jak bobu, ale bywało, że inny rad, choć i bez prawa, grzech zepchnął na duszę matczyną, byle zażyć honoru, jako bękart królewski. Jakoż i zażywał, w wyniesieniu nad synów pocziwego rodu, gdzie ubogich chat skromny obyczaj ustrzegł skarb cnoty przed miłościwem spojrzeniem Króla Jmci, Jana Kazimierza.

I nie dziw, że niektóry w grzechu poczęcia chwały sobie szukał, bo z góry, od panów możliwych, od królewskiego dworu, szło zgorzenia *exemplum*. Jako żrebce, brykali pankowie, gustów miłosnych ukontentowania szu-

kając, i z błędów wszetecznych *gloriabantur*, zaś płochość opanowała niewiasty, do tyła, że wdzięczna modestya utrapioną słabością płci białogłowskiej nazwana. Rzec dość, że sama królowa z podkanclerzym trwała w łaskawem porozumieniu, na szkodę małżonka, zaś urodziwa pani podkanclerzyna, pod Króla pana tkliwą opieką, tak samo. I wnet zły przykład, jako płomień, myśli panien dworskich ogarnął, cisnął zarzewie w utajonych sentymentów wstydlivość, warem w młodą krew spłynął, i z wysokiego przykładu *effectus* takowy się stał, że hyle pazik, pokojowiec, dworski pacholek, ciura stajenny, bez pamięci na to, że co wolno wojewodzie, to nie przystoi młodzieży, niecnym się oddawał zabawom, na maskary chadzał, i jako panowie, podstępna sztuką mdły białogłowski rozum zwodził tak długo, aż klejnot cnotki pozyskał, i w słodkiej ukochania wzajemności myśl trawiąc, oczywiście, oddanych sobie porządków zaniedbał. Z czego szkody rozliczne, matactwa, a lud i mieszczanie *victima*.

Naszła chwila jakiegoś miłosnego obłąkania na Polskę, a w niem rycerz, moc i trzeźwość zagubiał; niewieścim wpływom podległy, afekta, zabawę i strój ceniąc nad wszystko, żołnierskie rzemiosło ważył sobie za nic, bez obawy terminów, że wroga siła chciwych sąsiadów, dźwiga się, sunie, aby zgnieść niena-

wistną Rzeczpospolitą, i właśnie tego momentu, gdy w złotogłowiach, bławatach, z kielichem w dłoni, legła ze słodkiej niemocy, w zalotników uścisku, omdlała.

Już ruszył od stepów hetman kozacki, jako zwierz chytry, a nad zwierza mściwy, już Moskwa słała kutych frantów, posłów zdradliwych, i grzmiało wojną od węgierskiej strony, a Szwed strzelbę rozmałą sposobił, gdy ozwała się pycha rycerska, a do poskromienia kozackiej swawoli ochota, i niby na łowy, na gody, na krwawe wesele, dobywszy ze skarbców kosztownej zbroicy, w rysiach, sobolach, lampartach, z chmarą sług, wozów, z kosztownych strojów dobytkiem, purpurowo, buńczucznie, piórno, złociście, stanęli do boju panowie. Lecz gdy zadzwoniły cepy w pancerze srebrzyste, gdy kół chłopski, żelazem okuty, ze stałą hartowaną w Damaszku się zmierzył, i przysła klinga złotopisana, gdy długie spisy kozackie sięgnęły w pańskie żywoty, po życie, a krwią spłynęły na bachmatach frandzle, wstyd panów-szlachtę ogarnął, że chłopstwu dają pole rycerskie, — i pierzechli, wstyd ostawiwszy na pastwę.

Aż zebrali się znowu, sam król *in pesona* hetmana wystąpił, buławę jął, i powiódł szlachty barwne hufce, złotem kwieciste, szumiące.

— Pod Sokalem pomścimy Piławce, i tra-

ktat Zborowski... — powiadał. Trzaskali w szable panowie, jako zawsze przed bitwą.

Ale wstyd pognał w zawód za nimi, i minął, i wszędzie ich witał, i drwił, o zwycięstwie prawił, o łupach, aż okrył taką sromotą blachy złociste, miecze, szkarłaty i — serca rycerskie, że szmer grozy i sądu poszedł od ludu. I ci biedacy, polskiej żyznej ziemi pracownicy, niosący trudu swego ofiarę, z taką pokorą, że sporzej im w słońce bez zmrużenia pojrzeć, niż w twarz jasnego pana, bez trwogi, ci, szarzy jak ziemia zdeptani, nagle głowy unieśli, i spojrzeli w świetne blaski wojska szlacheckiego, zuchwale:

— Co robita, psie juchy? Ziemię chceta zagubić?

Okopali się panowie w obozie, rozstawili beczki z winem na krzyżach, i zwykle swary poczęli, a pod czas gdy w kraju zwątpienie i żal, niby rdza, na umysły padły, zjawił się w Krakowskim Podhalu, Kostka Napierski.

Skąd przyszedł i po co, nie wiedziano zrazu, ale wnet się okazał, i myśli, a serca pozyskał, bo choć twarzy niemilej, i ze szwedzka, czarno się nosił, z lada jaką szablina, — mowny był chwyt, a takiej rzewności w każdym o chłopskiej doli rzeczeniu, że już nikt go nie pytał co zacz, i zali posesyonat, czy chudy pacholek. Człek poczciwy, i dość, — a że krwi

dobrej, to widać na oko, niema co w duszę zazierać.

Dwie niedziele nie uszły, w Nowym Targu wszyscy go znali, a od Bieszczad po San, od Sanu po Ślązk, bodaj człeka nie było, coby o nim nie słyszał. Dobrze to i źle, bo musiał się strzedz, czyli, kto mu nie stoi na zdradzie, jako że wielkie sprawy poczynął, ale szczęśliwie, bo miał już i kompanów na życie, na śmierć. Sawka, jako kozica ściży, soltys nowotarski, co harnego sara za rogi brał, i z nim się mocował, dwaj rodzeni, Dudrasy, Michał i Jan, od których nikt jeszcze słowa nie słyszał, taka była w nich noc, Dziubek ze Starogo Dunajca, co wtedy tylko się śmiał, gdy z nożem na człowieka szedł, i inni, co przedniejsi, już za nim kupą, a czekali co z tego, a patrzyli, jak wiosną kmieć patrzy we chmury: rychło li jasność w nich błysnie? I dziwno było ludziskom, skąd w człeku cherlawym moc taka, że każde serce ku sobie pociągnie: zbój, co z turni wychynał, posłucha co prawić, wnet przylgnie do niego, jak zwierz poskromiony, człek pocciwy także się garnie, rady, pomocy, w złej przygodzie szuka, zaś pojrzy Kostka na dziecko — już ręce wyciąga, idzie bez trwogi. A matki?... Oj Kostka, Kostka! niejednoś ty serce zagubił, niejedną troskę kochania na całe życie ostawił, bez wiedzy, bez woli. A wolne dziewczuchy? Hej, miły Boże,

jakbyś im żaru w zanadru zasypał, — ale nie Kostka, inne miał w głowie zamysły. Nie do pustoty mu było, gdy już duszne pragnienia wolności z przygnębienia obudził, gdy ucisk rwać począł, a czekał chwili sposobnej, aż ciśnie iskrę na prochy, i buchnie krzywda ludzka, i jako grom w panów bezprawia uderzy, pomści, wyzwoli.

Już naokół coś szumiało, coś szło. I luny raz wraz, to dalej, to bliżej. A tam stado porwali, ówdzie ludzi wysiekli, a kto? Niewiadomo. Trzaby się Kostki zapytać, jeśli żywot nie miły. Z Multan, Wołoszy, od Węgrów, co dnia zjawiali się ludzie, i kuso odziani, i w moskiewskich kapotach, i zawojach pstrych, a każdy coś prawić o ziemi, o woli, a choć nie do wiary, to inszemu chudzinie i posłuchać miło, jak pościć.

A Kostka nad nimi, we wszelkim respekcie, rośnie w siłę i władzę, a choć zesechł i zczerniał, jasnym płomieniem mu oczy gorzały, jak gdyby ogień wewnątrz mu trawił. Bo i pewno, że tak, ale święty to ogień.

Aż nagle, i zrazu, przygasły mu gwiazdne żrenice, niezdrowa siność ogarnęła jagody, a zmora-zaduma siadła na czole. Naszło Kostkę nieszcześnie kochanie i — zmogło.

Długo z własnem sercem Kostka się brał. Myślał w niem miłość pogłębić, bo mądrze rozumiał, że jak w bajce, jak we śnie, tako

i w życiu jawi się słodki sentyment: smutną myśl tęczą ogarnie, kwiatami ciernie uściele, ale zdradliwie, mózg, serce, jak kolcami węzowymi otoczy, i wyssie w miłosnym uścisku moc człowieczą, i męstwo rycerskie. Bo nie ostoi się pancierz hartowny białym, pieściwym dłoniom kochanki, niesporo łube piersi dziewczęce do chłodnego tulić żelaza.

Ale też i była nielada dziewucha — Czubaszówna Hanka. Z ojca Rocha, dawniejszych kupców przedniego męża, a w zachowaniu wielce, a należnym respekcie, trwającego po-bożnie.

Handel korzenny, z dziada, miał w Nowotarskim rynku, podle kościoła, a że owdowiał, luba Hanusia fundamentem mu była wszelakiego porządku, zabiegliwa, ochotna, w ojcowem oku żrenicą.

A już gładka, nad podziw, że to i rosła, w miarę opiekła, nie przyjąć, nie ująć, bo i nóżki maluchne, i rączki jakby tylko perły nizały, a sploty barwy takowej, jaką ma końturczyn, jasno cisawy, gdy mu na każdej szerstce złota iskra siedzie. Warkocz nosiła kolistą, a pod nim brwi ciemne łukiem się zbiegły: nad dwiema gwiazdami sklepienia.

Nie wypowiedzieć, jakie były to oczy, bo pod czas dziwnie świetliste, podziwem szeroko rozwarte, wilgotna w nich rzeźwość, jaka aniołowi dana, a pod czas ciemne, ponure,

jakby dziewczka złe miała w duszy, a w myślach każdego grzechu świadomość, przez co powiadali, że i z anioła, i z biesa wzięła urodę, a choć zalotników nie brakło, żaden się jednak na małżeństwo nie ważył, gdy Hanka tak czarno na niego pojrzała. Strach takiej jejmości, dziwożony w domu.

Może właśnie dla takowej przyczyny upodobał sobie Kostka dziewczuchę, bo człek był zuchwały, a dziś, gdy już serca czepiło się mocno kochanie, począł rozważać, od jedy-nego szczęścia na ziemi, jak od złej słabości się bronił. Lecz gdy pomiarkował, że tej władzy, jaką ma nad nim dziewczyna, nie zdzierży, i ani mu walczyć bez niej, ani dla poczętej walki umierać, uległ błogiej niemocy, bo któż szczęściu wróg? — ojca za kolana uścisnął, a czule przyjęty, jejmościance miał deklarować sentyment.

Gdy zaś przed nią już stanął, — oj! cudna dziewucha, — z wielkiej tłumionej tkliwości moc płomiennego słowa omdlała na ustach, i tylko do nóg jej przypadł, i jęknął w żałości:

— Nie żyć mi, Hanka, bez ciebie!...

— Ostaw mię, waćpan, boś mi niemiły. — Tak mu odrzekła.

Główkę pochyliła w krosna, i coś tam dzierzgać poczęła, z takim udaniem, jakby już kawalera w izbie nie było.

Cisnął się we drzwi, i biegł oszalały, ale że wielkiej był mocy nad sobą, opamiętał się w mig, tylko kaftan darł w strzępy, za piersi się chwycił, jakby chciał ból stamtąd wytargnąć, gdy zaś żywego ciała pazurami sięgnął, i we krwi ubroczył, zaśmiał się Kostka. Rękę głębiej w zanadrze zasunął. Myślał, że ból jego spłynie ze krwią, jak u słabych spływa ze łzami.

Ale nie taki był człek. Każde uczucie miał do siły, w miarę, a że radości w życiu nie zaznał, ból go się jął, z mocą serdecznej uciechy, za dwoje, i targał ciałem cherławem, noc, dzień, aż siebie umęczył, i zdrętwiał, jak rana, gdy w niej srogie cierpienie już czucie przegryzie.

Otrząsnął się Kostka Napierski, jasność w myślach mu błysła:

— Ból zmiłowanie. Ukrzepił mnie w siłach... — i skrzyknął górali.

— Idziemy na szlachtę! Bić! Palić!

— Do piekła, panoczku!

— Na śmierć albo po wolność!

— Nie chybić.

I porwał ich z sobą. Nocą dobyli zamku Czorsztyna, rankiem już się Kostka starostą ogłosił; nie czuł, nie wiedział, że obrażona дума w nim gra, a ten zapal, ta moc, ciskająca go w walkę przed czasem — nieszczęsne kochanie, co mąci jasną, chłodną rozważę.

I słał już, jako personat, starosta czorsztyński, uniwersał do ludu, w królewskim imieniu. A pisał w te słowa, że Jego Królewska Mość, pan nasz dobrośliwy, w opuszczeniu od szlachty, a pod grozą rokосу, srogą troską pogiębion, do wiernych odwołuje się chłopków, aby zbrojną ręką, jak w czyjej mocy, z pomocą mu szli, a przed pułkownikiem królewskim, w Czorsztynie, mają się kupić, jako że do regimentowania, i wszelkiej władzy uprawnion. Zaś w nagrodę zdawna trwałej wierności, a wicherzycieli pokarania gwoili, J. K. Mość, w łasce swej niezmierny, wszystkie ziemie szlacheckie, jako własność wieczystą, chłopkom do sprawiedliwego podziału nadaje, przyczem niewzbronnie obrócenie wszelkiego dobra pańskiego na własną korzyść, wedle woli potrzebnej, i to jeszcze, że gdyby w obrobie substancyi opór czyniono, rebeliantów nie żywić.

A podpisano:

Z woli Królewskiej, Starosta czorsztyński,
Aleksander Kostka Napierski.

Człek sprawny, do takowego uniwersału przysposobił pieczęć królewską, a zaufany pacholek, z rycerską odzianą, ruszył samotrzeć, przez województwo krakowskie, i od wsi do wsi, od chaty do chaty, niósł słowa miłosciwe.

Kostka skrzesał iskrę na prochy.

— A teraz do ciebie, słodka dziewczko moja! — i przyoblekł starosta na żupan lazurowy, srebrnemi nićmi dziany, półpancerzyk lekki, w złote ornamenta zdobny, nadział czapkę sobolą, trzasnął w szablę na rapciach, srebrem szmelcowanych, i poszedł dumny, wyniosły, prawie zuchwały, jako należy staroście, gdy z łaską schodzi do mieszczki.

Jasność biła od niego, próżność niewieścią rozumiał, na ustach miał płomień i wielkie w sercu kochanie. Czegóż więcej potrzeba?

Pół koronki nie uszło, nieszczęsny Kostka już wrócił. Siadł na zydelku i płakał...

Nie! Uwidziało się pewno, bo gdy głowę uniósł, śmiał się okrutnie, aż mu łzy biegły. I z tej uciechy widno, taka mu przyszła ochota, że szablę oparł kapturem o ścianę, brzeszczot mocno w garść ujął, i na ostrze się cisnął, aż plusła krew czarna na lazur bławatny.

Ale!! Nie taka ci mdła śmierć, mości Kostko, sądzona.

Jak nawałnica, przez góry, szedł w województwo uniwersał królewski. Dokąd jeszcze nie sięgnął, już wiedzieli, że idzie, bo lud parł falą i grzmiał, a za nim kłębow dymu złowroga chmura, ogniem łyskająca.

Kostka znał lud, znał jego nienawiść do szlachty, i króla ukochanie, znał miłość dla

ziemi, i niczem nieposkromioną żądę rabunku.

A już też serca górali ucieszył. Toć każdy z nich zbój, odda życie za sławę, a nie straszne mu kołem łamanie, targające kleszcze i kluby. Z piszczałką idzie na śmierć, i umiera harnie.

Zebrali się też pierwsi i ruszyli chmarą, a z nimi lud. Cichy, uległy, praw pozbawiony człowieczych, dziś śpiewny, bo idzie po wolę i ziemię; groźny, bo po zdobycz i pomstę.

— Hej, dobry panoczek; sprawiedliwy król!

Wraz trwoga padła na możnych: podstarości grodcy uderzyli w bębny, księża ozwali się z ambon, do króla w obozie i szlachty biegli trwożni gońce, a co było wojska, niewiele, skupiono w oddziały. Tysiąc dragonii, armaty, piechota, Czorsztyn obległy.

Bronił się Kostka, ze skalnego gniazda, a że go jadła serdeczna zgryzota, za nic życie sobie ważył, i śmiał się w oczy wrogom zuchwale. Gdy zaś ci z armat grzmieli, a pryskały kule o twardych głazów niewzruszoną opokę, wojsku urągał, a swoich krzepił, że próżni pankowie konnicą chcą zdobyć tego skalnego ostrogu, »kiedy ledwie orlice pióra donaszały«.

Darli się żołnierze na głazy, — polewał ich warem, smołę na nich toczył, ważył ciężkie bale, gdzie gęściej nalegli, a drwił, że

miazgę dyabłom na pierogi sporządza, i precz obłężenie raził, urągliwem słowem ducha ujmując, a i z długich arkabuzów bardzo skutecznie.

Ale czy wydoła Kostka? bo lud, ogniem się zabawiając, niepośpiesznie ciągnie, a podhalnym kupom, co blisko, niesporo z osękami, widłami, na harmaty uderzyć, bez wodza.

Tak przetrwał dzień, i rad, bo siła napsuł dragonii, dla siebie bez szkody, lecz nocą dawny ból jął go za serce.

— Oj, Hanuś, Hanuś! wždy ci jestem nie-miły?

I Bogu Kostka bluźnił, że nikczemną postać mu dał, urody odmówił, i znowu do Hanki, i już ani snu, ani myśli, jeno ta rzeczność, co najmocniejszego zmoże.

A nie był już Kostka ten dawny a silny, tylko ucisk, a lud w pomyśleniu i sercu mający.

I nawet świtaniem, gdy ozwały się pierwsze armaty, nie pierzchła boleśna zaduma, aż:

— Mości starosto! Bramy dobyli i palą! — huknął we drzwi góral czarny od prochu.

Jak zacny koń, uderzeniem skrzywdzony, zachnął się wódz, wnet Hanka z myśli mu uszła. Wnet za nim ciżba górali runęła w pod-sienie, i już u bramy się zwarli.

Nie kunsztom wojskowym się mierzyć z rozpaczą.

Wżarci w gęstwę dragonskich pałaszy, młynem puścili maczugi, i już furknęły palice zbójckie, okute. Inny porze widłami, ten krótkim nożem błyska, jako myśl szybkim, inny balik skądciś wydarty, w tłok zbity zasunął, potężnie piersiami go naparł, aż zwarty kłęb ludzi odwalił, a wtedy dopiero, jakby sobie przypomniał, że ma łeb zesiekany na nic, padł martwy na zwały.

Gdy tak od bramy umietli, a miejsca przyrosło do boju, chybko skoczą po skalnych zrębach górale, a snadniej im walczyć każdemu z osobna, bo tam palką dosięgnie, ówdzie nogą uderzy, albo i pięścią na odlew, i już śmierć dragonowi, bo nim na dół się stoczy, żywota pozbędzie. Drugiego i tknąć nawet nie potraza, sam leci; to krzyżem się odbije od skały, to głową przystuknie, — poprawi, aż pędu nabierze, gdy już mu szwank żaden nie grozi. Aż dziwno.

— Hej, gruszki spiałe wam trzęsę, zbierajcie ciury, jagłami karmione! — Kostka ryczy z uciechy, ani czuje, że mu ze łba krew pluży, ale któż tam mógł ostać bez szkody na zdrowiu, kto wiedział, gdzie go dosięgło, póki oczy nie zaszły, ręka nie zwisała, albo tchu nie zabrakło?

Wymietli skały do czysta, w Kostkę duch wstąpił, już na basztach przewodzi. Sam jedyną śmigownicę rychtuje, i pali, a wodą po-

lewa, to znowu z garlaczą sypnie gwoździami, a precz na wieżę pachołków posyła, zali chłopstwo nie idzie.

Żle, Kostka! Prochu ledwo że ledwo, kul niema, a juchy, biskupia dragonia, koni pozbywszy, już tył zabieżeli, od Dunajca wory z piaskiem niosą, krzaki, gałęzie, nad niemi drabiny okrutne, a górą kule ogoniaste, płomienne.

Rwie Kostka okna, olów z nich topi, cynowe dzbany, talerze, półmiski idą na ogień; kule, jeszcze gorące, w muszkiety; kamieniami śmigownica wali, i baby już w walce... Żyd, wiadomo do bitwy nieskory, a tutaj, jako Samson drugi, dach z baszty zepchnął: zakłębiło się strasznie, jękło okrutnie, nie ustały armaty, dragoni precz idą...

— Gore! — ktoś wrzasnął. — Gore! — powtórzyło sto głosów, i powstał zamęt, wrzask po nim, a gdy ozwał się odgłos taranów, głuchy i złowrogi, chłopstwo kupą się zbiło, nastawiło widły i groty...

— Na śmierć nas dałeś panoczku, ale i tobie nie życie...

Upuścił Kostka muszkiet niezdatny, zwolna się ku nim obrócił:

— Wydajcie!... Puszczą was wolno... Za jedno mi już, a zawdy sercu lżej, gdy nikt nie zapłacze na mnie... — Zwisnął, na ziemię się osunął.

— Ale i za mną nikt... Nikt... — W szepcie mu głos ustał, a z oczu, rozwartych szeroko, spływały, po sinej twarzy, wielkie krople krwi.

A lud, do wszystkich cierpień nawykły, na wszystkie bóle wytrzymały, spoglądał ze zgrozą na te łyzy, o których, tylko w bajkach, stare babki prawią.

Wala tarany...

Pękły wrzeczadze... Bij rebelią!!

Na Krzemionkach krakowskich, kat-majster smolne portczyśka podciągnął, rękawy koszuli założył, splunął w łapy ryżym włosem porośnię, i skinął na drabów, co Kostkę dzierżyli pod ręce.

Zakołysał się tłum gęsty, jak nabił, głuchy szmer po nim przeleciał, i wnet cisza taka zaległa, jako czasem w przyrodzie, przed tą krzywdą, co Pan Bóg, w ogniu niebieskim zsyła na ludzi. Tłum oddech zaparł, zapłakało dziecko, psu się zebrało na żalność, i zawył, bo czułe są psy.

Górnice wzniósł Kostka głowę, śmieie do oprawcy podszedł, ten do ziemi zlekka go przygiął i złożył, nogi mu rozwarł, a dwaj czeladnicy krzepko za nie ujęli. Po skazańcu ziać przeszedł i ciałem już ciskał, wtedy na piersi siadł mu trzeci, okrakiem, ręce całą siłą

wparł w szczękę, a hycel biały palik, grotem okuty, rychtował.

— Włóczyć, a zwolna! — ozwał się po chwili.

Bluznęła krew...

Gdy Kostkę w górę unieśli, wielkie, nieru-chome źrenice — trupie oczodoły w tłum wle-pił, i nagle, zdało się, że coś ujrzał dziwnego, gdzie godniejsi państwo siedzieli... Zabelkotał, ręce boleśnie wysunął, jakby kogoś przyzywał.

Wszyscy tam wzrokiem pobiegli, ale któż to odgadnie, do kogo nieszczęsny się zwracał, gdy rzędem siedzieli, imć ksiądz biskup kra-kowski, dwaj rajce z Kazimierza, jakaś panna urodziwa nader, przy niej gładki oficyjer, wcięty, a dalej za krzesłami, bednarz Onufer, dwa niemce, żydowinek chudy, i bo to mało różnej gawiedzi...

A po nim chybkie drżenie pobiegło, i lud widział wyraźnie, jak włos mu się zjeżył, ale snadź w tym momencie grot serca dosięgnął, bo zwiśla mu głowa, i tak już ostała.

— Widno z Bogiem chciał się pogodzić, do biskupa ręce wyciągał... — powiadali w tłumie.

1906 r.

Emigrant z 1905 roku.

Tak, panie, — emigrant jestem. Jak ojco-wie nasi, zostawiłem co sercu drogie, i do Paryża. Tu głos krwi wzywa, wspomnienia: 31-szy, 63-ci, panie, to krwawe cyfry, a nie *pepeesy*, panie.

— *Deux bocks*... — do usługującego się zwrócił, piękny fular z kieszeni wydobyl, nie-zdecydowaną jeszcze łysinę nim potarł.

— Aż gorąco się robi na myśl, co się tam dzieje z tą naszą ziemią kochaną. Place, pa-nie, spadają na łeb, jak plac, panie szanowny, spada, to pytam się, co ma wartość, i co pe-wne na świecie?

Rzym, panie, upadł, a *kudy* nam do Rzy-mu, dobrze mówię, panie?

— Dobrze pan mówi.

— I po co, panie, to wszystko; te strejki, autonomie, wiece, chorągiewki, faramuszk, cały ten hałas, panie? A toć ja kocham oj-cyznę, i zawsze gotów własną piersią, tego,

ale oni tym hałasem, hukaniem całe obywatelstwo, kwiat społeczeństwa, panie, wypłoszą. Bo zgódźmy się na jedno, że fundamentem, podwaliną ludzkości, tego...

— *Deux boc'ks, si'l vous plait...* to nie gawędziarz, nie mówca bez butów, a obywatel, panie. I nie dlatego, że mam tę kamieniczkę, o nie, bo to obowiązek narodowy, panie, ale tak między nami, gdzież najdzielniejsi ludzie, gdzie najtęższe głowy?...

— Za granicą Królestwa.

— Złote słowo! A tak, za granicą, bo nasz naród nigdy nie ocenia prawdziwej zasługi, politycznego rozumu, zatem zniewoleni, zmuszeni...

— Jak to zmuszeni?

— A tak to, panie szanowny, bo proszę posłuchać... A może białego flaszeczkę? Ja o tej porze zawsze, bo inaczej nie usnę. Myśli takie smutne, tęsknota za krajem, panie, niewdzięcznym, ale kochanym...

Zamyślił się, głowę pochylił zgnębiony, gdy nagle jakaś dłoń w białej rękawiczce trąciła go w ramię.

— *Ca va toujours?*

Zerwał się stary i pełen uszanowania, rozzerwiony prawie, witał rozbawioną, jasną, woniejącą...

— Ach, co za szczęście... Właśnie myślałem o pani... Bardzo, bardzo... Pani pozwoli,

że przedstawię, — ale, czekaj — że pan, ogromnie miła i wykształcona, i to z towarzystwa... Z najlepszego świata, panie...

Na drugi dzień spotkałem go znowu na werandzie kawiarni. Błado-pogodny, uśmiechnięty, rychło jednak niewyraźną twarz jakby strapieniem namaścił.

— Gadało się wczoraj trochę, bo to zawsze sercu lżej, i niepotrzebnie przyszła ta... Ale to bardzo zacna dusza, sierota, i z pracy rąk, panie... Grzeczność nakazywała, bo grzeczność dla kobiet zawsze, i zabawiliśmy się trochę... He, he, he... — i głowę, ku mnie, do bliższych zwierzeń pochylił. Opanował się jednak.

— Tak!... Ale poza tem płakać się chce. Strugą macierzysta krew płynie, nie mówmy lepiej... — oczy ku bulwarom odwrócił.

Wrzał... Nie gwar, nie wrzask miastowy, ale huragan tysięcy głosów ludzkich walił przez szeroką ulicę. Jak codzień, jak od lat, w tej wielkiej stolicy, co nie zna spoczynku, a drży śmiechem, śpiewem, muzyką, i wrzaskiem roznosicieli:

— Zbrodnia na *Grenelle*! Uduszona na *Clichy*! Owacya dla pana Loubet! potrójne samobójstwo I, — *la-ri, la-la*, — oberwańca, i, — *j'm'en fiche*, — strojnej kokoty, i, — *vive la France*, — pijanego, a tam dwie dziewczyny

za włosy się jęły, tuż obok z gromadki ludzi, dźwięczy nowa piosnka, a na rogu samochód kogoś przejechał. Błady pan, w skórę srogiej bestyi odziany, tłómaczy, że kanalia umyślnie pod koła się rzucił, aby odszkodowanie wyłudzić.

— Ma szczęście, tylko nogi mu wzięło, na całe życie spokój zarobił... — wzdycha ktoś w tłumie.

— 20.000 w Moskwie! Krwawa Warszawa!

— *La pre-sse! La pre-esse!*

— Strach czytać, co w kraju... — odzywam się do zadumanego towarzysza.

— Nie czytam... — i głową rozpaczliwie poruszył. — Drukowanego, panie, z zasady do ręki nie wezmę. Nie mogę. Mnie to denerwuje. Gazeta to choroba, panie, a jeszcze moje zdrowie i siły potrzebne trochę... Zły człowiek jednak nie oszczędzi przykrości: znajdzie się taki zawsze, co gdy coś niemiłego przeczyta, — nie oszczędzi, nie!... Słyszał pan pewno, że po dwóch stróżów kazali teraz przyjąć... I to najlepszy przyjaciel wczoraj mi taką wiadomość... Dwóch, — a toć ostatnią kroplę krwi ze mnie wytoczą darmozjady...

Une Pommard s'il vous plait... — westchnął boleśnie.

— A każdy hołysz, coś z niego sześciu rubli za strych bez komornika nie wydobył, to teraz obywatel, panie. Tak się honoruje taki,

a ten obywatel szczerzy, co i w policyi bez skazy, i podatki płacący podług zegarka, panie, — banita, wygnaniec, bo posłuchaj pan, proszę:

Przechodzącego subiekta papierosem poczęstował, potem ku mnie zwrócił pudełko, i winem szklanki napełnił.

— Mieszkała, proszę szanownego pana, u mnie, w przybudówce, rodzinka. Z pięć bab tam było. Dwie stare, a z młodszych jedna nawet tego — jagódka, ale niechże Bóg broni, bo co w domu — nigdy, panie. Zawsze to dach własny, a dach trzeba szanować. Tak!

Co dużo gadać: zapłaciły za miesiąc z góry, jak zwyczaj, a potem za moje serce, za przytułek, grosza, jednego grosza nie widziałem przez trzy. Gratów żadnych, garderoby nic, ale biednemu dałeś, powiedziałem sobie, i wyrzuciłem tę babską hołotę... Odetchnął, po butelkę sięgnął, i rozżalony pół szklanki odpił.

— Da pan wiarę; we dwa dni później przychodzi jakiś młody zbój do mnie: blade to, nieuczesane, zarosłe — człowiek-zwierzę, a dynamitem na pięć kroków go czuć. I zaczyna niby to prosić, panie, że nędza, że matka, że siostry, że głód, a szelma z podelba na mnie tak patrzy, tak wypatruje, a kieszenie ma takie wypchane, a pod pachą pakiet... Tchorz nie jestem, panie, ale ja potrzebniejszy na świecie, więc drzwiczki od przedpokoju, —

myk, i na kluczyk, a przez oko na stójkowego, a przez drugie na stróża, aż wzięli go i ponieśli... Sąd wojenny, panie...

Chłodny wiatr ciągnął, późno już było, i — niezabawny towarzysz.

Dobranoc!

— A nie, nie godzi się tu mnie samego na pastwę smutnych myśli zostawiać. Niechże panu dokończę.

Zatrzymał mię, i prawil:

— No i co pan powie: wrażliwy jestem, rozchorowałem się z tego, a potem ciągle ten hałas, krew na ulicach, postanowienia obowiązujące, cholera, delegacye, więc paszport, tobolek, plenipotencya dla rządcy, spłakałem się panie, i oto... A gdybyśmy tak tę maciupką blondyneczkę, co obok, zaprosili do rozerwania myśli, bo to zawsze ojczyzna, panie, człowiek się gryzie, truje. Przepraszam, ja zaraz...

I już z kapeluszem w ręku, a ruchem pełnym uszanowania zapraszał malowano złotą, mówiąc o zaszczycie, honorze, jakiby spłynął na dwóch cudzoziemców, gdyby zechciała, raczyła...

Wysoki, wyniosły, ze wszystkimi właściwościami rasy polskich panów, pochylony w ukłonie, obok tej drobnej, zmiętej kokoty, śmieszny był mój towarzysz, to też gdzieniegdzie na werandzie kawiarni śmiech prysnął,

a w zdziwionych oczach dziewczyny zadrgał błysk gniewu.

— *Zut!.. Fichez moi la paix!* — zebrała w garść jedwabne spódnice i urażona, grzecznością:

— *Espèce de mufle! Sale bête!* — cisnęła mu już z ulicy.

— No i obraziłem... — musiałem coś palnąć z gorąca... Hm... — stał chwilę oglupiały, z kapeluszem w ręku, i czoło tarł; nagle, nie żegnając się ze mną, w kłębiące się, ludzkie mrowie wcisnął, prąc za żółtą peleryną dziewczyny.

Miałem dosyć tego rodaka. Nudny, a chwilami przykry, unikałem go zatem, i zginął z pamięci; aż niedawno, obok *Café riche* spotkałem, oko w oko, starego »emigranta«, z jaskrawo ubraną »tuziemką« pod rękę.

Bodaj że odmłodził. Oczy mu się śmiały i usta, a pani jak wiosna, tylko nie ta sypiąca szczodłą dłonią dary, wśród pól, lasów i łąk, ale ta malowana, z paryskiego gabinetu, której względy opłacać należy, a dary, — opłakiwać niekiedy.

Nie płakał jednak stary wygnaniec, przedstawił mię z uroczystą godnością, a potem uściskał:

— Panie! Jaki ja jestem szczęśliwy, i już się nie truję. Tu moja ojczyzna, bo tu świat,

tu kultura, tu ludzie, a u nas? Zdeptali moje ofiary, sponiewierali, panie, uczucia, a tutaj odżyłem i tutaj zostanę. I to ona — to jej cała zasługa, kobieta skarb, panie... — pochylił mi się do ucha:

— Hrabina!... Mąż tygrys...

— Ale to nie ta osoba, wtedy z werandy?

— Ta sama, — ta!... Dopędziłem wtedy, przebłagałem, bo grzeczność dla kobiet, zawsze grzeczność, obowiązek rycerski, jedyna dodatnia cecha naszego biednego narodu. Tak, panie, jedyna...

Przyszły mi na myśl szwaczki z poddasza, a potem ów błady zbój z przedpokoju, a że dziwnie przywarł do myśli, stąd się wysnuło utrwalone wspomnienie.

Ten błady człowiek jednak ciągle mię dręczy, i gdy na bulwarach wrzask leci o świeżym dniu zabójstw, w myślach się zjawia obdarty, żebrzący...

Ale obok niego taki sam drugi, dziesiąty, tysięczny, tłum za nim, i milion, a struga krwi pochod ich znaczy...

1906 r.

U wody.

Srebrzysta, cicha, zazwyczaj, dziś ciemna, nabrzmiała, szumną falą kłębiąca, sunie poprzec łak szaro-żółtą płaszczyznę. Ginie w przestrzeni, i znowu się zjawia, opalowym blaskiem migocze, i znowu pod krzakami olszyny się kryje, wązkim, kamienistym korytem przymyka, a spieszy pod siny pas lasu: spieszy z pomocą tym falom, co wcześniej tam zbiegły, rozlały szeroko blaski srebrzyste, i jakby zmęczone odpoczywają.

Kłębi się strumień, fal buntem nabrzmiały, zaufany w moc swoją, a pewny posiłków, jakie dobra wiosna z gór wyszle, strome brzegi rozpiera, szarpie nagimi krzakami, plwa białą pianą, do koron sięga zuchwale, uległej doliny wypatruje, która go przyjmie w objęcia, na łożę kwiatami usłane. I pędzi wartki, wspina się, wzdyma, jak do skoku wyteżga grzbiet przegowany, byle dalej, a szerzej, dziś jutro...

Bo zniknie wiosenna ochota, słońce siły wypije, chciwa ziemia wessie ostatki, i wróci strumień w dawne łożysko, żalem niemocy zasemrze, do chwili nowej nadziei, — do wiosny.

Ale można dziś wody. Nie uradzi im słońce, więc schlebia: tęczowe barwy zapala, bogactwo pereł i złota daje im w blasku, w cieniach szmaragdu przezrocze, a niech się tylko świeża fala na łąki wysunie, migiem w grotu srebrzyste ją zbroi. A grotów tych siła; zlewają się, łączą, i pełnie świetlana moc, kwiaty, trawy, krze chylą się przed nią, lecz ona zuchwała nawet ludziom już grozi, na wzgórze się wspina, gdzie ciche chaty bieleją.

Ludzi jednak struga nie trwoży, znają oni jej wygląd i głosy, gdy zapowiada zniszczenie. Ryczy ona wtedy złowrogo, żółtymi kłębami wody brzegi rozbija, niesie ze sobą skał grudy, drzewa, do chałup się wdziera, a dziś tylko swawoli, bo ciasno jej w Boskiej granicy, jak w sercu, co wiadomo, radeby z piersi wyskoczyć na wiosnę.

— Niechta... — mówią białych chat mieszkańcy — wybuzuje się, i ustanie. Toć wiosna przecie, a wtedy moc we wszystkim okrutna, mdłość jeno w bydlęciu, a o kwitnieniu kaliny, i w babie grzeszna słabość...

— Niechta se hałasuje, — myślą gospodarze, spoglądają jednak uważnie na tę srebrzy-

stą tafłę, co wciąż szerzej nizkie pola w posiadanie bierze. Patrzą w dal, skąd woda płynie, baczą jak płynie, boć nie śpi licho, a pamiętają wszyscy, lat temu ze czterdzieści... Strach wspomnieć...

— Ale teraz, i woda niema tej mocy co dawniej.

Wspominają dawne dzieje, dawne powodzie, starzy i młodzi; najmłodszy przysłuchują się opowiadaniom, a zgroza otwiera szeroko blade, niebieskie oczy.

— Jak ci woda zaczena iść a iść, tak ci po dołkach, chałup ledwo że ledwo, co widać było. A woda precz idzie...

— O Jezul...

— Tak ci już doszła do Strąka, co na górze, wej do chałupy mu wali.

— O Jezul!

— Baba ledwo pierzynę, a co nieco złapała, i na poszycie z dzieckami. Chłop się ta oganiał trochę, ale, — gdzie zaś z wodą wojować. Ino że nie ostawił chałupy, pazurami się drzwiów, uczeplił, i tak go naleźli. Zalało wtedy ze szczeniem chłopskie, pod Kosową Wolę. Woda i woda, a po dachach, gdzie wyżej, ludzie siedzą, nawołują, baby zawodzą, gadzina spływa a ryczy...

— O Jezul!

— Kot bestya płynie, pomiaukuje, krówska za nim, a po dachach psy wyją, zaś la-

ment taki naokół, jakby wszystko we świecie płakało.

Opowiada chłopak dziewczynie, opowiada, czego sam nie pamięta, co mu jednak z zimowych gawęd wgrzyzło się w pamięć, jak wielkie, bezmierne nieszczęście, zawisłe każdego roku nad ubogim dobytkiem i życiem.

Dziewczyna słucha opowieści z trwogą, oczami pomrukuje, i do wyrostka się tuli, patrząc niespokojnie na pluskające fale.

— O Jezu, aże me coś dźga od tego strachu.

— A jak ci potem odeszła, dokąd niewiadomo, tyła po niej ostało, że bydła i dzieciaków po dołkach, a wej, po topolach kłaki siana wisały, taka ci woda była wysoka.

— No a tera? Dworskich kopców nie widać...

— Tera? — chłopak w dal oczy zwrócił. — Tera się nie bój... Woda je czysta, i ptaki od tamtej strony nie lecą, a ptak na wodę je mądry.

Ogarnął ją ręką, do siebie przytulił.

— Nie bój się, bo i coś ci chudzinie woda zabierze?

— Okrutnieby mi było markotno po bycku, co na Kaźmirza się ulągl, a i pierzyny szkoda. Ciotka obiecała, jak się chłop zdarzy...

— O, głupia! Toć możesz se zawsze z dworskich podskubać!

— Grzych!

— A—ale. Gęś ino dworska, a pierze Boskie. Także ziemia do dworu, a las do Pana Boga należący. Także i staw; woda do dwora, a ryby Pan Jezus somsiadom zdawna ochfiarował.

— I bez co tak?

— Bez sprawiedliwość, bo jakżeby jeden miał wszystko, a drugi zaś nic. A tera gadki chodzą od miasta, wszystko będzie porówno, i tak starszy powiadał, ino żeby sycylista bić.

— Cóż to za jeden taki?

— Carny, kudłaty, co powie to zełże, na cudze łakomy, w czapce do kościoła-by wlaź. Tera tego nie widno, bo po kozach są pochowane, i dobrze, bo paskudny je naród.

— Laboga, laboga, jakie to różne ludzie po świecie... i zadumała się dziewczyna.

Siedzieli do siebie przytuleni. Na szarem tle kępy, wyniosłej na łące, odcinali się w słońcu żywym kolorem. Rozlana szeroko struga pędziła chyże fale szerzej, a szerzej, pluskały one już u pagórka, sięgając po kwiatkach i trawach, do nóg bosych dziewczyny. Śmiała się teraz patrząc na kręgi świetlane, płoszyła je w pracy zaborczej, rada z widoku bryzg, migocących w słońcu.

Nad wodami sunął bocian, rozglądał się. Zwracając głowę, zatoczył koło jedno i drugie, i opadł na kępę. Przyjrzał się utulonym

dwojgu, uważnie, — swoi ludzie — pewno pomyślał, i zamarł w zadumie.

Dziewczyna zerwała się zaczerwieniona, zmieszana.

— Co ci, Marynka?

— Do chałupy mi trza. Nieładnie kiej bociek przy dziewczusze siada.

— Bez co nieładnie?

— Bo tak...

Osunęła się jednak, opodał; chłopak podszedł ku niej, z uśmiechem:

— Bez co nieładnie?

— Ino me ostaw! — krzyknęła z trwogą, i ogarnęła spódnice rękami, kryjąc się za pień wierzby.

— Cóż ci to głupia? Piscaleckę zrobię, będę ci grał. Lubisz granie?

Trwoga zbiegła jej z oczów.

— Oj lubię. Jak przeraźliwie gra, lubię.

— Potem ci soku ze brzozy natoczę. Sok lubisz?

— Nie lubiałabym to soku...

— Potem ci powiem, że od Świętego Jana do żrebaków idę, do dworskich.

— Ale, — toś już parobek... — zmierzyla go oczami. — I galanty parobek...

— A widzisz! Więc boić się niema co... — i przysiadł się do niej.

Po chwili odpowiednią gałązkę upatrzył, i już stukał kozikiem po złocistej korze wie-

rbowej. Dziewczyna gryzła świeże pączki. Ładna, świeża, pochylała twarz rumianą ku niemu, westchnęła po chwili:

— Zaś ja u złej ciotki na komorze i tyła!

Oboje już pracą zajęci, i cisza, tylko z góry głos niewidzialnego śpiewaka dźwięczy, spodem pluskają fal kręgi.

— Do świniów byś mogła... — zsuwa chłopak ostrożnie korę z gałązki. — Dobrze dziewczusze u dwora, przy państwie.

— Nie weźmie gospodynia.

— Co nie ma wziąć, ino idź... Pokłoń się, w rękę pocałuj, szmatę jaką niech jej ciotka zaniesie.

— Oj, dobrze by to było.

— Galancie. Bylibyśwa razem, codzien bym cię widział, i co z pola wrócę, zara do chliwka... Maryś, Marychna, a kajżeś się działa, pokrzykiwałbym sobie.

Dziewczynie oczy się śmiały, w zachwyceniu patrzyła na chłopca.

— Gadaaj, gadaaj!...

— Potem ja za fornała, a może nawet do cugu, i cięgiem przy tobie... — Pochylił się ku niej, wpół objął.

— Co ci, Marynka?

— Tak mi słodko, aże mgli...

— Gorąc, musi, cię przejął... — i nagle dziewczynę porwał za szyję, głowę jej prze-

giął, i raz koło razu, całował jej usta, mocno, a dźwięcznie.

Bocian z zadumania się ocknął, zaklekotał, skrzydła do lotu rozwinął, i lekko sunął nad wodą. Śmiech chłopaka za nim pogonił, a potem znów usta spadły na usta, i tak jużostały...

— Marynka—a! Maa—arynka! — leciał głos jakiś przez wody, zdaleka, od pasu ozimin, opłotków, od białej chaty.

— Mary—ynka!

Nie słyszy dziewczyna. Ciche słowa pieśszcoty głos mają silniejszy, silniejszy od nagłego grzmotu kłębiących fal, co pędzą ławą olbrzymią. I płaczu nawet tego nie słyszy dziewczyna, jaki w żalonym jęku wieść całą ogarnął.

— Tama!... Tama zerwana! — Jęk buchnął na wzgórzu a za nim wrzask trwogi, rozpaczne wycie pieśni nabożnej.

Wali z łoskotem ciemna chmura jakby zawisła, nad wodą. Prze, łamie, druzgocze, szczątki niesie ze sobą. Chylą się przed nią śmigłe topole, grusze już w niej, a chaty po drodze rozboju, gdzie sięgnie, zakotłuje się strzecha, i tylko deski z niej spłyną. Grzmi, wyje, na białe chaty się wspięła...

— Kochasz mię, ździebko, Marynka?

— Grzych... Grzych... — i perłą się łą

Miedzy pnie wierzby, w krze gęste, wparło ich ciała. Pasma lnianych włosów dziewczyny zawisły w kolczastych jerynachs, z trawą splątane, a ręce szyję chłopca opłotły — na zawsze.

— Nicpotem dziewucha! — szeptały baby w kraśnych welniankach, żegnając się pobożnie.

— Chłopak psia skóra... Wieczny pokój, wieczne odpocznienie racz im dać Panie.

— I za co ich nic niewinowatych zagubiła woda? Sprawiedliwie to aby?

— Nie bluźnijta, Józefie. Od Boga i wojna, i woda i wszystko. Tak, musi, było potrza, kiedy Pan Bóg ich zabrał. Dobrze mówię, ja, panie starszy?

— Nu, jak było, co było, to już sam naczałnik rozbierze. Ot, ważne, co woda odeszła, i po staremu porządku, sława Bogu wszystko.

I starszy zdjął czapkę, przeżegnał się trzykroć.

Paryż, 1906 r.

Jesienne dźwięki.

Utwór nagrodzony na konkursie w Warszawie.

Szczęśliwi postowie! Powietrzni żeglarze!
Powiedzcie, kto lecieć w narody wam każe,
Z tą wieścią pogody, i cieplej już rosy,
I czemu dla świata tak miłe te głosy?

Bo każdy was śledzi i każdy was wita,
I każdy poznaje na niebie, po wrzawie,
I nieba, i serca, o wieści się pyta.
Hej, leć i krucz! Żorawie! Żorawie!
W. Pol.

Jak gdyby wysiłkiem zmęczone, bledsze
niż w dni lata, zbiera jednak jesienne słońce
moce ostatnie, i śle ciepłe blaski, niby pocie-
chę, po dniach deszczu i chłódów.

Oczekiwane z wiosną, zawiodło dusze, zmar-
nowało niejedno uczucie, zjawilo się tylko na
chwilę, aby przejrzeć w krzywdzie ludzkiej —
w powodzi bezbrzeżnej, a dziś, gdy życie za-
miera, promienieje łaskawe: jestem, i pragnę
dać sercom wiosenny zapal, młodzieńczą wiarę.

Ale pierzchły dni młodych porywów, nie
wróci ich blade słońce; po dniach zawodu

i żalów nie zbudzi radości i szczęścia, jak
nie wskrzesi kwiatów do nowego życia, gdy
zwarzone czy zdeptane utraciły krasę mło-
dych wdzięków, na zawsze. Dziś złoci mdłym
blaskiem umierające liście, daje im pozorną
moc dawną, i świeżość minioną, lecz za ten
dowód swej łaski, ostatnie siły zabierze, zmę-
czy, pokrzywi, suchą tkanę nerwów zostawi,
aż zwiędłe, martwe, wiatr ciśnie o ziemię,
przykryje pyłem lub w błocie uszarga, jak
czynią ludzie ze świętymi wspomnieniami dni
wiosny dawnych zapalów, pragnień, talentów...

Znąją oni podstęp i kłamstwo, blademu
słońcu nie wierzą, patrzą z niepokojem, ry-
chło-li twarz swoją ponurych chmur zasloną
okryje, i tą żalobą niebo poruszy, aż niebo za-
płacze. Myśli ogarnia wtedy smutek i dręczy
troska, a bolesne wspomnienia z samego dna
duszy powstają, — lży cisną.

Więcej ich pono ludzie przez życie wyleją,
niż ich jesienna ulewa przynosi.

Nie wierzą słońcu i te stworzenia, co bli-
żej obcować z niem zwykły: nie wierzą i ptaki,
bo znają one tę twarz zmienną, wiedzą kiedy
zwodnicze jej blaski chłód wróżą, i kiedy od
głodu i śmierci należy uciekać.

Trwożliwej ich czujności nie oszuka słońce,
i choć płomieniem zachodu cudne barwy na
wodach zapali, wyzłoci drzewa, brylantami na
liściach zabłyśnie, posrebrzy nawet marną nie

babiego lata, i na ubogich ścierniach zaświeci, nie ufają one zwodniczym powabom, tylko po łąkach, lasach, tajemniczych szuwarach, nawołują się trwożnie: Czas! Czas!...

Jeszcze dni parę, a dniem, nocą już ciągną niezliczone stada. Suną po niebie i równe sznury, i trójkąty, i rozrzucone bezładnie gromady. Jedne zgiełkliwe, radosne, jakby szczęśliwe, że uciekają od chłodu, drugie ciche, uroczyste, przejęte ważnością chwili odlotu, a inne znów, dla oka niewidzialne, ślą tylko z powietrznej oddali głos dźwięczny, rzewny, — pieśń żalu tych, co odchodzą.

Oto gdzieś wysoko, wysoko, ciągną długodziobe, laskonogie straże łąk błotnistych, — żórawie. Ciągną dwie linie, zamknięte pod kątem, grzmią z ponad chmur ciemnych, głosem mocnym, spiżowym.

Miarowo uderzają skrzydłami, nogi cofnęły za siebie, a przodem ostre dzioby, niby groty bojowe, suną. Jakby na komendę zmieniają się doświadczeni samcy przodownicy, zajmują miejsca u szczytu, i klin ostry ciska się naprzód, ze świeżą mocą przecina powietrze.

Tak lecą w nienaruszonym porządku, lecą setki mil, zawsze tą samą, niewidzialną drogą — szlakiem powietrznym, wyznaczonym przez ojców, dziadów, i pierwotnych przodków z przed lat tysięcy.

Lecą w tym kluczu i stare, doświadczone

ptaki, i młodzież z ostatniego lęgu, ona to pierwszy raz podróż odbywa, pierwszy raz widzi te cuda, jakie przyroda, hen, na dalekiej ziemi roztacza. Toć wczoraj zaledwie, o porannym mroku, pożegnano równiny dobrej ojczyzny, błado-niebieskie wód przestrzenie, kępy sitowia i tataraków, bagna, oparzeliska, smugi, srebrzystych brzoź grupy, las siny, — a dziś, co uderzenie skrzydeł, co chwila podróży, to widok inny, nowy, nieznan, uderza, zajmuje.

Młódz tych cudów ciekawa, lecieć jednak trzeba, naprzód, dalej i dalej, bo zły chłód się czai, dogoni, — na śmierć rzuci o ziemię...

Tu zamigotało miasto jasnemi barwami, tam błyskająca wód wstęga, na niej dziwne budowle, nie nasze, tu znowu sine o białych szczytach góry, przecinają obłoki, a spodem srebrnolśniące meczety, minaretów wieże, z gęstwy drzew wyzierają. Za niemi morza mgły, gdzieś tam pasem szafiru przecięte.

Za morzem ziemia, góry, nowe miasta, barwy gorące, i znowu wody wielkie, bezbrzeżne.

Dalej, a tam na spodzie już lotne piaski, na olbrzymiej przestrzeni, wiją się tumanami. Wynoszą się smukłe pilony, i potężne budowle starożytnego świata, wieńcami palm żywej zieleności otoczone, cudne doliny, w pierścieniu gór blaskami promiennych. Tam właśnie

na tych żyznych, bogatych dolinach, przeciętych rzeką jasną, olbrzymią, widnieje kres przelotu skrzydlatych podróżników, tam dostatek i spokój, do czasu powrotu, — do wiosny.

Dobrze tam pewno i wesoło, pod promieniami słońca, wśród łąk barwnych, obfitych, lepiej jednak tu u was, przy szarej chacie, na smutnej równinie, i my tu do was wrócimy, wrócimy do nas, bo toć przecie ojczyzna, a do niej może i tęskni nawet zły człowiek.

Skrzydła silnie pracują. Naprzód i naprzód, bo blizki już cel, i spoczynku radość.

Zawsze wierna krzywej wierzbie, starej gruszy polnej, przywiązana do gniazda, uboga skrzydlata rzesza garnie się pod opiekę zabudowań wiejskich.

Raźno tu dzisiaj, bo zamożnie, gdy dobytek ziarna przetrwał szczęśliwie deszcz w polu, a teraz spoczywa w stodole, raduje serca, zapewniając dobrobyt i spokój na całą, długą zimę dla ludzi, i dla tych szarych, ubożuchnych towarzyszków ich pracy.

Stara, zmurszała, pochylona stodołka chłopska dawno nie mieściła tylu lubych gości: pełnych, ciężkich snopów, ułożonych w sąsiadkach, pod szczyty.

Wytartą przez deszcz i śniegi, spaloną przez

słońce, rudą strzechę obsiadły gromady hałaśliwych wróbli, poświerków i trznadli. Po ziemi uwijają się zawsze żwawe zalotniczki, w gromadkach siedzą smutne, napuszone skówronki. Zjawiają się one zawsze przed późnym odlotem do zagród, jakby na pożegnanie. Toć śpiewało się razem, pracowało od wczesnej wiosny, przez lato, przetrwało złe, dobre, nie godzi się przeto nie zajrzeć, jak to tam w obejściu, nie zaświergotać dobrego słowa, tylko w świat odlecieć, jak ten ciarach miastowy, wróbel, co dziś tu, a jutro tam, wiadomo, jak wróbel.

Niedługo już jednak tych chwil pożegnania, jeszcze dzień, drugi, a po kartofliskach, ugorach rozlegną się hasła niespokojne, i nisko, nad ziemią, pociągnie w ślad, choć bez śladu, za górnymi kluczbami, bezładna chmara szarych pospolitaków — pokusa dla sytych ludzi i głodnych jastrzębi.

Cała gromada ptaków zostanie jednak w obejściu, nie boi się zimy. Jakoś to będzie, będzie, swiergoczą wróble, szlacheckim zwyczajem. — Kogo Bóg stworzy, nie umorzy go przecie, — ćwirkają zabiegliwie szczygły. — Siedź w kącie, znajdą cię, — szczebiocze płochy sikora, a nad tymi głosami brzmi śpiew człowieka radosny, dziękczynny, i skrzypią ciągle drzwi starej stodołki, bo ciągle zjawia się ktoś obcy »popatrzeć«, jak też ono dobro

zebrane wygląda. Spojrzeć, ze swoim porównać, lecz nie zazdrościć, bo od tego pleśń idzie na ziarno, — na własne.

Przyszwał chłop gospodarz, ponury, kudłaty, a tu mu się twarz rozjaśniła. Przysiadł na snopie, włosy z jasnego czoła odgarnął, i patrzył. Ziarno przesypywał, w ręku ważył je, i szeptał promienny:

— Oj dawno, dawno takiego zboża nie było, — radował się. — Oj chwała Ci, Boże, że ominęła mnie woda... — wzdychał.

Z sąsiedniej chałupy dzieciaki podeszły, i wnet bezmyślne oczy zachwyt rozjaśnił.

— Ile to zboża, jej, jej. Co to chleba na zimę, oj, oj... — szeptały poprzez garście przy ustach.

Przypelzał i mały kaleka, na pokrzywionych nogach, niemowa, podniósł wielką głowę, a w niej z pod jasnych włosów, oczy blade a smutne, i twarz krzywił dziwacznie. Śmiać się, jak drudzy, nie umiał, bo, nie śmiał się nigdy.

Przydreptała babka zgrzybiała, trzęsąca się staruszka, i nawet na jej pomarszczonej, ziemistej twarzy zamigotała jasność radości.

Zapadłe usta poruszają się szybko, biegną z nich westchnienia, szmer modlitwy dziękczynnej.

I zmiłuj się nad nami, i »wieczny pokój«, i »wybaw nas Panie«, szepcą zsiniałe wargi. Myśl niedołężną szczęście dziś maci, bezładne

podsuwa wyrazy, stare serce jednak bije mocno, dziękuje szczerze za to jasne, błogosławione dobro, co zda się płynie z krzywej stodółki, i taką pocziwą radość na twarzach biedaków zapala.

Chłop jeszcze raz okiem rzucił po snopach, potem głowę odwrócił do roli, świeżo zoraonej, i uśmiechał się do niej, nagle starej babce do ucha się pochylił i krzyknął:

— Wy, cośta starzy a mądrzy, powiedzta. Czy je, kajniebądz, druga ziemia pocziwa jak nasza?

Staruszka głową potrząsała.

— Nie... Nie masz takiej ziemi we świecie... Lasów wielgachnych, górów że okiem nie sięgnie, tegoć pono je dużo, ale żeby ziemia taka, i równa, i czarna, i tłusta — nie, — tego nie najdziesz, bo ino nasza polska skiba kochana, co taka dorodna.

— Tak i ja sobie miarkuję, boć przecie niemiec, co na ziemię je łasy i znawca, a na nasze gronta chciwy okrutnie. Jedno mi dziwno, czego te ptaszyska, co wej, nad nami, lecą a lecą, uciekają od gniazda, — na złe przecie nie idą, ino na lepsze.

Babka blade oczy ku niebu zwróciła.

— Uciekają. Uciekają od biedy, od zimowej, — markotno im smutno mizerakom... Bo uważ synacku, jak to to pisy żałośliwie. Nie tak jak człowiek, co to ziemią pogardzi, —

odejdzie baby, dzieciów, chałupy, a jeszcze jurnie się stawia, wyśmiwa: po złoto jedzie, prawi. Zdusi i jego ta żalność, co w każdym siedzi żyjącem, — prędzej czy później taki zatęskni, zapłacze, zmiłowania poprosi, ino w tem bieda, — nie wróci, — jak ptaki na wiosnę.

Bo nierychliwy je Pan Bóg, ale sprawiedliwy, synacku, — oj sprawiedliwy.

Chłop magierę z czoła odsunął, za łeb się targnął.

— I w myśli nigdy bym nie miał ostawić tej czarnej, a złotej roli naszej, ino że zbierać tego dobra nie ma dla kogo. Wam już na Boskie sądy trza stanąć, łazita ledwo, a ja sam że jak ten kolek ostanę? Zamarkocę się, zagryzę, i bez to mię i goni we światy za ptakami, — wej! — i ręką ogarnął.

— A nie grzyszyłbyś chłopie. Stodólsko pełne, jest co zaorać, czem zasiać, jest w czem się urobić. Nie sumować ci się trza, jeno Bogu pomodlić, radować.

— A toć rad jestem, ino, że — ino... Jak zadra we łbie mi siedzi. — Zamyślił się, potem starowinę za ręce pochwycił.

— Hej, — do owej radości baby mi brak. Jak się dwa serca w kupie radują, zawdy większa uciecha.

Stara żuć zapadłemi ustami poczęła, oczami

mrużyć, a dwie bruzdy uśmiechu przecięły jej twarz pooraną.

— Patrzta, gdzie siedzi bolące, a toć o co jak o co, a o babę nie trudno, jest tego dobrego na świecie, co grzychu. Najdzie się i dla ciebie takowa mecyja, — po omłocie się najdzie.

A może i już gdzie ślepiami wypatruje, obejrzyj się ino.

Z za węgła śmiechem ktoś parsknął, i od ściany skoczyła czerwona, jak mak, dziewczyna.

— Przyszłam oto z boku popatrzeć jak ta u was, — czy pełno... — O kilka kroków cofnęła się przezornie, chłop sunął za nią.

— Ady, — Marynka! Chodź, obacz ile to zboża, ziarna już ile, — aże serce rośnie... Chodź głupia... — zapraszał uprzejmie gospodarz radosny.

— Niby gdzie? Do stodoły? Oj nie, — cofnęła się dziewczyna.

— A cóż ci stodoła — pierwszyczna? Ady patrz, i klepisko, i zapole oto, wej sąsieki, jak wszędzie.

— Kiej do stodoły chodzić, — nieładnie.

— I bez cóż tak nieładnie?

— A matla gadali, że tak. W obejściu można, i do chałupy niechtam, a do stodoły... — nieładnie... Niech cię Bóg broni, powiada, bo... psu w polu, chłopu we stodole nigdy wierzyć

nie trza... — zaśmiała się drobno, jakby kto paciorki po klepisku rozsypał.

— Matli se słuchaj kiej ci lubuje, ino to złe — że nic mnie nie kochasz, nic mi nie wierzysz, dziewucho.

— Dyć wierzę, ino że matka...

— Toć jakbyś miała serca trochę ty sama, jakbyś zachciała, — za trzy niedziele twoje tu wszystko. Wej wszystko! — szerokie koło ręką zatoczył.

I gospodynią wszędzie, w chałupie, stodole, i w syrcu, — kaj zechcesz jeno.

— Oj ładnie gadacie, ino nie kuśta.

— Obacz że ziarno teraz... Czy aby czyste, czy ważne. Marynka?

Ujął się w boki, przechylił głowę, i śmiał do dziewczyny.

— Marynka!.. — Hej, — baba moja.

Stała o kilka kroków, przestępując z nogi na nogę, gryzła fartuch niespokojnie.

Na krasnej twarzy zakłopotanie, śmiech w habrowych oczach.

— Ady Marynka, — na szczęście, na nasze...

Spojrzała na prawo, na lewo, w obie ręce schwyła pasiastą spódnice, furknęła nią jak ptak skrzydłami i, — wpadła mu prosto w ramiona.

— O Jezu!...

Chłop utulił ją chwilę, potem zawinął sil-

nie, raz, drugi w powietrzu, i cisnął o kilka kroków, między snopy, na sások.

Zawrzało w stodole, zapiszczały dzieci, zarechotał niemowa, babka głową potrzęsała, mruczając:

— Zbytny chłop — jak chłop... Ale mocny, mocny, aż strach... — Żegnała się pobożnie: — Grzych...

A w sásoku śmiech dzwonił, aż snopy drżały...

Z ciemnej głębi stodoły ukazała się rumiana twarz dziewczyny, w rozpuszczonych jej włosach drżały ziarna owsa, żdźbła słomy. Rozchyliła pełne, soczyste wargi, a oddychając szybko, zaśmiała się cicho, wstydliwie...

— Jesce z raz — Jaśku... Jesce razicek...

Rzucił się ku niej, porwał, wzniosł w górę, i ucałował dźwięcznie, a mocno, śmiejące się usta...

— I skąd taka słodkość je w gębie? — Znowu ją koło siebie okręcił, łakome usta przycisnął...

Babka aż na ziemi przysiadła.

— Sodomnik, zbereźnik, caban niewstydy, — i trzęsła siwą głową, stukała koszturkiem. Dzieci uczone spódnicy, wrzask trwogi podniosły, radował się, po swojemu, niemowa, za paciorkami czerwonymi pełzał.

Wydarła się z twardych objęć dziewczyna, twarz zakryła fartuchem, i stała bez ruchu,

dreszcz tylko pełnemi jej ramionami wstrząsał, i drżały żdźbła słomy we włosach. Na stała cisza,—cisza zakłopotania i wstydu, przerywana głośnym oddechem młodego Jaska.

Stał na rozstawionych nogach, i ręce trzymał przed sobą, jak gdyby mocno chciał kogo ogarnąć. Nozdrza mu drżały, z pod wąsów świeciły kły białe.

— A widzisz, — nie mocuj się... — sapnął.

— I cóżem ci zawiniła, żeś mię tak ukrzywdził chłopie, na wstyd wydał, w dzień biały—przy ludziach?...

Chłop stał, głową kręcił, uśmiechał się, ale — żalność go zmogła.

— A chodźże gołąbecku... Chcesz to se te łapy połamię, ino mi nie płac, nie lamentuj... Siadnijmy se oto w kupie, niechta dziś będą zmówiny nasze... Matki się nie bój, ino jej powiedz, że kota we worku nie trza kupować, a baby bez całowania brać.

Podszedł ku niej, i do siebie przygarnął, potrząsnął nią, popychał, aż w końcu pięścią w kark grzebnął.

— Ady cichaj ze cichaj, bo me w sercu żgo...

Uspokoiła się, i za chwilę znowu dysząca kochaniem, patrzyła jasnymi żrenicami w śniadą, opaloną twarz chłopca, a gdy oczy od niej, w stronę dobytku swego odwracał, pochylała głowę, zasłaniała ją fartuchem, chichocząc:

— Ady nie patrzta' bo mi wstyd...

Syci własnego widoku, raz po raz spozielali na zboże, liczyli snopy: ile na wysiew, ile do młyna, i co ostanie tak; śmieli się znowu do siebie, i do kiści owsa, i do pełnych kłosów żyta, radowali z obfitego plonu, jak radują ludzie nie z dostatku, tylko ze sprawiedliwej nagrody, jaka im za trud ciężki dostaje się tak rzadko. Dobrze im było, rozkosznie na widok tego zapasu ziarna, jak dobrze z uczuciem zapasu — zbytku, tej wrzącej siły, co zapiera oddech, krwi gorącej fale pędzi do głowy. I radzi byli ze siebie...

Chwilami śmiech głośny, szczery wrzał po stodole szeroko, — gniewała się stara babka, siwą głową trzęsła.

— Oj, dzieciów ci trza dziewucho, zmartwienia trochę i roboty dużo, bo złe w tobie siedzi i do cna roznosi... A grzych aż się pali we ślipiach...

— Owa... Dzieci, jak potrza to i będą... Oj będą... — śmiał się chłop, do dziewczyny tulił.

— Lepij byś se bańków, oto, postawił u żyda, albo i sam juchy utoczył, bo i w tobie burzy, i ciebie roznosi... jęczała staruszka.

A oni śmieli się do siebie. Chłop mrugał siwemi oczami, patrząc w promieniejącą twarz dziewczyny. Ona zapaską twarz kryła, sro-

mała się trochę, — niewiele, w samo prawie właśnie.

Zamedytował się chwilę, do własnych myśli uśmiechał, powstał, przeciągnął...

— Oj, Marynka, okrutnie mi czegoś wesoło. Oj wesoło, że niewiem... — posunął się ku niej.

Cofnęła się wystraszona.

— Tak ci we ślipiach migoce, jak złemu...

Chciała mówić dalej, ale cosik gorące, a słodkie usta jej zamkło, i już szamotała się przerażona, usuwając twarz płonącą. I cóż tu poradzić, gdy ją zawarł w twardych ramionach, głowę ku niej cisnął...

— Aby raz mnie pocałuj, aby raz z dobrawoli, na tem żywku, złotem, kochanem... Aby raz Marynuchna...

— Pani babko, ratujta... Babuchno kochana...

— A niechta, a mnie co... Trza ci było pani matki słuchać, a teraz już i kuniec przyszedł na ciebie, dziewucho... Odwróciła się, podreptała ku domowi, wdychając:

— Tak ci było pisane, niebogo...

Za starą rozbiegły się dzieci, jeden tylko mały, a już nieszczęśliwy człowiek, świadek radości, pozostał.

— Au, au! og, ogo! — wydawał dzikie okrzyki.

Ze snopów świeżo zwiezionych z koni-

czyny, siana bił zapach mocny, odurzający, upałem poił dwie młode piersi. Serca tłuka się, tętnią. War krwi pędzi do mózgu, myśli rozbija...

— Na nic zesłałam... puść Jaśku...

— Aby raz me pocałuj, mojaś ty... Aby raz...

— Puść Jaś... ku... O Jezul...

Jakby bólem pchnięta, w ramionach mu zwisła.

Z ciemnego lasu mrok wyszedł, i sunął po ziemi, chyłkiem, nieznacznie. Ogarniał krzaki, matował na nich barwy, zacierał blaski, i pełzał znowu po ścierniach, znacząc w nich ciemne bruzdy i plamy. Potem zlewał szare półtony w jednolite szerokie płaszczyzny, i wzmacniał je cieniem.

W górę się uniósł, z drzew startł purpurę i złoto, zaklął je w ciemne, nieruchome sylwety, potem cały widnokrąg ciemnymi ogarnął, i siostrę Ciszę do pomocy wezwał.

Posłuszna pobiegła przez pola i łąki. Nakazała ustąpić spóźnionym oraczom, uspokoiła po krzach ptaki kłótlive, spędziła krowy z pastwiska, a wreszcie w chłopskie zapadła zagrody.

Za chwilę panowała nad ziemią, na którą

tylko z niewidzialnej przestrzeni szły głosy
dziwnie rozmaite: dźwięczne, ponure i tkliwe.

A za Mrokiem, Ciszą przyszła i Miłość, —
złożyła na drżących ustach szept szczęścia
cichy, gorący.

— O mój ty Jasku, mój ty serdeczny...

Paryż, 1903 r.

Lityńska lelija.

W misternym graciku, kością, macią i srebrem, roboty florenckiej, wykładanym kunsztownie, jako spuścizna po ś. p. staroście lityńskiej, otrzymanym przez dziada mojego, odnalazłem skryte schowanko, a w niem, obok starych pamiątek, listy, w wielkim zachowane porządku.

Ponieważ ś. p. starościna lityńska, jako dawne piszą kroniki — »pani bogobojna wielce, sama wśród umartwień trwając, w pomocy dla bliźnich zabiegliwa, w fundacyach na chwałę Bożą szczodra, dla mnogich cnót umiłowania, czystości obyczajów, i anielsko białej urody, leliją lityńską nazwana, w świętobliwości stanowiąca *exemplum*«, z listów odnalezionych, niektóre, z własnymi ś. p. starościny notatkami, przepisuję w całości:

»Jaśnie Wielmożna, a mnie wielce miłościwa, starościno dobrodziejko, sercu najmi-

lejsza pani Ciotko, a opiekunko, jedyna moja Doroteńko!

W niedościgłych cnotach, a licznych ich *qualitates*, nad inne wyniesiona niewiasty, zaś bystrym ozdobiona rozumem, co nad podziw nawet, że przy białogłowskiej tklivości, pomiarkowałaś łatwie, Ciotko ukochana, jako że gładkością Swoją, zgola nieziemską, obok dusznych meritów blasku, zbudziłaś w mizernem sercu chudopacholskiem ten affekt nieszczęśny, który, rozumiem, że bacząc na tak świetną Jej *dignitas*, precz wyżenionym być musi, choćby bólem srogim okupion.

Ni spać nie mogę, ni jadła do gęby nie biore, bo foremność Twoja, umiłowana Ciotko, we dnie, jako i w nocy, wszelako przyrodzoną funkcją tamuje, jakoż inszego już nie widzę sposobu, w tej srogiej aprehensyi i aflikeyach moich, jeno oddalić się od Lubego Widoku, tuszając tak sobie, że może czas zapomnienie sprawi, jeśli jeno człowiek śmiertelny nie pamiętać mocen, skoro go raz uroda takowa ozionie, a słodkie usta przedziwnym udelektują smakiem.

Nie suppunuję, Najmilejsza, abyś zamierzeniom moim jakowe wstręty czyniła, subtelnym, a zgola *extra* ordynaryjnym osądziwszy rozumem, że ludzkie domysły w rzewnej amicycyje naszej, cale inne odnalazłyby *sensum*, jako że już i ogrodniczek, i panna szatna to

i owo dopatrzyli zbyteczne, a inwidią się rządząc, do zbrukania białych Twych skrzydeł *occasionem*, w kalumnii, znaleźć-by mogli.

Zważywszy tedy cirkumstancye owe, w desperacyi pogrążon odměcie, odlecieć Cię musiałem, gołębico jasna, i po rękach całuję, po nogach, nie śmiąc głowy unieść ku skarbowi, nad małmazye, alikanty słodszy, a których taka obfitość, że człek nieświadom co go więcej *delectat*, to do lelijowej dłoni się chyli, to do ust wznosi różanych, a ciągle nową konfidencyą obmyśla, dla gorących sentymentów tkliwą niewzbronność spotykając wszędy.

Nieczuły na serca rozmiłowanego perswazyę, oto odleciałem, jako rarożek, cudną ptaszkę moją, zaś droga Ciotko, jedyna Doroteńko moja, abym Cię wśród mych perypetyj, we wszelakiej dobrej, czy złej przygodzie *in memoria, a corde*, przechował na długo, wyszlij mi przez pacholca złotych czerwonych 100, lub ile Ci lube serduszek *dictat*, na co też skrypt przyłączam, wdzięczności trwale *locum* w sercu fundując. W końcu najśłodsza, takowe szlę *consilium*, byś światowej wrzawy całkiem zaniechawszy, *ad maiorem Dei gloriam*, dusze ludzkie i ciała lekując, przy świętobliwych ostała uczynkach, jak to Boża wokacya, i własne wskazują *intentiones*, zaś więcej pisać nie

mogę, bo mię już żalność ima za gardziele, jeno że hajduczek zaufany, przesyłki nie zdradzi.

Jaśnie Wielmożnej staroście dobrodziejce, a umiłowanej Ciotce, z niezmiennym wyrazem estymy, i trwałych sentymentów pewnością, mizerne służby poleca

pachoł powolny i siostrzan kochający

Kasper.

Pismo to, jakoś w Nowembrze, a po świętym Marcinie, doszło do rąk moich i serca, przyrodzoną tkliwość wzmagając do tyła, żem do świtania, w płaczu nieutulonym trwała I któżby mię utulił niebogę, skoro pan mąż woli z Turczyńcem wojować, z Tatarzynami się ścierać nie słodkich wczasów zażywać w alkowie.

D. 19 Nowembra. Oczywiście sto złotych obrączkowych, bez skazy, przez pacholka wysłałam, gdzie zaś by się mój panicz obracał, wierny sługa powiedzieć mi nie chciał, a że to z karteluszkami on biegał, osednionego mieczyńka mu dałam, niech go kuruje. Koń zacny, choć wytartego rejestru.

Pod wieczór znowu mi się na płacz znacznie zbierało, ale przyjechał pan Melchior; somsiad, namiestnik, przystojnego kształtu kawaler, i ten łzy moje, a lament serdeczny ja-

koś uciszył, po drugich kurach, nie bez wdzięcznego serca, odjechał.

Mężka to rzecz, a zgoła nieludzka, mdlą białogłową, bez małżeńskie opiece ostawić, kiedy na każdym miejscu, o każdej godzinie, szatan wymyślne do grzechu daje okazy, a czyż słodką odsunie pokusę serca niewieściego słabość?

D. 23 Nowembra. Pan Melchior wstąpił przejazdem. Przy tej dywersyi postu zaniedbałam.

D. 24 Nowembra. U spowiedzi byłam, i za ową, bardzo gruntowną, myślatego żrebca po kasztanowatym wołoszynie i dropiatej świeczopce, Imć Kapelanowi dać obiecałam, że jednak konik wielkiej urody, pod wieczór rozmyślałam się.

D. 27 tegoż. Powiadają, że pan Melchior taki w amorach rezolut, że już kulbakę z białogłowskich włosów sporządził, a jam mu wczoraj, niebacznie, też zwitek ofiarowała.

Kto winien? Jegomość oczywiście; z Turczyńcem wojuje, sam od bisurmana gorszy, z gamratkami w obozie się zabawia, mnie w kwiecie wieku, na takie ostawiwszy okazy. W tem mojem udręczeniu, a nie bez pokusy, obym jeno na cnocie nie doznała szwanku, świec woskowych białych ofiaruję pół kopy, jeśli zaś jakowąś złą przygodę zesłać na mnie się Panu spodoba, kaplicę ku Jego chwale

fundować mam postanowienie, gdzie jeśli śmierć rychła pokuty nie przetnie, resztę dni mojego żywota na modlitwach przetrwać słubuję.

D. 28 tegoż Nowembra

Przepis na krople długiego życia:

<i>Aloesu przedniego uncyj 7, i kwinta</i>	1
<i>Cytwaru białego</i>	» 1
<i>Gencyanny</i>	» 1
<i>Rabarbaru miątkiego</i>	» 1
<i>Agarylu białego</i>	» 1
<i>Dryjakwi weneckiej</i>	» 1
<i>Szafranu przedniego</i>	» 1

Ten sposób od Imć panny Rozyny Piklasewskiej z Pilatowszczyzny, także na humorów odciążnienie.

D. 2 Decembra. Z kulbaką pana Melchiora złe ludzkie wymysły, ale że kawalerek pełno w obozie, prawda rzetelna.

D. 3 tegoż. Kartelusz, skromnego sensu, ale tajonego ognia, a w nim takie zapytanie, czyli wstrętu nie dozna w tej serdecznej inklinacji, co go do mnie, na odwieczerz, w gościnę jutro przywiedzie. Odpowiedź przez Hanke garderobianą, że niby z sekretu nie zdradzi, co mi nie po myśli cale, bo dziewczka urodziwa zbytnio, a płocha, i zębiska, jak ta żrebica, każdemu prezentuje rada.

D. 4 Decembra, w dzień Barnaby Opata. Był. Nad wyraz czuły, a jako siarka kawaler.

Rzęsisty okrutnie, bez podobieństwa do owego zmokłego mazgaja, co pociota mojego krewniak, mnie dziesiąta woda, siostrzanem się mianuje. Niezdarny elephant przy panu Melchiorze, rzadkiej statury, i w słowach układości. Figuralnie wciąż prawil, ale bardzo do rzeczy.

D. 9 Decembra. Żnowu zapowiedział o zmroku. Hanka mi listek przyniosła. Letniczek błękitny, srebrnemi niemi dziany, do ubrania wydobyc kazałam.

D. 10 tegoż. Żrebca ze świerzopką, bo nie sporo bez matki, do Imć kapelana wysłano. Włosiennicę wdziałam od rana, niby żre, a łaskoce, jakby lube, w przybraniu sentymentów, dotknięcie.

D. 14 Decembra. Był.

D. 15 tegoż. Miejsce na kapliczkę mam już przysposobione, kamień, do fundamentów ciosać, dałam przykazanie.

Jejmość pani staroście lityńskiej, a żonie mojej Dorocie, na pisanie, respons:

Pismo Jejmościu otrzymane w końcu Decembra, odczytałem ledwo, dla małej w pisaniu sprawności, a w czem pomyślnej egzericyi życząc, przepisanie tegorocznych rejestrów i raptularzów podręcznych zalecam. Z tego i dla gospodarstwa pożytek, a myśli zaprzątienie, — *remedium* na ową krwie gorącość nadmierną, o czem koszlawych wier-

szy trzydzieści i cztery, ze szpetnem do mnie przymówieniem, do obrachunku zakresliwszy, takie Jejmości jeszcze *scriptum, pro memoria*, daję, póki innego, dla trwalszych sentymentów waloru, na świerzbiałej skórce, surowcowem nie wypisze piórem:

Imć pan Melchior namiestnik, człek małego statku, a obyczajów swawolnych, cale przy ochronie substancyi, jako mi piszesz, pomocnym Jejmości być nie może, zaś gdyby zamyślał trwać przy takowych usługach, niby wolentarz, w mojej zagrodzie, taką mu wdzięczność deklaruj, że jeśli po powrocie jakowego napotkam doradcę, to bacząc na stan jego i szarżę, bez godnego na własnych krzyżach świadectwa, nie odpuszczę ze dwora.

W końcu mego pisanja i to jeszcze daję *consilium*, abyś Jejmość zastanowienie przyzwawszy, pomiarkowała sobie, że na zaloty, *alias* gospodarskie narady, zazbyt stara już jesteś, i w urodzie obwisła. Toć pojąłem cię dość letnią, podówczas, pamiętam, gdy pan Czarniecki z Siedmiogrodem wojował, co *anno 1657* się działo, a dzisiaj Król Imć, ale Jan III, na Turczyzna się zbiera, owóz jaka cyfra dla Jejmościnej płochości wypadnie, niechaj ów rachmistrz obliczy, a może snadniej cyfrze da wiare, skoro mu oczy wybrano.

Boskiej Cię, miłowana żono, polecając

opiece, jako że w tej jeno zadufany być mogę, bez szkody, pozdrowienie śle

Starosta lityński, a mąż Jejmości
Franciszek.

Post scriptum: Myszatego żrebca po wołoszynie trza powoli oprzągać, kamień pod nowy lamus sposobić, i belki ciosać, fundamenta ryć, dziewczki od sromu strzedz, jakby jakie *scandala* oćwiczyc. A co w polu, to włodarzy obowiązek, nie zaś panów namiestników funkcy, jacy od bojowego pola stroniąc, na cudzych podwórcach poszukują *victoryi*.

Tegoż Januaria 14. A mówiły mi karty, mówiły wyraźnie. Żołądz a wino ciągle mi się słały, jako zbóje czarne, ani poświeć czerwieni. Jak nie rozłożyć, zawsze król srogi przy kralce, a wokół jeno aflikcye żółędne, i pamfil przy innej.

17 tegoż. Przez zbytni pośpiech, zgola bez pożytku dla duszy, ową klaczkę ze żrebce myszatym, kapelanowi wysłałam, bo nie potem za grzech o przebłaganie prosić, a protekcy szukać, kiedy grzechu nie było.

Sześć świec, jak złoto, na intencyą pomysłnego z sideł szatańskich wyzwolenia, już ofiarowałam, a tu Jegomość harapem mię straszy, *barbarus*, co radby nad mdłą białogłową się znęcał. Nie dasz ciotki ukrzywdzić,

od despektu uchronisz, Kasperku mój miły zaiste, tyś jeden na moje kochanie zasłużył.

18 tegoż. Dziursko, pod lamus, wykopali srogie, a czarne, a straszne, jako wewnątrz trwożnej duszyczki.

Januaria 21. Dzisiaj w kościele, Imć panu Melchiorowi się bacznie przyjrzałam. A toć, pożał się Boże, jako badył suchy, wiór sękowaty, ze zdrowia całkiem przez zalotnice wyżęty, wąsiska przeplewione, łeb z szerci oblaźły, a wejście żbicze. W szczęt zmarnowany, i nogami powłóczy, czysty kur podskubiony, dla ekonomii gdy jeden, gdzie duże gospodarstwo kokosze.

I ten ci bzdyk stary na cnotę moją śmiać godzić, toć garu piekielnego mało na takie monstrum szkaradne, co jeno w pełnej misie komplacencją najduje.

23 tegoż. Przy lamusie dla dozoru byłam, a że w ciągłej gorącości, zły wiaterek mię przejął, na co:

Badianu

Fig

Lukrecyi

Rozynków dużych

Podbiatu ziela, w proporcji, do smaku, 5 kwart wody wlawszy, zasklepić, gotować, jeśli męczy bardzo to Płuczniku ziela, garść do kwarty jednej, wypróbowany środek.

A przepis ten od Labego Armanda, bernardyna francuskiego, ale ze szlachty.

27 tegoż. Biednaż ja nieboga, opuszczona w opresyach i trwodze, jeno łyż ronię, i za cóż mię ów porachunek surowcowy ma spotkać w tej melankolii rozmyślam. Porachunek niechybny, bo jegomość pewny na słowie.

»Jaśnie Wielmożna starościno dobrodziejko, sercem ukochana Ciotko, Doroteńko słodka! Lelijko biała!«

Ex ratione, że na potrzeby Ojczyzny byłem *provocatus*, ze służbą mizerną zwlekać nie chciałem, i już w przybytku Bellony, a w kompanii godnego Imć pana starosty, długie prowadzimy dyskursa, w jakich Jegomość *facunde*, *erudite*, sztukę wojenną wyklada, a ja choć *diligentissime* słucham tak znamienitego rycerza experiencyi wywodów, toć serce do mniej sprawnego wydiera się wojennika, wždy on ci, samą tylko gładkością, w jassy doczesny mię pojął.

W utęsknieniu serdecznem całkiem zmarnowany, tę jeno mam pociechę gdy na zimnej kości konterfekt, do ust tulę gorących, ten luby termin w pomyśleniu mając, kiedy wojennej pozbywszy turbacyi, do słodkiego ukochania powrócę specyałów...¹⁾

¹⁾ W dalszym ciągu nieczytelny rękopis.

Na tak rzewliwe pisanie, zrazu upały, a potem żalność we mnie przybrała do tyła, że od wilgotności inkaust zatarł lube wyrazy, choć nic to, bo w udręczonem sercu ostały one, jako w marmurze. Oczywiście przez zaufanego, o co prosił, posłałam, strach mi jeno, aby jegomość pachółka nie zdybał, co łąco przydarzyć się może, aże ziąb idzie po krzyżach, jako że i niżnik czerwienno wyraźnie na to, w kartach wskazywał.

Miesiąca Marsa 14. Krzywda na dom nasz spadła okrutna, a za takowe zacnego gniazda pohańbienie, myślę, że Jegomość, — Franuś, jedyny, com mu, ślubowała, do grobu infamistów zapozwie, gdzie po sprawiedliwości, gardła dać winni.

Owóż przy porannem włosów trefieniu, postrzegłam że garderobiana moja, jakoś bławatami chwarszczy, a że zazwyczaj w czamletowej chadzała kietce, poglądam na nią, i widzę kabacik z bławatu, dalej inderak jakby kofterowy, szlarka przy nim grzeczna, a bućiki z kurdybanu czerwone. Już wnet mną febra zatrzęsła, i w pierwszej cholerze, nic nie pytając, w gębę ją trzasłam, boć grzech oczywisty.

Pan Melchior, namiestnik, dowiedziała się wtedy, tak ową kukułkę ustroił, przy tych okazach, kiedy to z listkami odemnie, a za swoją uciechą, do niego biegła. Jakby mnie

kto grotem zgnał, ale zmogłam się w sobie, i po niej spoglądam, aż tu dziw, że mię krew nie zalała, bo zauszniczki, co mi pan rodzic aż w Danię, po szwedzkiej przywiózł potrzebie, a które skrycie, w sepeciku zachowane miałam, widzę, owa kuna malowana, ku swojej używa ozdobie.

Oćwiczyc, jak należy, w stodółce, dałam przykazanie, wtedy dopiero opowiedziała się niegodna, że owe, siostrzan Kasper jej ofiarował, w zalotach...

Sto kopij boleściwych uderzyło we mnie, i padłam na klepisko zemdlona, aże o zmroku ledwo sposobny cyrulik życiu mię powrócił, wtedy gieżło z niej zewleczono, i na chłodną porę, a nocką, aby obrazy Bożej nie czynić, ostawić ją w dziedzińcu kazałam, by tym sposobem zbytnie z niej rugować upały. Pomocniejszym jest to medykamentem, niżli insze dryjakwie, albo i krwie upusty, jaki to przepis na tem miejscu konotuję sobie, zaś jutro, gamratkę na medytacye, do loszku.

Marsa 15. O południu od Imć Kapelana wróciłam, Bóg ukojenie mi zesłał, Jemu też ból mój na ofiarę składam, bo nie na miejscu nad własnem cierpieniem jest lament, kiedy o bliźniej duszy zagubionej trza myśleć, i w tkliwości serca, słabości zrozumienia, od mąk wieczystych ją ustrzedz. Że to w wyposzczonem ciele duch snadniej zamieszka,

jeszcze zbłąkaną w loszku ostawię, nim czas na praktyki pobożne nadejdzie.

16 tegoż. Żałośliwe pismo do Jegomości, do Franusia mego wysłałam. Troski a bole, niepokoje srogie, nic dobrego w kartach.

Marsa 18. Łzy a łzy; przy takowej udręce i pisać niesporo.

.....
Jegomość jedzie, *datum*, z pamięci mi wyszło, ale w Brzostowicy popasa, na podwieczerek tu będzie. Hajduk pojman, oćwiczon, zbiegł, cisawego zagonił. Hanka gdzieś uszła, zaś jej bramowany inderak dar jest jegomości!!!

.....
W tem miejscu rękopis się urywa, w papierach jednak odnalazłem kartkę z blizką datą opisanych wypadków, a więc może i treścią z niemi związaną.

Miesiąca Apryla 2.

Korzonków miętowych naparzyć kwartę do tego:

Kurzego ziela, garść.

Melissy, dwie.

Zagotować pod szpuntek, a wysmarowawszy rozmarynem obolałość, jednym tchem, o księżycu, wypić.

Po zleju przygodzie domowej, napój bardzo skuteczny, także grzana oliwa na zasi-

nione miejsca jest dobra, niedźwiedzią tłustość chwałą, a i łopian pomocny.

Tegoż Apryla 3. W sadzie mię na noc barbarus ostawił, że niby na krwie gorącość i zbyt ni wigor, *remedium* jedyne, co jednak nieprawda, bo choć na wielkim chłodzie, tom w upałach trwała, jako że pacholik zaciężny, co z jegomością przyjechał, kawaler nad pojęcie foremny, precz mi się marzył.

Jak Cherubinek to ładne, a jak szatanek ogniste, nad ustami mech ledwo, a usta jak wiśnie i w oczach żar taki... Dziwna słodkość myśl zmąca...

Jedno złe tylko, że mu Baltazar, przez co z owymi dwoma zdrajcami, Kasprem i Melchiorem, w kompanii.

1905 r.

Na szóstym.

Nie można powiedzieć, aby w mieszkaniu dwóch moich przyjaciół nic zgoła nie było. Ściany wielkiej i wysokiej pracowni zdobiły całe szeregi aktów — modelek w sile wieku, wyobrażających w znękanych pozach piękną i niewymuszoną naturę. Nad nimi ciemniały soczyste studia węglowe, dobre, sumienne prace akademickie, dalej rząd krajobrazów.

Szczere, ciepłe płócienka jaśniejają gorącemi barwami lata, słońca, zieleni, żyją niby wspomnienia wiosny, jakby na przekór tej złej mocy, co drzwiami potrząsa, przez szczeliny się ciśnie, chłód mroźny do pracowni niesie. Godzą się jej mieszkańcy z tą zimową zgryzotą, dzwonią zębami, a pocieszają się myślą, że w lecie za to będzie gorąco, oj gorąco, jak bywa w pracowni paryskiej, z oknami na północ, i dachem — do słońca.

Poza barwnemi ścianami, istotnie nic już nie maści wrażenia pustki, dopiero gdy wzrok

wielką płaszczyznę krzywej, spaczonej podłogi ogarnie, nic na niej nie znajdzie, do kątów sięgnie ciekawie, poczynają się wyłaniać z mroków, nawet zbytkowe przedmioty w mieszkaniu człowieka, co jedną sztukę ukochał, a nieśmiertelnym wzorem, doczesnymi majątkami pogardził. Tedy, wzrok cieszy miednica do kuferka przytulona, nad nią szmat złotolitej brokaty, która już dawno przestała być sobą, obok, złamana staluga, na orzechowych ramionach dźwiga zdecydowanego kształtu strój w paski, a dalej butów kolekcja. Rozbita lampa z kloszem na bakier, trochę masła w papierze, konwulsyjnie skręcony kołnierzyk, pończocha z krawatem splecione w uścisku, pudło z farbami, jakaś nieokreślona, martwa natura płócienna, przy niej były gobelin i — już, gdyby nie dwie oazy — dwie skłębione masy szczątków ubrania, szmat, gazet, gdzie tylko ciemny gospodarski tłumok i cynamonowe palto oparły się niszczącego czasu przemianom, i zachowały dawną, niespożytą godność. Jak człowiek, co to i na ławie i pod ławą się wytarł, a zawsze po nim widać z jakiego to rodu pochodzi.

I przyszedłeś tu oto, gospodarzu zbożny, bo nieopłacony kwartał przed półrokiem się skończył, kiedyś tych lokatorów na pracownię pozyskał, i oto stoisz bezradny, w tym chłodzie a smutku, i jak w grocie z epoki krzemiennej,

śladów zamieszkania szukasz. Wzrok twój błądzi po kątach, łoża pierwotnego wypatruje, a myśl snuje pytanie zawile. Zali prawdą być może, aby artysta, losów wybraniec, Bożą łaską zdobny, uczeń cudnej natury, władca barwy i blasków, pan światła i cienia, piękna apostoł, pod ową w kącie sypiał walizą?

I stoisz w dociekaniach pograżon i dumas, aliści trwoga sercem, w bojach o komorne, hartowanem uderza, bo oto rozłożysty statek podróżny porusza się, wzdycha jakoby, a z po za kłębu rękawów, kończyn rozmaitych, wyłania się kudłata głowa sztuki pomazańca.

Zaspane, wszelako promienne oczy błądzą po tobie, myśl się otrząsa z marzeń uścisku, uświadamia cel twego przybycia, i — ginie głowa maestra pod ciemnym, ponurym kałużem.

— We środe... — brzmi stamtąd dźwięk, niby głos Jonaszowy.

I idziesz człowiecze, i dumas, że środa to z rzędu trzydziesta, a za tobą, po schodach, głos leci:

— Malarz nigdzie nie płaci!... Łaskę ci robi, że mieszka pan ducha!

— I po co to ci bazgracze na świecie potrzebni? — myślisz już szczerze. — Dziury z tego tylko po ścianach i w kieszeni dziury. Ale jakże ja tę hołotę wyrzucę?

Pogodną myśl mroczysz, o dobro zabieliwy gospodarzu zbożny.

Sen to, czy jawa, bo cisza w wielkiej pracowni, cisza chłodu i pustki. Mija godzina jedna i druga, aż nagle rozwarło łono walizy westchnienie podnosi, potem kaszel niem wstrząsa. Dźwięk ten budzi z uspienia palto syberynowe, porusza się ono, chrząka, w końcu głos ludzki dobywa się z niego:

— Janek!

— Czego? — mruczy waliza.

— Zimno?

— Zgadnij!

Palto porusza się energiczniej, klnie i narzeka, nagle, jak olbrzymi nietoperz, leci na środek pracowni. Jednocześnie, niby czarodziej, zjawia się smukła postać młodzieńcza, i dziwne skoki wyprawia.

— Brrr!... A to ci jest zimno... Ja-a-nek!

— Czego?

— A to m-mróż dopiero! Ładną gwiazdkę ma-amy.

— Pal w piecu.

— Już pa-pałę.

Z temi słowami młodzieniec pochyla się do ciężkiej belki pod ścianą leżącej, chwytając ją w krzepkie ramiona, i... biega tam i z powrotem po obszernej pracowni.

— Drzewem się pa-pali, nie jak hołota, węglami.

Jeszcze chwil parę: łomot! I toczy się kloc po podłodze; z twarzy, promiennej od ciepła, radości, pot spływa.

— Janek!

— Czego?

— Ciepło! Cug doskonały, aż we łbie traska!...

Leci teraz waliza, jak dzieci za nią, różne części ubrania, i już belkę pochwycił drugi oblubieniec:

— Ciepło, cieplutko. Hu, ha!...

Bosemi piętami hołupce krzesze, jak z dziewczyną w tańcu, z przyśpiewkami, obraca i — znowu łoskot wstrząsa podłogą.

— Co za hałasy! Boże, mój Boże! — jęczy ktoś z korytarza.

— *Taisez vous.* Co to za krzyki? W piecu się pali, kochana pani.

— *Oh, sales polonais... Barbares!*

— Wilia jest dzisiaj, nie Barbara. *Ferme ta boîte!* Ciepło ci, Stasiek?

— Ciepło... Kapitalny ten twój wynalazek.

— Ja myślę... Ale też ziąb był morowy. Paryż, Paryż, a zimno, jak w jakich Kielcach, lub Rudzie Guzowskiej. I co za porządek, pytam się, w tym magistracie niebieskim? Zima — mróz, lato — upał, żeby to choć naodwrot kiedy było.

Stach się nad projektowanym przewrotem atmosferycznym zadumał; rosły, czarny, ku-

dłaty Janek koszulę ściągnął, i żyłasty kark wodą polewał.

— Zimna, jucha!

Parskał, chlustał bryzgami po całej pracowni, potem otrząsnął się, i krzyknął:

— Prześcieradło dawaj!

— A już! Do wieczora nie wyschnie, a potem całą noc zimno.

— Dawaj, ja w róg tylko, jak kupię drugie, to także będziesz używał.

— Kupisz, kupisz... Od roku to słyszę.

— No, przecie dziś muszę mieć pieniądze. Urządzimy wilię, że ha!... Naprosiłem gości: damy ze świata, dziewczyny z nadświata — anioły... Jedna księżniczka, incognito, Burbonka, Van-Houten, graf holenderski, dwóch grandów, bo malarz z arystokracją żyć musi. Dawajże prześcieradło!...

Ładny, jasnowłosy Staś szarpnął kawał perkalu i podał go koledze.

— A tak, kochanku. I pieniążki być muszą. Muszą, uważasz! O dwunastej przyjdzie tu rodak, mecenas sztuki, dobrodziej, uważasz, co od zdychających malarzy obrazki lubi kupować, a potem, że mu na nos nie kapie — kucharkę bestya ma — może poczekać, aż sprzeda, więc z przyjaźni, uważasz, pięć razy tyle zarobi... Godny pan, szanują go ludzie! W każdym razie trzysta franków pewne, mu-

rowane. Masz swój galgan, udław się, ty Petroniuszu bez butów.

Zmiał białą, mokrą płachtę, i w kąć rzucił.

— No, to doskonale, Jasieczku... — cieszył się rozpromieniony Staś, jak dziewczyna różowy, — to doskonale będzie. Bo to dziś nawet głupi sen miałem...

Starannie prześcieradło wyżał i składał.

— No tak, jesteś przecie jego autorem. Nie masz kawałka Marylanda, albo jakiej innej tabaki?

— Nie mam... A śniło mi się, Jasieczku, że sam gospodarz był u nas.

— Śniło ci się, powiadasz... Cóż dalej?

— Ano, powstał, powstał, rozejrzał się po meblach...

— No i?

— I poszedł.

— Więc doskonale! Zupełnie, jak na jawie. Niechże ci się te sny, jak najdłużej, sprawdzają, bo przecie nie myślisz, że choćbym się z samą Filharmonią warszawską ożenił, skretynięję do tego stopnia, abym za mieszkanie płacił. Dawaj no spinkę od koszuli... Już się ubrał, lalo malowana... Ściągaj kołnierz.

— No, a ja?

— Ja! Naturalnie, ja przedewszystkiem. Egoista, fryzyer, elegant! Za godzinę obrazy sprzedaje, tysiące franków biorę, a on mi

kołnierzyka żałuje. Masz ty tam jeszcze przychowany, zaczajony na święta, nie bój się...

— Wszystkie trzy w praniu.

— Machaj do pralni!

— Nie da mi baba, winien jej jestem za twoje koszule.

Pośpiesznie kołnierzyk zdejmować począł.

— No, masz, ale oddaj, mój Janku, bo ja dzisiaj do ciotki. Może mi wysypie z pięć franków na gwiazdkę.

Janek porwał kołnierzyk, obejrzał go i skrzywił się:

— Brudas!

Następnie rękę po krawat wyciągnął, i już ubrany na kuferku usiadł.

— Tak, kochanku, niezdaro. Społeczeństwo nie składa się z samych płacących za komorne. Organizacye wyższe nie znoszą tej szczątkowej przemocy drapieżnych kamieniczników, a dusze wybrane szukają nowych dróg, nowych kierunków...

— I ciągle bywają wyrzucane wraz z ciałem i pustymi tłómkami, których już nikt licytować nie chce.

— O, tylko nie dowcipkuj!... Pomyślmy seryo: masz ty jakie pieniądze?

— Żadnych, pieniędzy.

Janek czarną, kędzierzawą głowę pochylił, i zamyślił się.

— To nie jest dobrze — westchnął. — To

nie jest dobrze, bo taki mydlarz to czasem przyjdzie, nagada o pogodzie, spyta się: co to, proszę pana, właściwie znaczy symbolizm? — i pójdzie. W przyszłym tygodniu zajdę, we środę — na pożegnanie ci powie. Aha, we środę go czekaj, to stale mój dzień pechowy.

Staś ku niemu się przysiadł, i po chwili półgłosem mówić zaczął:

— Szkodaby było... Zawsze wilia, głupi sentyment, powiesz, ale wilia... Wilia, to widzisz — wilia.

— Wygadałeś się... Tak, wilia, to wilia. Jedyny dzień w roku, kiedy mi bieda dokucza — trochę... Tak, — gwiazdka... A nowy rok: ordynarny, szelma. Błagier. Ale gwiazdka, tak... I to nie jest takie głupie...

Oparł głowę na rękach, i jakby do siebie, mówił:

— Taki biały, niebieski obrus, talerze fiolety, opłatki, masa refleksów. Ciepłe, żółte światło... Potem jakiś głupi brat, siostra idyotka, zabeczana kuzynka, wszystko to razem się ciśnie, a pocziwe to, a szczere... Matka płacze, tuli gałgana: »popraw się« — wzdycha. Stary ręką tylko machnie, w kąt idzie, a biedna ciotka, najbiedniejsza ze wszystkich, w garść ci coś wtyka... Psiakrew! A ciasny ten twój kołnierz, jucha, aż za gardło ściska...

Zerwał się nagle, i po pracowni przeszedł.

— I nauczą to od dziecka gupstw różnych,

naprawią bajek o prawdzie, o cnocie, jakieś kochania do serca przyczepią, gwiazdki, bzdury, a potem morduj się chłopie, z biedą zmagaj, póki życie z ciebie tych kwiatków nie oskubie, śmietnika wspomnień nie wymiecie z duszy. Czy to nie lepiej dzieciaka do łgarstwa zaprawić, żeby mu w życiu lżej było? Zamiast bajek, kodeksu kryminalnego nauczyć, żeby wiedział, co za co... I cóżes łeb zwiesił, jakby coś rzeczywiście w nim było...

W pochylone plecy go palnął.

— Kupiłeś mak?

— Ku-kupiłem. Jest w torbie na kominku, od tygodnia już leży.

— No, to i dobrze. Przyjdzie Jeanne, to się ją do kręcenia zapędzi. Cóż to byłaby za wilia bez maku? Pokażemy Francuzom, jak się to u nas żyje...

— Żeby się tylko nie skończyło na maku.

— Dla ciebie to i dosyć, bo jest takie przysłowie, ale dla nas będą dziś i sole, i turbot, kawiorek się znajdzie, białego buteleczka i druga — puk, puk... A potem z dziewczynkami igrzyska — i pójdzie w kąt klasyczny tan... Zuzanna, Madelaine, Berta, Tonetka, Yvonne, mała Cléo, czarna Fanchon — wszystkie tu będą.

— Modelki...

— Nie... Ciotkę twoją prosiłem, telegrafowałem po polskie dziewice z białego dworu

i wypłowie matrony, plotkarki z prowincyi, w oryginalnem opakowaniu... Już będą, już jadą — hipopotamy z nad Wisły. Modelki... Cymbał!

Wparł ręce w kieszenie, i zbliżył się do niego:

— Modelki!... A cóż jest piękniejszego na świecie, jak ciało, ty, artysto z pod Kawęczyna! Ta boska forma — ramiona kobiece, a ta słodka, miękka linia, co ci płynie od bioder, ucieka, rozplywa się, i znowu łączy; a ton: lilie i złoto, wschód słońca, a głowa, jeżeli jest głowa... Włosy, idyoto, kark, ślepy kreciel!...

Tych cudów nigdzie nie spotkasz, bo u nas, tam w Kielcach, Sieradzu, Włocławku są może uczciwe, godne osoby, ale Bóg sprawiedliwy: nie da cnocie szlachetnej budowy, bo po co? W piwnicach, katakumbach kwiaty nie rosną, tylko purchawki. Weźmie ci taką jaki buchalter, czy inny mydlarz i rad, bo czy on wie, co to jest linia, co to jest forma, co to jest kolor? Dla niego tłusta kobieta — ładna kobieta. Byłaby była, byle miał z kim spać, a przede wszystkim nad kim się znęcać, bo to dla małych dusz radość najwyższa.

A przecież i ona, a więcej warta od niego: ona ma duszę wrażliwą, i zawsze więcej pocucia, a on — co on ma? Guziki! Jak mu

którego zabraknie, to z niej czasem kwartę lez wytoczy...

Stach głowę podniósł, i słuchał. Ożywił się nagle:

— Mam kompozycję... — szepnął podniecony — mam!...

— Gadaj!

— Rozumiesz: krzyż, na nim baba, taka Ewa słodka, jak to Rodin ją czuje, a Tycyan malował. Leży taka w pysznem skróceniu, trochę na bok. Głowa cudowna: ból, duma, pogarda, a obok... obok zgięty, skrzywiony, wiesz, szary bez koloru, bez czaszki, zepsuta kreweta — taki człowiek porządny, ubrany: lakiery, getry, taki, uważasz, zbójca mizerny, zniszczony despota — przybija młoteczkiem nogi i ręce, gwoździakami przybija do krzyża...

Zamilkł, jakby zawstydzony spojrzał na Janka, i szepnął:

— Symbol: szczęście małżeńskie...

Ktoś do drzwi zapukał, potem pięścią uderzył.

— Głupis, mój Stasiu, ale styl ci się wyrabia... *Entrez!*

Z prądem grudniowego wiatru do pracowni wpadła młoda, jak maj świeża, dziewczyna. Z głośnym śmiechem na szyi Janka zawisła, dźwięcznie pocałowała go w usta, potem schwyciła w pól Stacha, okręciła nim kilka razy, i znowu ku Jankowi skoczyła:

— *Vilain!*...

Podniosła głowę, patrząc mu w oczy z miłością.

— *Trompeur!*...

Ucałowała go serdecznie.

— I za co ja ciebie tak kocham?

Ugryzła go w brodę, i już tańczyła po pracowni, tuląc się do Stacha.

— *Viens, poupoule-e, viens, poupoule-e, viens.* — *Komm, Karlinchen, komm, Karlinchen, komm* — śpiewali oboje, a — oj, Maryśka, oj, Maryśka, oj! — międzynarodową melodyę wspierał bas trzeci.

— Dama chce spocząć, gdzie się tu siada?

— Na podłodze, hrabino.

— *Mais, c'est epatant ça...* — i już siadła, uderzając czerwonymi bucikami o ciemne, pokrzywione deski.

— Jannek, chosz tuttaj, daj *bougie*... — krzyczy jak papuga, powtarzająca wyuczone wyrazy.

— Zaraz, zaraz, będziesz miała inne zajęcie. Skocz-no, Stasiek, do *voisine'y* niech ci dużej glinianej miski pożyczysz, wiesz, jak to do tarcia maku się bierze.

— Nie da... Wczoraj na drzwiach jej wymalowałeś »*Vive le roi!*« a stara republikanka aż łzy miała w oczach ze złości.

— Ale da! Już zapomniała. Powiedz, że *pour les pauvres artistes polonais*. Musi dać.

Zrób jej tylko taką pocziwą gębę blond, z niebieskimi oczami. Baba ma serce.

— Ale miski nie da.

Poszedł jednak, i za chwilę już zjawiał się z uśmiechem w jasnych, pogodnych oczach. Miskę pod pachą niósł.

— Dała, ale prosi, żeby już nigdy...

— Pocziwa baba — śliczności donica!

Porwał ją uradowany, wybiegł na korytarz i już bębni całą siłą do drzwi sąsiadki.

— *Vive la republique! Vive la republique!*

— *Merçi, monsieur.*

— *Pas de quoi, madame... Vive la commune!* — krzyczy, aż szyby dzwonią i tynk leci na głowy.

— *Merçi, monsieur, merçi* — jęczy wystraszona.

— No, zrobiłem babie owacyę, ale warto, bo miska pyszności, polska, prawdziwa, styl grecki, kochana micha! Cała wieś nasza przed oczami mi staje. Widzę taką Horpynę, jak mak na wilię morduje, aż jęczy donica, a wszystko, naokoło, tańczy w tej kuchni, śpieszy się... Hej, Stasiek, jak długo my się tu jeszcze wycierać będziemy? Kawałek pejzażu naszego dawaj, te mordy płaskie, pocziwe, dawaj, bo... bo — rzną miskę o ziemię!

— Jannek, Jannek, daj *bougie*!

— Zaraz, zaraz, dam ci robotę.

Krzętał się po pracowni. Miskę w wodzie

oplukał, starą kamizelką wytarł, potem z torby maku do niej nasypał, i z uroczystą miną, niosąc, jakby wagę kosztowną, do siedzącej na podłodze dziewczyny się zbliżył:

— Oto niosę ci szczytne posłannictwo w tej donicy wraz z makiem zawarte. Do wielkich czynów powołuję, których się nie zdobywa ani majątkiem, ani urodzeniem, ani nawet talentem, lecz... cnotą... — mówił przesadnym patosem, doskonałym językiem.

— A cnota, uważasz, dziewczyno — »skarb wieczny, cnota klejnot drogi«, jak pisze polska poetka, pani Żmichowska, ta cnota właśnie dziś cię obowiązuje...

— *Qu'il est rigolo* — rzechotała dziewczyna. — *J'ai mal aux côtes... Oh, tais toi!*

— Poczekaj... Oto weźmiesz, córo pięknej Lutecyi, dziewico słońca, weźmiesz tę oto amfore, postawisz ją sobie w ten deseń...

— *Ah, non, non!...*

— Inaczej nie można, musisz być w stylu... O, tak... Zspolisz się z nią, niby dwa serca, a jedno bicie, poczem weźmiesz pędzel w prawicę, nie tym końcem, niezdaro, i będziesz rozcierać ten dar bogów indyjskich — ziarna snu, zapomnienia, rozcierać tak długo, póki ci się papka nie zrobi. Tutaj masz cukier, tam wodę i pracuj szczęśliwa, i niechaj cię Siva i Wischnu potężną opieką otoczą, ja zaś idę po franki, bo mydlarz — nie przyszedł.

Dziewczyna uderzała bučikami po podłodze, rzucała się, rozbawiona, lecz gdy zrozumiała nareszcie, że tu rzeczywiście o jej pomoc chodzi, jęła się roboty z całą pocziwą gotowością.

— *Ca y est!... Pas mal ça...* — wykrzykiwała, próbując tartego z cukrem maku.

Smutny, cichy Staś ręce skrzyżował, patrzył i uśmiechał się, lecz widać po nim było, że myślał gdzieś błędzi daleko. Z zamyślenia zbudził go głos towarzysza:

— Miał być o dwunastej, bije już trzecia. Masz polskie słowo, polską uprzejmość. Zostawił nas z bosą gębą, ale sam, nie bój się, będzie żarł cztery ryby, leguminy, ciasta, w dzień pokuty umartwiać się będzie — koń Jezusowy.

— Żle, żeś już gości poprosił...

— A niech ich!... Przyjdą, zobaczą, że ciemno, domysła się przecie, że niema przyjęcia. Gorzej to, że my sami... i dziś właśnie...

— Siadł, głowę zwiesił, długą chwilę myślał.

— Ano, chodźmy. Ty do ciotki, a ja powałęsam się trochę, może znajdę jakiego melancholika, co mi garstkę miedziaków pożyczę...

— Pelerynkę zarzucił, Stach po palto na podłogę sięgnął.

— Idziecie?... — szepnęła smutno dziewczyna.

— Idziemy po złoto, a ty siedź tutaj, rób honory domu. Jakby kto przyszedł, niech idzie do licha. Albo nie: przeproś i powiedz, że panowie wyszli, bo... no, — bo im się tak podobało...

Pochylił się ku niej, pocałował w usta, skrzywione, jak gdyby do płaczu.

— Trzyj mak i bądź grzeczna. Jak ci będzie zimno, to możesz w piecu napalić. Tam leży belka.

— *Fiche toi, taquin!*

Leniwie, ciężko ku drzwiom ruszył, do smutnego Staśka się zwrócił:

— Wiesz, to życie nasze dobre jest, może nawet ciekawe, w nowelach. Po obiedzie przeczytać, Bogu podziękować, że ci się w duszy nie pali, i — trawić, ale tak, wiesz, przeżyć samemu naprawdę... Tfy!...

— Wracajmy do kraju.

— Po co? Na nędzę krakowską, czy na krytykę warszawską. Wracać do tej mydlarni, o polskim modernizmie słuchać, łączyć po suchotniczej, własnymi murami zgębnionej Zachęcie, i czekać, aż ci jaka kumoszka na obraz napluje, lub reporter z Bożej łaski, napisze, że malować nie umiesz... Nie, nie, tam szkoda moich ofiar i głodu, mojej miłości, na poniewierkę, szkoda. Tam las, a tu świat!...

Machnął ręką, i westchnął po chwili:

— Tak, ziemi kawałek, z jedną krzywą

wierzbą, ze strugą... Hej! Ale chodź, gapiu, bo widzę, że ci na beki się zbiera. Nie dla tych ziemia, co ją kochają...

Poszli. Porwała ich ulica, wchłonął tłum paryski, tłum rozbawiony, wrzaskliwy, kipiący weselem, radością, obłany potokami światła wystaw sklepowych, tłum barwny, strojny, samolubny, nieszczery, ciągle śpieszący, aby z krótkiego życia wziąć wszystko, dla siebie, co daje to życie.

Tu niema wili, wspomnień, pamiątek, tu depcze się wszystko w pogoni za chwilą pijanego zapomnienia w nowej rozkoszy, co silną być musi, odurzającą, tak silną, aby przy niej z dna duszy, smutki i żale powstać nie śmiały, z chwilą gdy one się zjawiają — śmierć idzie.

Miłość, serce, uczciwość, to puste wyrazy, literackie ozdoby wytarte, a czyja dusza ich dzisiaj pożąda, śmieszna to dusza, jak śmieszna wiara, poświęcenie, uczucia, wobec tej wielkiej anarchii miłości, skłębiającej w milionie uścisków ten tłum dziki, żądzą dyszący, co w kłamstwie i zdradzie, odrodzenia szuka.

I czego chce tutaj ten błady, jasny chłopak, z szarych, cichych równin, z pod lip starych, modlących się zabrany. Śmieszny on tutaj ze wspomnieniem łez błogosławiącej matki, z tą myślą marzycielską, cichą bezradnością swoją, i sercem kochać i tęsknić nauczonym — śmiesz-

ny wobec tych ludzi doskonałych, wolnych od uczuć, co żadnej korzyści nie dają, tylko łązy cisną.

— I czego ty chcesz, mazgaju? Trzy miliony ludzi się bawi, a ten jeden ma taką minę, jak grób familijny na dwanaście osób.

— Tak, smutno mi jakoś; to już czwarta wilia taka... Dziwnie mi pusto...

— To z głodu. Pójdiesz do ciotki, to się pożywisz. No, ja na prawo, a ty?

— Na *Menilmontant*.

— Oj kawał! Deszcz, zimno; wytrzymasz ty aby?

— Ja tak, ale — buty...

— Kpij z butów, kiedy formy poczucie masz w duszy. Patrzaj, ten tam pod ścianą, senatorska gęba, orderzy, a sandaalki także, ledwo, że ledwo.

Pod murem stał człowiek, o twarzy rasowej starego żołnierza, zziębły, trzęsący się. Drżącą ręką numer gazety podawał: »*La patrie*«, »*La patrie*«... — jęczał...

— Popatrz na niego: ciekawy mordotyp. Ojczyznę sprzedaje, powinienby mieć gotówkę, bo to zawsze popłatny interes. No, do widzenia, o ósmej na kawie, u Durand'a, na dole, jeżeli grosza dopadnę; a teraz machaj do ciotki, niech ci tam czego w papier nasypie.

Uścisnęli się za ręce. Janek w tłum sunął.

Huczy ulica, wyje Paryż od końca do końca,

cicho szumi stara Sekwana, o dawnych hasłach rozmyśla, o krwi, co za święte prawa człowieka z jej falą spłynęła.

»*La patrie!*« »*La patrie!*« — jęczy stary wojak pod murem.

.....

— Byłeś u ciotki?

— Byłem. Przed miesiącem umarła.

— Głupia ciotka! A jadłeś co?

— Nic...

— No to masz... Ciastek z kremem, małpy mi dali: na deser po wili, mówią. Obrazków namalowali, pejzażyków z bydłem, na podarunki gwiazdkowe, i dziś, kielbas cała góra stoi. Żrą, o sztuce gadają, poncz piją. Krawaty, kołnierze, zegarki... Alfonsy, sztuki kapłany — psie dusze!...

Jasny, blady chłopiec przez łązy się uśmiechał, westchnął:

— Tak widać trzeba. Nie można w nic wierzyć, nic kochać, bo to — za drogo kosztuje. Ten stary z ulicy, on także pewno kiedyś...

— No, bez elegii — jazda do domu!

Po ciemnych, krętych schodach, smutni, milczący poszli do siebie. Janek od »dobrej pani Bichon« świecę pożyczył.

W zimnej, ponurej pracowni, pod kominem, na tem samem miejscu, spała dziewczyna, a w glinianej donicy, objętej nogami,

w szkockich pończochach, bielił się mak, starty na miazgę.

Janek spojrzał i skrzywił się.

— Pocziwa dziewczyna, ale — ordynarna w kolorze. Psuje mi nastrój tej gliny; — zbliżył się, suknię poprawił.

— Niech śpi, a my, Stasiu... — Twarz miał zakłopotaną, jękał się jakoś. — A my, uważasz, może to bardzo głupio, uważasz, no... ale mam tu kawał opłata, od mydlarzy wzięłem, więc, tego...

Wysunął rękę — trzask cichy po pracowni się rozległ.

— Dajże ci Boże, Stasiu, no... — Drgnęły mu usta, zwiśły skrzywione.

— Cóż ci się łapa, niedołęgo, trzęsie... — zapanował nad sobą, odwrócił się, krzyknął:

— Mazgaj! Idyota! Nie dzielę się opłatkiem, nie chcę...

— Hu-ha, kochana! — Już tańczył z belką po wielkiej pracowni, i śmiała się dziewczyna.

A Stasiu głowę do chłodnej, wodą ociekłej szyby przytulił. W cichej, na bóle wytrwałej duszy, coś wrzało, tłoczyły się w myślach wspomnienia, i uciekały, jakby spłoszone uśmiechem szyderstwa, co na tej jasnej twarzy zawitał.

— Nic nie ma! Nie kochać nie można, w nic wierzyć. Trzeba jak inni...

Modny, wielki Paryż brał w posiadanie to

serce rozżalone, i uczył modlącą się duszę niewiary, i drwił ze wspomnień młodzieńczych, z uczuć najszczerzych, z miłości dla sztuki; drwił i chichotał, rwał, deptał wypieszczone kwiaty wiary, kochania.

— Chodź ze mną: Masz talent, jesteś młody, świeży i głupi — sprzedamy to wszystko. Chodź, póki głód, nędza towaru nie zniszczy.

Wtedy z ciemnych mgieł, nad miastem wzniesionych, w tej czarnej oddali, dokąd biegły jasne oczy chłopaka, z za gór, z za rzek, od szarej, cichej równiny przyszła drobna staruszka, w wyschłe ręce głowę ujęła... Janek za ramiona go porwał.

— Cóż ci to Stasiu? Na ziemię się walisz...

— Nic... Nic — to już przeszło...

— No to chodź. Pani Bichon kawał ryby przysłała. Trzeba jej zrobić owacę.

— »W żłobie leży, któż pobieży, kolendować małemu« — znaglony Staś już ciągnął szczerze, żałośnie, pod drzwiami sąsiadki.

— Za rrybę, za rrybę, za rrybę... — jednostajnie, niby basetla, wtórował mu Janek.

— *Merçi, merçi, merçi!* — a w pracowni krzątała się pośpiesznie dziewczyna, ustawiając, ubogie, jak ona, tanie francuskie smakołyki. Oczy jej śmiały się radośnie.

— *Voilà pour Jannek, — voilà pour l'autre.*

Prasynowie Dyany.

Pan Józef dnia 13 sierpnia:

Przyrządził naboje ze wszystkich numerów śrótu, nakarmił psy jak nigdy, przygotował cały rynsztunek myśliwski wraz z szerokim jataganem, (na pohybel drapieżnym), wydał ostatnią dyspozycję co do obudzenia go jutro o świcie, i legł.

— Dać ci, Józiu, kaftanik włóczkowy? Bo teraz poranki chłodne... — pieszczotliwie kwili prawowita małżonka.

— Daj, aniołku.

— Możebyś wziął te długie wełniane pończochy? Bo to widzisz, na nogi...

— Daj, skarbie.

— Dam ci także ten szalik, co to ciocia Józia robiła.

Józio już śpi, a troskliwa małżonka, układając przy nim wyroby włóczkowe i wełniane, szepcze do siebie:

— I po co mu to? Nie dośpi, nie doje, zamoczy gdzie nogi, nabawi się kataru.

Nagle błyska tkliwej towarzyszące myśl szczęśliwa, budzi więc śpiącego Józia.

— Kalosze włożę ci do torby, tylko uważaj, żeby ci nie zamienili.

— Dobrze, jedyna.

— Można cię pocałować, Józieczku? Ty niedobry!...

— Włóż do torby... — jęczy zaspany.

Ale niech śpi Józio... Jutro czekają go troski, zawody i żale, których nie odwróci od niego ani włóczkowy kaftanik, ani kalosze ani pocałunek prawowitej małżonki.

Poprzez szeroki pas białej tatarskiej suną ciemne sylwetki myśliwych; przed nimi dobre psy sumiennie »okładają« pole. W dali sinieje pas lasu, obok bezmierna przestrzeń pól złocistych, zielonych, brunatnych... Za nimi za ledwie widoczny, jakby zawieszony w powietrzu blask wieżycy kościelnej, a bliżej w morzu zieloności tonie dwór biały. Wysoko słońce palące, pod niem napojone żarem powietrze.

Zmęczeni ludzie — myśliwi, idą powoli, jakby zgnębieni trudem niezmiernym.

Jeden z psów, przodujących smutnemu pochodowi, stanął nagle, wyciągnął łeb, wyprężył ciało, i zastygł bez ruchu.

— Są, są — przeleciał szept po szeregu.

Ludzie zbili się w gromadkę i otoczyli miejsce, które pies głową, o drgających nozdrzach, wskazywał:

Serca biją, jak gdyby z piersi wyskoczyć miały, ciało przechodzi dreszcz, strzelba drży w dłoniach, a mordercze jej lufy zwracają się nagle w stronę starego strzelca, spokojnego staruszka, z długimi siwymi wąsami.

— W Imię Ojca i Syna, aby nie we mnie, królu kochany!

Pies posunął się naprzód, przypadł do ziemi, posunął się znowu, i nagle isć zaczął, wolno, coraz prędzej... Za nim gromada myśliwych biegnie, głowa naprzód podana, w oku płomień, w sercu zaciętość, a w dłoni błyszczy broń okrutna. Idą, jak do ataku, mężczyźni, zaciekli, pies ich prowadzi... Idą.

Na brzegu białego pola furknęły skrzydła... Ciwirr, ćwirr — cir, ćwirr... — porwały się kuropatwy.

Z bezładnej kupy buchnęły strzały; śmierć w każdej lufie zakłęta owiała ognistym tchnieniem przerażone stadko, i cisnęła o ziemię... jedną ofiarę.

W kierunku drgającego ptaka poskoczyły psy, wyciągnęło się rąk dziesięć.

— Moja!...

— Nie za pozwoleniem, to moja.

— Ależ przepraszam, ja strzelałem.

— A ja zabiłem.

— Ja miałem ją doskonale na celu.

— A ja ją mam przy torbie.

— Jeżeli starka to moja... — odzywa się stary — umyślnie ją chciałem odbić od stada.

— Ja także do starki chciałem...

— I ja od stada...

Rozpoczyna się sprzeczka na dobre, zaś mądre psy patrzą zdziwione; przywykły do ciszy na polowaniu. Myśliwi tłómaczą sobie różnicę strzelania i zabicia, kiedy w tem nagle: ćwirr — cir — zrywa się obok spłoszona kuropatwa, za nią dwie, cztery...

Zakłębiły się dymy, i grzmot za grzmotem we wszystkich kierunkach. Stary strzelec żegna się pobożnie:

— I od naglej, niespodziewanej śmierci zachowaj nas, Panie.

Nastaje cisza, na twarzach myśliwych maluje się bezmyślne zakłopotanie. Jeden ze strzelców przytracza sporną kuropatwę, mówiąc:

— No, chodźmy, panowie, nie zabraknie tu dla nikogo.

Idą, a za chwilę grzmia znowu wystrzały i znowu sprzeczą się myśliwcy. Zniecierpliwione psy odbiegają swych panów, inne próbują polowania na własny rachunek. Rozlegają się krzyki, gwizd, nawoływania, skowyt bitych i kopanych zwierząt, przekleństwa i narzekania.

— Szedł miedzą, uszy mu tylko widać było... Nie mogłem zatem...

— Ale dostał, odemnie dostał, strzelałem przecież z *choke bore'u*... — zapewnia ktoś drugi.

— Ano poszedł gdzieś zdychać, daleko.

Obok brzmi inna rozmowa:

— Cóż to panu tak twarz nabrzmiała kochany prezesie? Fluksya pewno?

— Strzelba, szelma mi tak odbija... — odpowiada prezes krzywousty.

— Dlaczegoż pan nie sprzeda, albo nie zamieni?

— Przyzwyczaiłem się, panie kochany.

Ofiara własnych namiętności, ze spuchłą twarzą, brnie dalej pracowicie, przez gęste łąbiny; górą unoszą się czajki i jakby szydzą żalonym dźwiękiem: oj, oj, oj... I znowu dwa strzały, i tenże jęk zmęczonego głosu:

— Chociaż żonie na kapelusz, ptaszysko zabić chciałem, a tu jak nie wytnie! Gęba na lewo, strzelba na prawo! Czy to można co zabić, panie kochany?

— Naboje za mocne pan prezes robi.

— Strzał, panie kochany, pewniejszy.

Pomknął znów zając: w całym szeregu buchnęły strzały. Kot wyciągnął się tylko, słuchy po sobie położył i sadził. Stary strzelec prowadził za nim długo cel swojej strzelby, aż wreszcie wypalił i zając legł, z dymem, bez ruchu.

— A to ci strzelił stary dobrze! Pokaż no pan strzelbę.

Zrudziała, wysłużona kapiszonówka, obeszła wszystkie ręce; ten i ów złożył się, próbowano zamków, zagłądano w lufy, jakby w poszukiwaniu tej tajemnicy urządzenia, co tak skuteczne strzały sprowadza.

— Kuropatwim pan strzela?

— Jednym, panie dobrodzieju mój, jednym gatunkiem na wszystko, już piędziesiąt lat strzelam.

— Jakimże numerem? — dopytuje ktoś ciekawie.

— A któżby tam numerami strzelał, panie dobrodzieju mój? Sypie się oto trochę grubego, ze dwa półkulcza, albo i siekańca, i donstu oto, aby że aby, to i do dzika mogę, i do koziołka, a jak potrzeba, to i zając dostanie, kuropatwę się spuści... Tak to królu kochany, ale numerami strzelać? — Zżymnął się staruszek, strzelbę odebrał i splunął na nią:

— Od uroku — mruknął.

Pokiwali głowami strojni myśliwcy, posiadacze wspaniałych luf Bernarda i ozdobnych damasceńskich dziwerów, westchnęli smutnie, a jeden z nich zauważył:

— Te stare strzelby to jednak dobrze biją; teraz to wszystko tandeta.

— Oj tak panie dobrodzieju mój, wszystko

tandeta, wszystko. Ale służę zajęczkiem, ja tam na to nie chciwy.

Słońce ku zachodowi się chyli, pławiąc w seledynowych i płomiennych blaskach. Wyniosłe sosny złocą swą korę, czerwienieją szerokie grusze, cień schodzi. Nad łąkami wstają mgły blade. W kartoflach i ścierniach wabią się rozbite stada kuropatw, i brzmi jednostajny głos derkacza. Woła przepiórka. Od łubinów mocny zapach idzie, a z wiatrem śpiew daleki. Rozlega się bliżej i bliżej, dźwięczy już ostrą nutą. Z wąwozu porośłego gęstymi krzakami jeżyn, wysuwa się barwna, rosła postać młodej kobiety, z grabiami na ramieniu i uczepionym u fartucha »rakiem«. Zasłoniła oczy od słońca i patrzy ciekawie na zmęczonych myśliwych. Dzieciak przerażony widokiem obcych twarzy, poczyną się krzywić, w końcu wrzeszczy wystraszone, uspokaja go matka:

— Ino się nie bój. Nic ci nie zrobią owe cudaki. Une nawet zajęcowi krzywdy nie zrobią.

Z towarzystwa odłącza się młody, urodziwy, przyjaciel ludu i rozpoczyna rozmowę:

— A co to? Grabicie?

— Juści ze grabię... A cóż?

— Zdaleka jesteście?

— Mnie ta blisko, a komu daleko... — drwi chłopka z panicza.

— Ładna babina... — myśli przyjaciel ludu, uśmiecha się i zbliża:

— Zajęcy nie widzieliście?

— Ady kicał kole olszyny, ino ze pan niezdarny...

— A możebyś tak poszła ze mną do olszynki... poszukać?

Z wykrotu unosi się leniwie, duża, szara postać chłopca. Powstał, ziewnął, pochylił do ręki panicza, potem wsparł się na kosie i rzekł powoli pokornie:

— Niechta już wielmożny pan baby mojej zaniecha, bo głupia ona. Zaś byłoby nieładnie, jakbym jaśnie panu tak łeb rozbił, a bo co...

Stropiony myśliwiec nagłością tego projektu, snadź uznaje, że istotnie byłoby nieładnie, bo usuwa się pospiesznie, a dopędzając towarzystwo dochodzi do wniosku:

— I cóż tu pomoże oświata? Przekłętę chamy... A zaraz bić... Czyż to można żyć z ludem?

Już grono myśliwych spoczęło na polance leśnej. Wszyscy w pozach malowniczych. Na pierwszym planie leżą dwie kuropatwy, wrona zajęc i wiewiórka, opodał jeden z Nemrodów celuje w grupę z aparatu fotograficznego.

— Panowie, pozy niewymuszone... Proszę o chwilę spokoju... Biorę na czas!

Trzask! — stało się...

Na trawie zjawiły się obrusy, talerze, roz-

maite mięsiwa, wódki i wina, ani humoru jednak, ani apetytu goście nie przynieśli ze sobą.

Odezwał się ktoś z opowieścią myśliwską, w której całem bogactwem fantazyi, chciał zasłonić ubóstwo myśliwskiego doświadczenia, i prawił długo, i słuchali grzeczni towarzysze, czekając swojej kolei.

Stary strzelec stał pod drzewem opodal, jadł suchą kielbasę, trzeszczącą w zębach jakby gałąź kto łamał, lecz jadł stary ze smakiem i słuchał ciekawie. Zapalił fajeczkę, słuchał, a potakiwał drwiąco, aż gdy popiół wytrząsnął, fajkę za cholewę schował, splunął i rzekł:

— A to jest wszystko, z pozwolenia pana dobrodzieja, łgarstwo, i na to gęby szkoda...

Stanowcze to odezwanie się odebrało ochotę głosu innym i zwarzyło do reszty kwaśne humory:

— Pójdziemy...

— Ano, chodźmy...

Poszli zmęczeni, syci tej zabawy, bez zadowolenia, poszli ze zwieszonymi głowami, wlokąc za sobą ozdobne strzelby... Stary drepząc z tyłu, przyglądał się niespokojnie, wydawało mu się, że przy takim obchodzeniu się z bronią, o wypadek łatwo, zwracał też ciągle trwożliwą uwagę:

— Niechże pan dobrodziej naboje wyjmie ze strzelby.

— Przecie sama nie wystrzeli...

U chałupy przydrożnej, z obejścia wysypała się pstra gromadka dzieci i starszych. Dzieciaki otworzyły usta, patrząc z podziwem na żółte i czerwone kamasze, dziwaczne kurtki, piórka, i broń srebrzystą.

— Ola Boga, a to ci państwo idzie...

— Nie państwo to, ino gozej jak zydy, co niedzieli nie usanują...

— To nie katoliki one?

— I katoliki i niemce, i różne narody...

— Ola Boga!...

— Taki to i nie zabije, ino depce a depce, a na zająca okrutnie je zajądły, ino ze przyślepy, i bez to nie trafi... Patrzaj ten, to musi je starsy...

— Bez co tak?

— Mental nosi... Ślepia mu się świecą, jak złemu, i sierzysty okrutnie.

— We żniwa łońskie, taki para krowę mi zdziobał... Takusienki był...

Na deski opłotków wyskoczył kogut — trzepnął skrzydłami i zapiał przeraźliwie.

Ponury, zropaczony pan Józef złożył się szybko i strzelił. Ptak spadł na ziemię, rzucając się w piasku. Melancholijne kury rozbiegły się z gdakaniem — gęsi wrzask podniosły, zakwakały kaczki.

— Bekas *apporte*... — lecz pies poczał się łaścić, czołgać, po tę zwierzyinę iść nie chciał;

widać w zaraniu młodości zaszczepiono mu wstręt do ptaków domowych... Przysiadł i zawył żałośnie...

Oszołomieni, na razie, mieszkańcy chałupy otoczyli myśliwców, baba jeła zawodzić:

— O la Boga, o jery, o mój kokotku, o śliczny, i któż mi za ciebie zapłaci?...

Myśliwy podniósł koguta, otrzepał go z kurzu, schował do torby i spytał:

— A ileż wam, matko, się należy?

— O mój kokotku, a śliczny, kto mi zapłaci... Oj sirota ja biedna...

— Więc ile?

Podszedł chłop i kłaniając się, począł głościć zalety nieboszczyka:

— Bo to, proszę łaski, kokot był i bronny, i pioł jak zegarek, i do kurów był ostry... Baba, jak baba, to i lamentuje, bez obrazy, ale jasnie pan nie ukrzywdzi, i choć ze trzy ruble niech ta już...

Uklonił się i czekał... Nemrod wyjął trzy ruble.

— A możeby jasnie pan i kokotka ostawił? Zawdy sercu lżej...

Poszli dalej z łupem, a za nimi biegł głos przyciszony:

— Matlu, to taki jak głupi je?

— A ino...

— Będzie taki głupi jak jo, matlu?

— Jesce lepiej, synacku.

— La Boga!... la Boga...

Późnym już wieczorem powrócił myśliwy do utęsknionej żony.

— Zaziębiłeś się, Józiu; słyszę to po głosie...

Nie duszko, alem się zmęczył. Nie wiem, czy pójde jutro do biura.

— Zabiłeś też co, skarbie?

— Nie — ale tak dla wypróbowania strzelby — masz tu kurę...

— Ach mój Boże, to kogut przecie, i do tego taki... — poczęła go szczypać rozpaczliwie. — Ani to potrawka, ani nic... Józiu, kogut, chudy kogut...

W głosie jej drżały łzy.

— A pies gdzie, aniołku?

Pan Józef nic nie odpowiedział, począł się tylko rozbierać pośpiesznie, rozrzucając po pokoju pancerze i nagolenniki, od zaziębienia; nareszcie przywdział szlafrok i zasiadł w fotelu.

— Co będziesz jadł, Józieczku?

— Daj mi *Kuryera*.

Wziął numer i szybko przeglądał ogłoszenia, mruczając:

— Uboga rodzina... Student poszukuje... Dla poratowania zdrowia... Sprzedaje się maszyna... Nieszczęśliwa wdowa... Jest — wykrzyknął nagle — jest jakby dla mnie...

— Co jest, Józefie? Wdowa? co to znaczy?

— Ależ nie, słuchaj: Pies, gordon - ceter,

w trzecim polu, z rodowodem, do sprzedania. Przecież to doskonale: takem się martwił, że bez psa pojedę w niedzielę... Bo... uciekł mi tamten galgan.

Pani zaokrągliła zdziwieniem zapłakane oczy.

— Jakto? To jeszcze pojedziesz, Józiu... Takie polowanie przecie można i tutaj... Spojrzała pogardliwie na trzymanego w rękach ptaka.

— Pojadę, naturalnie, że pojedę, przecie to jedyna moja rozkosz...

— Rozkosz? Jedyna? — i łyzy wielkie, perliste toczą się po twarzy małżonki, spadają na pióra kogucie.

A pan Józef wycina starannie ogłoszenie z kuryera.

Pod Grodziskiem, 1902 r.

Zgrzyt.

Utwór odznaczony na konkursie w Krakowie.

Długi, ciemny, ponury korytarz. Na dworze mróz, tu jednak przykre, niezdrowe ciepło, a w niem zapach pleśni, tanich perfum, mdły, słodki odór zwietrzałego piwa. Dusznio i cisza.

W kącie stos pokrzywionych pudeł od kapeluszy, strzep białej falbany, szkielec parasolki, zdeptane kolorowe pudełko, trzewiki. Pęk zeschłych kwiatów szarpią szczury, piśzczą, po chwili giną w rozpadlinach muru, odgłosem kroków spłoszone.

W głębi zjawiał się człowiek, długą szczotką obmiata niedbale pas korytarza, mruczy z cicha, klnie. Nad zwiedłym bukietem przystanął, zamyslił się, głową potrząsnął, potem go nogą w kąt cisnął.

— Takie i twoje panowanie krótkie, taki twój koniec... — i pięścią w stronę drzwi najbliższych pogroził.

— E-ech! — przeraźliwie ziewnął, spojrzął na wielki srebrny zegarek.

— Dwunasta... Wstawajta, wy, grzechy nocne! — odwrócił się, i idąc powoli, we wszystkie drzwi mocno uderzał.

— Ej, — Magdaliny, wstawajta!

Potem, przy schodach, za dzwonek szarpnął, a gdy drut zadrgał wzdłuż korytarza, nie budząc silniejszego dźwięku, człowiek, jako objaśnienie celu bezskutecznych czynności, niecierpliwie wrzasnął:

— Na kawę panny... Kawa-aa! ka-a... — nie skończył, bo kaszel mu słowo zadławił, i już giął samego do ziemi, i dusił.

Głos przykry, rozpaczliwy, w stare szyby trącił, pobiegł w przestrzenie, a z dołu, niby echo, rozległ się dźwięk zły, ponury, jak psa szczekanie:

— Władysław, Władysław, niech idzie prędko...

— Prędko? Żeby ci śmierć jeszcze przędzie... — Powłókł się po schodach zmęczony, z trudem opuszczając stare, zbolale nogi.

Budził się powoli korytarz... Skrzypnęły drzwi, ukazała się w nich źle rozwinięta, chuda dziewczyna: zmięta koszula, czerwona halka i żółte niezapięte trzewiki, na nogach bez pończoch. Spojrzała w stronę schodów, skąd biegły odgłosy klótni, przekleństw, pogrozek,

zaszeleściła jedwabną spódnicą, i kłapiąc trzewikami, pobiegła do drzwi w głębi.

— Mańka, Ma-ańka! — uderzyła ręką po klamce, potem nogami łomotać poczęła:

— Mańka, otwieraj, — pożałujesz, mówię.

— I czego się drzesz, jak ta mumia? — ukazała się przed nią rosła dziewczyna. — Wściekłaś się, czy co, mazepo, jucho, po nocy z takim jazgotem, jakby cię do części wlekli... I czego? — Przeciągnęła się poprawiając gęste, rude włosy, z wplecionymi w nie kolorowymi papilotami. — No, czego?

Szczupła jej towarzyszka, mnąc koronkę u koszuli, smutna, onieśmielona, wyszeptwała po chwili:

— Bo widzisz, ja do ciebie, — do przyjaciółki, z sercem, a ty z gębą do mnie, jakbym już jaka ostatnia. Toć my z miasta, z jednego, Mańka...

Rosła dziewczyna pochyliła się ku niej patrząc jej w oczy uważnie.

— Cóżes ty? Beczała? Co się stało, Andziu, co? — pytała łagodnie.

— A to, chciałam ci, Mańka, chciałam ci powiedzieć, że to, — obejrzała się trwożnie — tylko tym małpom nic nie mów. Dzisiaj, jest—wilia... — szepnęła jakby przerażona.

Mańka cofnęła się, spojrzała ogłupiałemi oczami, powtórzyła powoli:

— Wi-li-ja, dzisiaj?...

— Wilia, wilia... Na ścianie miałam znaczony, i w »Cichej łzie« jak wół stoi. Tak, Mańka...

Patrzyły na siebie chwilę w milczeniu, rośła dziewczyna osunęła się po framudze, usiadła, a szybko oddychając, przesuwiała ręką po czole, jakby pragnęła myśl przykrą odegnąć.

— Wilia, gwiazdka i, — dzisiaj.

Drobna jej towarzyszka utuliła się obok, pochyliła głowę na nagie, chude ręce.

— Chciałam się modlić, i — nic... Tak, Mańka...

— Nie gadaj, niech będzie cicho... — i ruda głowa tęgiej dziewczyny opadła jej na kolana.

W ciemnej, ponurej sieni poczyną się życie, lecą przekleństwa, śmiech rozpasany, pokrywa je głos tkliwej pieśni o »młodej cygance«. Dalej nuci ktoś rzewnie, fałszywie o Halki zgryzotach, a obok, z poza drzwi uchylonych, rozlega się głośnie opowiadanie:

— I tak ci mówię, kochana, że widziałam wszystko jak tu ciebie widzę, ale nie koniec, bo ledwom się znowu do poduchy przytuliła, aż tu patrzaj, kochana, wojsko mi się marzy. Okrutne wojsko, mówię ci. Niby nasze, niby kozackie, a po niemiecku mówią.

— Oje ja. I jakież to wojsko?

— Poczekaj... Więc szło z chorągwiami, kaszkiety złote, konie jak czorty, idą, a idą —

nie zliczyć. Ja głupia stoję i patrzę, jak głupia, co z tego, aż tu ci się nogi podemną zatrzęśli, bo starszy, co na przedzie, ich oficer niby, cały we złocie, w żelazie, prościuteńko do mnie ci wali...

— Oje ja!... I co?

— Złękłam się strasznie, ale potem tak sobie mówię: I cóż ci zrobi głupia, najwyżej? Pierwszego widzisz? Medytuję tak sobie, a ten ci już do mnie. Chłopak, — róża zachwyceń, ci mówię, i z konia już złazi, złota, pierścionków, zegar mi daje, branzoletkie wkłada.

— Oje ja!

— Co będziesz tylko chciała, dam ci, powiada, i brylantów, koralu, turkusów...

— Jak Zośka ma?

— Jeszcze lepszych, powiada, tylko żeby z nim do ślubu zaraz, bo tak i tak, żyć bezemnie nie może, a jakby nie, to jemu śmierć, mnie śmierć. Tą szaszką, zadżgam cię, powiada, a szaszka ze srebra, caluśka, ci mówię. Ano, od słowa do słowa, a choć gościa pierwszy raz widzę, tak sobie myślę, że boić się niema co, więc — dobra nasza, jak ślub to ślub, niechże i będzie. Ledwom to rzekła, a tu, moja kochana, już i suknia biała na mnie, gazowa i welon tiulowy, jak Bronki, kiedy za tego ospowatego pułkownika szła, tutaj już i kwiaty we włosach, róże, chreztanty, wianuszek z merty druchna mi upina,

takam ci rada, że niewiem, aż tu raptem jak mię coś nie wytnie w pysk, jak nie wytnie drugi, jak poprawi...

— We śnie?

— A—ale! Otwieram oczy, a tu mię stara tak po mordzie pucuje. Lampy zapomniałam zgasić.

— Ha, ha, — ha!... oh jeja, — jej... — zanosła się śmiechem, słuchająca dotąd w uroczystem oczekiwaniu towarzyszka — ha, — ha, — ha, a to ci sen morowy, niechże go, a to ci się ślub wyszykował bogaty... Już ci nawet chłopca zaczęłam zazdrościć, bo choć pościć, i to miło, — a tu masz...

— Nie taka znów wielka uciecha... — odzywa się z rogu wielkiej kanapy, smutna, ładna dziewczyna — nawet we śnie, pieska dola nasza, człowiek się nie trafi, tylko oficer... A to ci los taka para.

— Bo za Władysława byś poszła... sklepik byś miała, poszanowanie... Hej, żeby tak na mnie.

— Nie, nie, już tak zmarnieć wolę, jak za chłopca bez kochania iść, całe życie mordować. Niech tam sobie, te — uczciwe tak robią, one mają zdrowie siebie i jego zamęczyć, a ja, — nie. Całe życie kłamać, i jemu nie wierzyć, to ci miłość, to ci ściskanie, to funta kłaków nie warte... Wolę postronek, ten jak za szyję obejmie, to szczerze a mocno...

Zaśmiała się spazmatycznie, i zwróciła do dziewczyny, układającej przy stoliku kabałę:

— Powiedz ty, Wandzia, dobrze ja mówię: co wart chłop bez kochania? Jak masz serce do niego, niech nogami cię skopie, i to ci jest słodko, ale jak ci niemiły, będziesz wyła po kątach, choćby cię złotem obwiesił, jak obraz kozacki.

Wandzia podniosła, od kart, piękne, niebieskie, o anielskim wyrazie oczy, i miękkim, słodkim głosem odrzekła.

— Ścierwy są chłopcy, i żadnemu nie wierz. Żadnemu podlecowi, ani na tyle, bo cię, tak czy owak, zawsze, w końcu, czeka zgryzota. Ty matkę, ojca zostawisz, wstyd zgubisz, jak pies za nim polecisz, a on cię właśnie wtedy ukrzywdzi, i właśnie wtedy, kiedy ci wrócić nie sposób, ciśnie cię zmarnowaną na słomę, w suterynie; morduj się głupia, i zdychaj, a nie to idź z dzieciakiem na rękę, obowiązku szukać... Taki jest, taki kochany...

Głos jej chryplł coraz więcej, na twarz ciemne wystąpiły wypieki, kaszel porwał za piersi.

— Masz chłopca w kartach, masz go żywego, patrz tutaj... — rzuciła się gwałtownie, wskazując na szereg kart zatłuszczonych. — Pętał ci się, pętał, przez dwa tygodnie, jakbyś kartami nie rzuciła — jest przy mnie, a dziś...

— Dama karowa — broneta, z jednej strony, dama pik z drugiej, podlec we środku, a tu-

taj dama trefl, patrzcie jak to ślepią wypatruje, a dalej, — czarna dziewiątka...

Oddech jej krótki, przerywany w jęk się zamienił.

— Oj, nieszczęśliwa ja dziewczka, o psia dola moja, przeklęta chwila, kiedyś tego po-
dłego poznała...

— Łajdacki chłop, to pewno.

— Dusza sobacza.

— A wam, jedna z drugą, wara od niego... O mój ty Jasiu, o mój ty skarbie, moje ty wszystko na świecie! I co mi warte życie bez ciebie, moje kochanie ty słodkie!

Nagle zamyśliła się chwilę, i włosy targać poczęła.

— Ale, poczekajże, poczekaj. Tej damie pik, Mańka, nikt inny, już ja jej te farbowane kołtuny ze łba obedrę, jemu, ślepie fałszywe kwasem zaleję, żebym tak Boga przy skonaniu, żebym tak...

We drzwiach ukazała się ruda dziewczyna.

— Nie pomstuj, nie przeklinaj, bo...

— Bo co? — Rzuciła się ku niej z zaciśniętymi pięściami, — bo co wydro malowania... Bo co?

— Bo dziś... Dziś jest wilia... Bóg się rodzi, nie mówiła ci to matka. Dziś wielkie święto, takie święto łaskawe, że nawet najgorsi modlić się mogą, a mnie, jeśli ci dokuczyła, daruj grzech, Wandzia.

Jak biczem, cięła temi słowami, po groźnej dziewczynie, zgnębiła ją, upokorzyła, pozostawiając skuloną, drżącą, z cichymi wyrazami na ustach:

— Wilia... Matka... Daruj mi, Mańka!

I znowu w ciszy zamarł korytarz, ta się ponura, ciemna, gdzie promień słońca nie zjawiał się nigdy. Za to w duszach nieszczęsnych, zabłyśły dziś światła, wstały dawne wspomnienia, odżyły silne, w dawnej radości czy smutku, lecz potem ciężko na myśli się kładły, budząc w łkaniu dławiącym, jęk okrutnej rozpacz.

Z ulicy biegły śmiechy, gwar, pieśni rozmodlenie, hymn wesela, tkliwości, niosący do wszystkich dusz błogość. Fale powietrzne drżały tym uroczystym odgłosem, niosły dźwięki daleko, w cienie dusz ludzkich głęboko, lecz nie zrywały radosnego zespołu, nie niosły we światy tych głuchych rozdźwięków, gdy ktoś nieczułą głową tłukł ścianę i jęczał:

— Matka, — matka... wilija...

W dużym, jasnym, złociście, jaskrawo umeblowanym pokoju, rozlała się na fotelu, spowita w kosztowny szlafrok, bezkształtna masa. Z masy tej wylaniała się ręka, lśniąca od brylantów i potu, wskazujący jej palec wodził po tablicy kalendarza, a ruch ten śledziły oczy

kilkunastu pstrych dziewcząt, pochylonych, ciśnących się z niepokojem.

— Jaka wilia — gdzie tu jest wilia? Tu o żadne wile nie stoi... — pisał głos przykry, zniecierpliwiony.

— Narodzenie Chrystusa Pana, niech stara poszuka... — ktoś odezwał się szeptem, nieśmiało.

— To będzie, kochana Mania... Chrystus to Chrystus, ale kto to może wiedzieć, kiedy on się urodził, więc jak to może być święto, takie święto co jego nie ma? Czy ja mam rację, niech powie Reginka... — zwróciła się do opasłej, sino-czerwonej, z purpurowymi ustami, brunetki.

— Stara nie ma racji, to jest ich święto, a czy ono jest złe czy dobre, to nie starej rzecz... — wypaliła niespodziewanie Reginka.

— Nie mówi się stara, starej... Mówi się *madame*, jak w inne pensyonaty. I to nie jest dobry przykład od panny bufetowej dla innych panienki. To wcale nie jest ładnie... — błysnęła złemi oczami, i opuściła je na trzymany w ręku kalendarz.

— I gdzie tu jest takie święto?... ja pytam się znowu. Tu jest takie, ale to w styczniu dopiero, i ja inne święto nie widzę.

— W książce do nabożeństwa jest 24 grudnia. W »Cichej łzie...«

— *Sztıl*... Ja inne święto nie widzę, widzieć

nie chcę, ja nawet na inne pozwolić nie mogę. To mogłaby być może nieprzyjemność w policyi, a ja mam dobrą markę... Każdy wie, że moja firma *blagonadjożna* jest, ja o dobre imię dbać muszę, ja córki mam...

Dziewczęta usunęły się, szeptać między sobą zaczęły.

— Musi być wilia. Sobie i jej łeb rozwałę!

— Złością tu nic nie zrobisz, starej pochlebić się trzeba. Niech ją Mańka pocałuje w rękę, poprosi.

— W rękę żydową, ani mi się śni.

— Dla wili Mańka zrób, dla nas wszystkich się ofiaruj.

— Mańka, ona cię lubi...

— Zrobimy sobie ładnie: weźmiemy od starej oleander, świeczki z dołu, a jak mi da wychodnią, prawdziwą choinę przyniosę... Kłuski z makiem. Oplatek... Oplatek poświęcany.

Dziewczęta otaczają ją kołem, ściskają, proszą ze łzami.

— Święto widzisz, takie wielkie święto, niechże i nasze podłe dusze się cieszą.

— Masz, dam ci turkus. Prawdziwy...

— Pluń Mańka, i pocałuj starą.

Dziewczyna kręci się niespokojnie, krzywi, wymawia, w końcu szybkim, stanowczym ruchem zbliża się do gospodyni, i pochyla nad jej tłustą dłonią.

— Co moje dziecko, co, bo ja tobie nic odmówić nie chcę.

Ujęła w obie ręce jej głowę, ucałowała z powagą matrony:

— Co chcesz od swojej *madame*, kochanie.

— A to wszystkie proszą, żeby stara, żeby *madame* była taka dobra i zwolniła nas dzisiaj, pewno i tak nikt nie przyjdzie, a my już sobie same urządzimy wszystko.

Stara żuć ustami poczęła, oczami mrugać, jęknęła w końcu:

— Róbcie co chcecie, Regina wam pomoże, ale niech ja o tem nie wiem, niech ja nic nie wiem, ja się w takie sprawy nie mieszam, niech mię Pan Bóg od nieprzyjemności, od hańby, na te siwą głowę obroń, — oj.

Westchnęła głęboko, sięgnęła do kieszeni, dobywając zmięty rublowy papierek.

— Weź Reginka, kup im na to święto, — gęś. Ja mam serce, ale niech ono nic nie wie, a teraz idźcie, bo ja już jestem troszeczkę wzruszona, — to nie jest dobrze na moje zmarnowane zdrowie.

Dużą czerwoną chustkę przysunęła do chorych oczów.

— Pocziwa stara, podziękujemy jej... — zaszumiało wśród kółka dziewcząt.

— Podziękujemy, — pocziwa stara.

I podchodziły jedna po drugiej, pochylały

promienne twarze do bryły, w kosztowny szlafrok spowitej, całowały ręce, lśniące od brylantów i potu.

Ona, jak dobra, stara pani, obejmowała ich głowy, tuliła je do piersi, wreszcie powstała, zwróciła się do swej pomocnicy:

— Jakby ten ptak kosztował osiem złotych, jakby dziesięć, to ja także dam... — i ścisnąc skronie, chwiejnym krokiem odeszła.

— Pocziwa stara... — biegł za nią szept głupiej, ubogiej radości.

Biała, złocista sala, a w niej przygotowania do nędznej biesiady. Kilka stołów, różnej miary, kolorowymi serwetami zasłanych, lśni białością talerzy, środkiem, rząd półmisek ciemnym pasem się znaczy. Mak, salaterka śliwek, śledzie, kartofle, babka, a na pogiętej ciemnej tacce, opłatki.

Ruda dziewczyna, w ponsowej aksamitnej sukni, czyści noże i widelce, druga oparła się na stole, oczami po nakryciach błądzi.

Niewesoła to snadź wędrowka, bo chmurnieje twarz blada, w oczach tylko błyski jakieś niezwykle jaśnieją, ponurych myśli, drobne światełka, — rozpaczy gońce.

— Tam siedział stary, tam matka, — lecą wspomnienia — dalej siostra zameżna, dwaj bracia, a przy nich ona, on przy niej, rado-

sny. Za rękę ją ścisnął nieśmiało, marzyli o szczęściu, o bliskim dniu ślubu... Hej!...— Z podmalowanych oczów dziewczyny spadają łzy szczere.

— Nie becz, że Wikta we śledzie. Słone są i bez tego, a łzami, co było, nie wrócisz.

Pod białą, w złociste lilie, ścianą, z ramy czarnego surduta, wypukła się pochyłona głowa służącego Władysława: żółta sponiewierana twarz zmięta, rudawe wasy, dwa paski rzadkiego zarostu po bokach. Tu nie mówią nic oczy, senne, zagasłe, patrzą bezmyślnie na przygotowania dzisiejsze.

— Cieszy się pan Władysław? — Budzi go z odrętwienia dźwięczny głos zajętej robotą dziewczyny.

Zgięta, połamana postać prostuje się pod ścianą, odzywa głosem powolnym, zmęczonym:

— Głupi się cieszy, bo i co z tej radości? Tyle tylko, że jutro gorsza zgryzota ściśnie panny za gardła. Kto grzebie w tych śmieciach, co raz z myśli wyrzuci, zawsze się łez dogrzebie, — żałości...

Ręką niecierpliwie poruszył, zamyślił się.

— Stary jestem, znam ja to wszystko, i dużo widziałem; na trzy śmierci wystarczy, co w życiu przeszło uciechy. Na wozie się było, pod wozem, a raz z woza się spadło, ale już

w błoto takie, w taką kałużę, że żyć ciężko umierać straszno. E—ech, po co to dawne dzieje wspominać, a nawet tak sprawiedliwie mówiący, licha to warte i było...

Bo we wszystkim, choć tam i na dnie, a siedzi łajdactwo. I w żonie kochającej, i w bracie i siostrze... A dzieci? Wsyp-no panna garstkę pieprzu do wódki, nie szkodzi.

— Będzie palić.

— A właśnie... Niech pali, — wypali. Od tego i wódka-pociecha, ona nie da zamrzeć człowiekowi w żałości, wypali wszystko co boli, za czym serce tęskni i płacze. Oj będziecie wy piły, jutro będziecie, oj zada wam ta wilja pieprzu, bez pieprzu...

Zakaszłał się, twarz mu posiniała, mówić nie mógł i powietrze chwytał, aż posunął się bliżej do stołu, odetchnął:

— A mnie nic... Choróbsko oto drze za bebechy, łamie po gnatach jakieś stare kochanie, a kaszel, jak pies zębami, targa za letkie. Ano byle bliżej a prędzej, z tą jedną radością, że zemrzesz panie Władysław oto w honorze, poszanowaniu, w godnym domu oto...

Znowu kaszel nim zatrząsał, i męczył.

— Daj-no panna dziebko tej z pieprzem...— wyszeptał.

— Zaraz, zaraz, tylko już wszystkie po-

proszę, one tam przecie czekają, doczekać się nie mogą... — zwróciła się do drzwi.

— Gotowe!

Dziewczyny poczęły się tłoczyć przy wejściu, lecz wchodziły bojaźliwie, powoli; przylegały do ścian, kryły się w ciemnych kątach, jakby oślepione tym mdłym blaskiem, co szedł od ubogiego stołu, i onieśmielał: trwożył te postacie, strojne w jedwab, aksamity, koronki.

Nie mogły się ubrać jak chciały, pragnęły; dumne też były te między niemi, szczęśliwe, którym strzep jaki: stara spódnica, czy kaptan podarty z dawnej przeszłości pozostał. Stroiły się, radosne, w tę minionych dobrych czasów pamiątkę, i z dumą, spoglądały na inne, — ubogie, kryjące gors sukni balowej pod chustą wełnianą. Lecz teraz, wobec tej uczty, wszystkie równe, wolne od pychy i zawści, stoją bez ruchu, wpatrzone w żółte migotliwe blaski. Zapalają one świetne promienie w kryształach ozdobnego pająka, i lśnią w drobnych kroplach łez, co biegną szybko, jakby zawstydzone, uciekają po wczesnych bruzdach zmarnowanych twarzy, do których przykry uśmiech przywarł na zawsze.

Ruda tęga dziewczyna podniosła z talerza opłatki.

Śmiało, jakby radośnie, zbliża się do ciemnego kąta salonu, witają ją ciche szlochania.

— No, — kochana... No... Podzielmy się tym opłatkiem, jak dawniej, — jak wtedy... — drży jej głos cichy. — Niech sobie każda przypomni, co miała kochanego, drogiego: tą matkę, drugą siostry, a tamta... — Coś ściska za piersi, oddech zapiera, dławi. — A tamta...

Dziewczyna chyli się na ścianę, szepcze z wysiłkiem:

— Nie mogę...

— Drżą w rękach lekkie opłatki, ciężą ku ziemi, i suną z cichym szelestem, jak późne liście jesienne. Krzyk trwogi, i chwila ciszy bolesnej.

Z ciemnego kąta jęk się dobywa, długo tłumiony wybucha okrzykiem straszliwym, za nim podnosi się bólu głos drugi, trzeci, dziesiąty, aż spazm płaczu wszystkie piersi ogarnia, hula po sali balowej...

Wycie rozpaczliwe bezmiernych cierpień, beznadziejnych żalów w jedną chwilę przeżytych, wznosi się w jęku szarpiącym myśl ludzką aż do obłąkania. Coraz to nowy głos łączy się z nim, jakby dopełnia bólów wyrazu, i dźwięczy potężnymi akordami ta ponura improwizacya, jaką z tych biednych dusz zbołałych dobywa Rozpacz.

Od ściany odrywa się postać czarna, po miętą:

— A niechże... was... nagła śmierć spo-

tką... — i jeszcze ryk starczego, złamanego głosu, ryk zły oszalałego z bólu człowieka, zlewa się z krzykiem żalu, tak bezlitośnie wymownym.

— *Sztıl, sztıł...* goście przyjechało!

Paryż 1903 r.

Polityka w lesie.

Ledwo czepiając się ostrymi pazurkami suchej, spękanej kory, stoczyła się sosny, i w dwóch skokach dopadła tego złocistego przedmiotu, co oświetlony skośnym promieniem słonecznym, zwabił ją z wysokości, soczystym pozorem. Szyszka, pusta, zeszłoroczna szyszka. I znowu trzask cichutki, ostre pazurki pobiegły po korze, a zmurszałego gniazda dziewczeczka już do swego mieszkania wsunęła się pospiesznie, jakby ze wstydem, że pozwoliła się zwieść szyszce pospolitej, ona, której nigdy nie zwiodła pusta buczyna, ani orzech spleśniały we środku nie zmanił.

Tylko co się ukryła, gdy ze szczytu sosny na miękkich, cichych skrzydłach zsunął się szpieg leśny — dudek. Ani zabiegliwy, ani mądry, jak uczą ludzkie przysłowia, rzadki tchórz przytem, nie jednak jego baczności nie ujdzie, to też już stoi nad szyszką, czub nastroszył, rozważa:

— Coś w tem jest, coś jest. Ale co?

— Ni-iic, ni-iic! — krzyczą czajki nad lasem, ale u nich wszystko jest — nic. Bez zastanowienia ptaki, i zawsze rade, były tylko gorzej nie było.

Ale dudek polityk, lubi dociekać. Już skubnął szyszkę, odskoczył, boć nie śpi lichu, i znów się nad nią zadumał. Ani spostrzegł, że z pod leśnego korzenia wysunął się zbójca, zamarł, grzbiet wygiął, dał susa...

— Ra-rra-rra-tuj! — zaszamotał się ptak, ale pyszczek łasicy w gardło mu się wpił, rozłożyły skrzydła, zwinął się czubek, i już wlecze zbój, gdy nagle, wpół ciała, chłodem śmiertelnym przejęły go ostre, lisie kły...

— Ni-iic! — wrzeszczą czajki górą.

Uszły dwa życia, ale śmierć pospolite zjawisko. Dziecioł ani na chwilę nie przerwał roboty, pnie się na niezdarnych nogach ku górze, i stuka. Od świtu do zmroku tylko sprawą pożywienia zajęty, — cóż go śmierć dudka może obchodzić, kiedy on mięsa nie jada?

— Ja, pani łaskawa, tylko robaczki. Niech mię od zabójstwa Bóg broni.

A strojna żoła pochyliła główkę, pół skrzeczy, pół wdycha:

— Ach, jakież pan nudny, mój panie dziecioł!

— Precz nierządnicu — wychyliła się z dziu-

pli stara baletnica, wiewiórka: — Precz! bo hańbisz to drzewo uczciwe.

— Złodziej wiewiórka: jajka ptakom wypija! — wrzasnęły sroki, i już do oczów.

Obok brzmi ku-ku, wolnej miłości, bez matki obowiązków, dzwonią lubieżne śmiechy synogarlic-dewotek, i cieszy się las, a nad nim zawieszony rabuś kwili rzewnie a słodko, bo przyroda dała i ptakom serdeczne wyrazy uczuć drapieżnych.

Lis przeciągnął się, ziewnął, obwąchał martwego dudka starannie, ale znać odczuł nie-miłe wrażenie, bo wzniosł wargi i jakby splunął, potem niedbale nosem go trącił, i znowu poddał badaniom, aż pysk niechętnie otrząsnął, i z pewnem zadowoleniem spojrzał na żółtawy kłębuszek łasiczki. Przysiadł opodał, i z cicha a dźwięcznie naszczekiwać począł.

Z pod kamienistego złomu wychylił się płaski, ostry łeb liszki, i przypadł do ziemi. Zlekka się uniósł, drgnęły postawione uszy, a delikatne nozdrza chwytają powietrze. Cała moc leśnych zapachów uderzyła w nie, ale czy wśród nich niema człowieka? Nie idzie? — Nie. — Może dalej ukryty? Węch latem zawodzi, więc sunie, jak wąż, kształt czerwony, hyc! od krzaka do krzaka, zwodną kitą ciśnie, i już o staję, biały pysk wyziera z jałowców i wietrzy.

Ostrożność nie zawadzi, bo mądry on jest:

on i lisim głosem odezwać się umie, tak je-
knąć serdecznie potrafi, jak lutowy zalotnik,
a dławionego zająca udaje, kiep — zając!
Czasem, niby kokosz, gdacze, to jak prosie
kwiczy, a wszystkie zna głosy, wszystkie dla
ucha lisiego pokusy. On i zapach miłosny umie
przyprawić.

Jeszcze bacznie wsłuchiwała się liszka w męża
haukanie, jakiś szmer ją uderzył, sprawdziła
przyczynę, chyłkiem sunęła do nory i dziatwę
wywiodła. Troje ich było: dwie córeczki i sy-
nek; z podartemi kitkami, skowycząc, ruszyły
żwawo do ojca, już w łasiczkę się wpiły, tar-
gając jej wątle futerko, i siebie przy sposo-
bności za puszyste okrycia.

— Dzielne lisy z nich będą! — zdawała
radować się matka.

Do gotowego nie sztuka. Ten lis dopiero,
co sam podejdzie podstępnie, zadusi słabszego,
przed silnym ukryć się umie... — ideały życiowe
wszczepiał lis ojciec, ucząc, jak się chwyta
zwierzyne, jak dusi. Nie gmatwał pojęć obo-
wiązkami miłości dla kur, kaczek, indyków,
bo każde stworzenie tylko o tyle ma rację
bytu na świecie, o ile posiada mięso jadalne.

A przykład — dudek: zapach niemiły, więc
ptak darmozjad w lesie. Wystrzegać się dud-
ków należy, oszczędzać sobie straconych za-
chodów.

I ciekawy ptaszek pozostał wzgardzony. Są

takie życia co na nic, a i śmierć niepotrzebna
nikomu.

W pobliżu lisiej nory, między dwiema so-
snami a bukiem, imćpan borsuk miał piękne
mieszkanie. Kilka długich chodów podziemnych
wiodło do komnat sklepionych, zbudowanych
przemyślnie, aby chłód zimowy do nich nie
sięgał, i nie odkryły złe oczy człowiecze bor-
suczego zacisza.

Od lat, z pokolenia na pokolenie, szła nora
spuścizną, złe, dobre dzieje przetrwała, a gdy
lekkomyślny potomek się zjawił, i zaniedbał
dziedzizny, zawsze zdarzało się tak, że jego
następca ładem, składem, miłością, złe umiał
naprawić, nie ustając w zabiegach.

I trwało schronisko oddawna, i mocne, jak
wszystko, co ma przeszłość za sobą, a nie
zbudowane z dzisiaj na jutro, dla nieznanych
przybyszów, jak te leśnych tchórzów kryjó-
wki albo nory lisie, czy gniazda puhaczów,
gdzie byle zuchwały włóczęga, z obcych la-
sów przybyły, nie uznający praw żadnych
przeszłości, pamiątek, z rodziną się wciśnie,
jeszcze kły na gospodarza wyszczerzy.

— Własność to kradzież! — jakby czło-
wiek powiedział, a potem wydrwił, ośmieszył,
i dlatego nie dosyć jest kochać jamę ojczy-
stą, ale trzeba mieć jeszcze silne kły i pazury.

Borsuk jegomość miał jedno i drugie, ale

szczwany był lis, jego sąsiad. Zdawna już przyjrzał sobie borsuczą sadybę.

— W sam raz dla mnie mieszkanie... — pomyślał i leśny włóczęga, który miejsca w żadnej jamie nie zagrzał, zawsze chciwy na cudze, upatrzył sobie w bliskości, pod karpem, opuszczoną norę i w niej się z towarzyszką osiedlił, a myślał: do czasu, póki borsuka nie wygryzie z dziedzictwa.

Nie bardzo był rad temu sąsiedztwu stary jaźwiec, z dziadów tutaj osiadły, bo choć się nie wynosił nad inne zwierzęta, zawsze jednak o tem pamiętał, że od możliwych niedźwiedzi ród swój wywodzi, i z lisem, psiego gatunku, wątpliwych związków krwi synem, nie chciał się kumać.

Borsuk to borsuk, taki był ojciec, taki był dziad, a lis nigdy nie może być pewny, czy to psie pokrewieństwo nie ujawni się kiedy w potomku o kudłach srokatych, obok innych właściwości stworzenia, które znikczemniało oddawna, w wyrobniczej służbie u ludzi.

Nie bardzo tedy było po myśli siwemu jegomości to nowe sąsiedztwo, ale choć z wysoka, był zawsze dla żółtego przybysza uprzejmym, a gdy o wieczornym zmroku, dwaj sąsiedzi wyruszali na codzienną wyprawę, i lis warknął »dzień dobry«, wnet mu borsuk »dobry dzień« odchrząknął. Ale nic więcej, mimo zabiegów, i choć nieraz lis przywarował, na-

przód się cisnął, potem kitę zgrabnie odwinął, i dziwne skoki wyprawiał, zapraszając starego na harce, sadlisty, nieruchawy, tylko łysy pysk uniósł od ziemi, skośnemi oczyma brzydko go zmierzył i szedł dalej, zlekka kołyszając wypasione krzyże.

Dwie sąsiadki zdawały się trwać w nieco zażyłszych stosunkach, a choć zamiłowana w porządku i czystości borsuczyna, mówiąc ludzkim językiem, uważała liszkę za »flondrę«, choć liszka, po słabości, z szerści oblaźła i chuda, patrzyła ze wstrętem na bezwstydną sadło gospodyni rządnej, obie matki łączyła wspólna troska o dzieci, a z nią duma i radość, uczucia, nieznane ojcom rodziny, myszkującym zazwyczaj daleko od gniazda, i dalekim od właściwych płci słabej tkliwości.

Chwałyły też swoją dziatwę wzajemnie. Liszka przysiadła układnie, a skromnie kitką okoliwszy stopki, mrużyła szarozielone oczęta, w zachwycie nad niezdarnem potomstwem, wylegającym się w słońcu.

— Prześliczne, a jakie żwawe!... sarenki milusie!

A mama-borsuk, patrząc na płasy brudasów lisiątek, rechtała z lubością, zapewne w te słowa:

— *Ah, les vrais bijoux*, i tyle w nich gośności, powagi, a czyściutkie to to...

I trwałby mile dwóch rodzin stosunek, jak

irwa znośnie, w tymże stopniu szczerosc u wyższych ustrojów, gdyby nie lisie zaborcze zakusy, które stary jaźwiec przeczuwał, jakby wiedząc o tem, że radość posiadania, choćby ciężkim trudem zdobyta, zwykle jest zgubną, bo źle widzi ją sąsiad, aż zniszczy choćby przemocą rabunku.

Lis dążył do celu swoich zamierzeń powoli, bo twarde a przykre, choć z pańska, hodowane starannie, miał borsuk pazury, zaś on, choć uzębiony zjadliwie, wolał działać napewno podstępem, niż odwadze zawdzięczać wątpliwe następstwa szczerzej rozprawy. Taki był ojciec, taki dziad, taki już lisi gatunek, a i lis ma swoje uszanowane tradycje, zwłaszcza gdy chodzi o lubej skóry całość.

I przyszła jesień. Gwarem zabrzmiały lasy i wody. Szumnemi gromadami pociągnęły już szpaki. Ruszyły za dalekie granice, pozostawiając za sobą westchnienia i nieskalaną opinię — obłudni świętoszkowie — bociany, za nimi klucz żurawi zahuczał. Wśród kaczek niepokój: do wód zagranicznych im pilno, ale mężowie zapewne w kraju zostaną. Na oparzeliskach będzie im ciepło i dobrze. Tak, tak, tak! i już zbierają się do podróży płocze cyranki, strojne podgorzałki, a z nimi i szara krzyżówka. Wnet ruszą przepiórki, dobrobytem zmęczone, ciężkim tłuszczem oblane, a potem

ubogi, ale wrażliwy na chłody, polny śpiewak pociągnie.

Jesień... Zadumał się lis.

Szczęśliwy, komu ciepło i niegłodno w chacie pod zimę! Ale bez zabiegów i bez troski nic. Wiedział o tem borsuk-jegomość, i jamę opatrywał starannie; przykro mu jednak było niezmiernie, gdy z częstych jesiennych wędrówek powracając do domu, z bukwia, rzepą, jabłkami, czy grzybem smakowitym, już u wejścia zastawał psotę dotkliwą. To zdechłego kreta do jamy ktoś wrzucił, to wszystkie włazy zasypał liśćmi, a po nich przykrą ciecz rozlał, aż ścisnęło się serce borsucze, boć przecie wiadomo, że niema zwierza na świecie, któryby czystość tak, jako borsuk, miłował.

Nigdy tego nie było. Kto to mógł zrobić? — i stary wodził skośnemi oczyma z podełba, aż wzrok na lisie siedzącym opodał zatrzymał. Ale lisek obłudnie stroskaną miał minę, i głowę odwracał, bo drżały mu wargi w zwykłym uśmiechu, gdy komu dzieje się krzywda lub szkoda.

Sapał siwiec znękany, i jamę oczyszczał, co z trudem mu szło, bo wiekowy już był, i tuszy dość znacznej, jak zawsze, ku zimie, ale na nic robota, bo niech tylko na chwilę wyruszył, znowu te same przykrości za powrotem miał w domu.

Pierzchły znośne z lisią rodziną stosunki, i zaczęła się walka. Od szarego brzasku do zmroku szły od nory ujadania dobrze już podrosłych lisiątek, a nocą odbywały się harce na sklepieniu borsuczem. Stary spadł z ciała, jejmość osłabła, a młode wychylić się nawet nie mogły, tak szydzono dotkliwie z ich ojców, wyśmiewając nawet całą niedźwiedzią rodzinę, gdy zaś który z wyrostków, osaczony przez zjadliwą hołotę, przewinął się na krzyż, srogimi pazurami zagroził, jeszcze głośniejszy jazgot się wzmagał: wyśmiewano pazury. Żaden jednak kita do nich zbliżyć się nie śmiał.

Trwała borsucza zgryzota, aż nadszedł kres ostateczny czelności, lisiego bezwstydu.

Miał stary tuż przy jamie kilka kamieni — pamiątek, mógłby je na pazurach policzyć, gdyby umiał rachować, ale bez tego pamiętał je dobrze i kochał, począwszy od głazu, który, dla niepoznaki, szersze wejście zamykał, ciężkim trudem, a poświęceniem praojca zdobyty. Stary, zmurszały przetrwał burzę niejedną, i nad inne kamienie sercu borsuka był miły, wreszcie dla bezpieczeństwa potrzebny.

Wracał pewnego zmroku znękany jaźwiec z wyprawy, nosem tylko, ze zwyczaju, po ziemi myszkował, bo niepokoję go jady, i oto, gdy do swego podziemia się zbliżył, ryknął żałośnie nieborsuczym głosem. Głaz

z ziemi wydarty, rozrzucone kamienie-pamiątki, a na nich wyraz wymownej pogardy, obfite, a przykre ślady brutalności lisiej.

Rzewnie smutno było tego wieczoru w izbie borsuczej. Stary wprost rady nie widział, bo zostać nie sposób, a jakże wynosić się z jamy na zimę? jakże nową jamę ryć, kiedy śpiączka, po niedźwiedziach dziedziczna, już znużone członki ogarnia?

— Co robić? Wyszedł, po dniu bezsennym, przed zmrokiem, ale już go skielk czuwających rabusiów powitał:

— Precz z jamy, precz z lasu! Równość, braterstwo, precz z jamy! Darmozjadzie, ospalcze, krew naszą byś wypił! — zawodziła zgraja, i wrzało w lesie, a wrzało, bez zastanowienia, rozwagi. Jazgot donośny trwał do wieczora, ze świtem wstał znowu, aż nagle, jakby nożem ciął, cisza zaległa.

Sunęły lisy do nory, tulą się do siebie. Zamarły w zielonym blasku zawsze niespokojne oczy, nastawione uszy zastygły, i cisza, tylko stary, szczwany polityk kłapie zębami.

Idą ludzie, a z nimi psy... Bliżej a bliżej... Śmierć idzie z ludźmi...

Na drzewach zamilkły głosy, dołem tylko, po suchych liściach szmer zrzadka przeleci. Na dnie pieńków spróchniałych zaparły się kuny, tupnął krasny jelen, i ruszył jak wichor, chmara kwiczołów wleciała z jałowców,

w gałęziach kaliny cietrzew załopotał skrzydłami. Po krzaczach, gniazdach, ziemnych kryjówkach serca łomocą, i tylko sikorka wita ludzi wesołym świergotem. »Ni-iic, ni-iic« — krzyczą czajki.

Czarne, pokraczne, ale zwinne pieski wdarły się do jamy borsuczej. Człowiek, który prawem kaduka, las wziął w posiadanie, a w nim wszystkie stworzenia za własność uważał, ucho do ziemi przyłożył, i wiódł za psim głosem, a gdy już harkot walki usłyszał, wpiły się w ziemię łopaty. Przewalają się jej bryły czarne, płodne. Mocny zapach życia z nich idzie.

— Bij! morduj! — ukazały się siwe kłęby borsucze, na nich psy wżarte, jeden już własnymi wnętrznościami nogi oplątał — nie puścił.

— Bij! — i tłuką łopaty po krzyżach, po łbach, ale życie, jakby szponami czepia się ofiar. Już łeb zwisnął, tułów drga jeszcze, padają ciosy w tę stronę, ale nagle znów paszcza rozwiera... Zgrzytnęło żelazo po kości, mózg już wytrysnął — żyją pazury.

— Kwardego żywota bestyja! — rośnie w ludziach zaciętość, nurzają w drgających trzewiach drągi, łopaty, mordują z lubością sytego człowieka. Nie zna jej zwierz głodny.

Aż koniec ponurej przemocy. Dymiąca miazga krwi sinych jelit i tłuszczu, a w niej psie pyski zmartwiałe rozewrzeć się nie mogą, bo kurcz szczęki zacisnął.

— Godne psy!

Na okrwawionych narzędziach zmęczeni ludzie się wsparli, i radzi ze siebie, hej! dumni nawet, chwałą własną zasługę zaprawienia zwierząt do mordu.

— Ale — siedem ich było... gdzie jeden? — krzyk niepokoju odezwał się nagle.

— A siedem... — i wzmaga się zamęt, żal, przekleństwa, rozkazy; tymczasem okrwawiony borsuk już w głębie parowu się stoczył i zaszły w krze gęste. Oj, bije serce.

Lisy, zwarte w gromadkę, dzień przetrwały bez ruchu, snu, jadła, wieczorem dopiero, pod noc, wysunął się stary i chłonał chwilę powietrze. Kitą zawinął, w las prysnął, i — jechał, jak gdyby miał sforę ogarów na karku. Za nim liszka wypełzła i sunąc na brzuchu, zwróciła ku łące, na znane, bezpieczne przesmyki, a lisięta podyndały za dnia w rozmaite strony, gdzie komu po myśli.

I zapanował spokój pod dwiema sosnami i bukiem. Dopiero o wiośnie, o wczesnej, gdy mróz zaledwie zwolnił ziemię z twardego uścisku, zjawił się chudy, podkasany zwierz siwy, z czarnymi po łbie pręgami, i w zapad-

lej, zburzonej jamie borsuczej dawnych chodów szukał, dzień, dwa, a potem jął się ziemnej roboty.

Bo — kwardego żywota bestyja!

St. Malo, 1906 r.

Wódka.

Jedną większą: z tymi kwiatkami, co na cmentarzu rosną!

— Piołunową znaczy.

— A tak, piołuno...

Nad platerowaną podstawą, siną drobną rączkę wysunął, kieliszek do białych wystrzępionych wąsów podniósł, chrząknął, po buficie spojrzął:

— Piołunową właśnie, i — z tymiż kwiatkami drugą!

— Gotówka?

— Lać!

Westchnął gospodarz, kranik flaszki nad kieliszkiem pochylił:

— Bo to... Czas taki niespokojny, panie, a tu jeszcze na kredyt... Człowiek jak ten wąż, panie...

— A ja ci mówię: nie dawaj, — nie dawaj mówię ci... — z cieniów bufetu, żalosny, jakby chorobą zmęczony, głos się odezwał.

Wtedy gospodarz na swoim miejscu butelkę postawił, tacę strzepnął serwetą, i nie spodziewanie wrzasnął:

— Nie dam!

Drgnął mały, wytarty człowiek, zjeżył się, jakby na tamtego chciał rzucić, lecz znów, w mgnieniu oka, zmałał, brzydką wypełzłą głowę w szeroki kołnierz surduta wcisnął, i uśmiechając się przyjaźnie, z pewną tkliwością zapytał:

— I piwka także nie?

— I piwka — nie-e! — znekany głos, jakby swem tchnieniem w człowieczka uderzył, za drzwi nim wionął.

Zamigotały płomienie lamp bez przykrycia, wicher cisnął pyłem deszczowym z ulicy, a z nim przekleństwo, kaszlem zdławione.

— Oj czasy, czasy, — oj ludzie! — westchnął gospodarz, kielich wódką nappełnił.

— Przykro na świecie...

— Lej, lej, — niech cię zaleje!

I długa chwila ciszy, tylko deszcz tłucze po szybie, klekot podków zdaleka przyleci, i znowu westchnienie, i znowu szkło brzękło.

U drzwi wejściowych ktoś się zatrzymał; dwa głosy:

— A ja ci mówię: chodź!

— A ja ci mówię: nie!

— Andzia, zła krew, światło na sali. Oj

Boże, Boże, miejcież wy, dziewczki, zmiłowanie nademną.

W sali senna dziewczyna podniosła się z kąta, za chwilę kilka mdłych świateł błysnęło, spływając żółtymi blaskami na obrus długiego stołu, ustawionego na środku. Zamigotało lustro, światło po ramie obrazu pobiegło, na platerach zimny błysk zamarł. Od stołu, przeciągając się, powstała druga dziewczyna.

— Cholera — los!

— Władka do kuchni; gęś dawaj na bufet, a rusz mi wątroby, to ci własną odbiję. A i ty stary niedołego, benedyktyнки do flaszki nalej, zapieczętuj. Dziś pierwszy, przyjdą kolejarze, a oni zawsze mają grymasy... Boże, mój Boże, o wszystkim ja, — o wszystkim pamiętać muszę. Romatyzm nogi mi trzyma, a w głowie, jak w kotle, panie miłosierny. Znowu w kuchni talerz zbiła pokraka... Że też to śmierci niema na ciebie, Jezus, mój Jezus, jakże mnie rwie...

— Bo przy oknie siedzisz, Lutuchno.

— Trzydzieści lat siedzę! — wrzask buchnął, aż drgnęły kieliszki, a potem znów jęk zboląłego głosu.

— O, — chciałbyś kochanku, sambyś kasował, ja wiem: jakbyś do szuflady pazury zapuścił, dziadówkę ze mnie byś zrobił. O jakże mnie rwie, o Panno Święta, daj no szklane-

czkę miętowej, — trucizny mi daj, niech się raz skończy!...

— A ja ci mówię: chodź!

— A ja ci mówię: nie!

Ale po chwili drzwiami ktoś targnął i z kłębów wilgotnej pary, rażno do bufetu ruszył człowiek w kurcie skórzanej, ociągającego się towarzysza pod ramię włókł.

— Trzęsione towarówki dwie, a kropli od zmartwienia pan nasyp!

— Z angielską znaczy się.

— A ja ci mówię: nie!

— Pij!

Blady, obwisły, z jakimś dawnym bólem zamarłym na ustach, wahał się chwilę, po kieliszek sięgnął.

— A-a, niech... — do dna wychylił.

— Tuś mi brat, tuś mi kochany. Sypać gospodarzu.

I znowu po chwili:

— Jeszcze po trzeciej.

A potem do towarzysza się zwrócił:

— Odeszło ci trochę?

— To nie odejdzie... Ją niechtam, bachorów mi żal...

— Andziu, karafkę na stół, a ty głupi chodź! Widzisz co tu luda już stoi, i każdy do tej apteki...

W głąb izby go pociągnął.

Gospodarz zimną, bezmyślną twarz do pogodnie uśmiechniętego staruszka zwrócił:

— Dla pana?

— Malutki!... Trawienie ułatwia, więc kropelkę tam czego... O — właśnie!

Po bufecie się rozejrzał:

— Cóż to za ptaszek, milusi taki!

— Gęś, — do zachwycenia gęś, rekomenduję panu... Władka, piwo z wysoka lej, Boże mój, Boże!

— Gęś? — a, a — rzeczywiście ładna sztuczka... Tyciuni gospodarzu.

Wypił i znów oczy na półmisek zwrócił.

— Tak... Piersiki, udeczka, jak panienka, he — he... Ale to ciężkie na noc, w moim wieku zwłaszcza. Naparstek, — królu kochany, i razowego chleba skubnę, to krew oczyszcza, panie.

— A ja ci mówię: nie!

— A ja ci mówię: pij! Becz, kiedyś głupi, a pij!

— Nie mogę. Tu, przy samem sercu siedzi, i ściska...

— Pij! Na łeb robakowi lej. Poszła, — to od tego baba, — a ty się żałości nie daj, chłop jesteś. Buzia, — Telesfor!

— No, — pij!

Po bladej twarzy lzy gradem mu biegły, nagle pięścią w stół grzmotnęła:

— Poszła dusza sobacza, ale bachory co

winne, co? — wściekły, dyszący, za ramiona towarzysza porwał: — Powiedz co taki dzieciak, mały, jasny mizerak, co winien, że matkę, — taką, — miał?...

Twarde brutalne słowo z ust mu się zerwało, drgnęło najcięższym bólem człowieczym w zestawieniu z tem dobrem jedynem, jakie na ziemi mu dano. Zgrzyt w duszach się rozległ, mózgi pijane zamroczył, i stała się cisza, a skrzywdzony człowiek głowę pochylił i łkał:

— Skocz no Piotruś do tego z wąsami, bo na skandal idzie... — w zadumanego gospodarza szept żony uderzył.

Oslizgłym od błota chodnikiem idzie człowieczek, co z kwiatkami pijał. Czarny, pomięty kubek, melonikiem zwany, na kołnierzu sterczy, poniżej bełtają szerokie zmokłe poły surduta, a spodem wielkie chlapiące buciska suną.

Z butów tych co krok jakby ptasi świergot płynie: Cii — wik, — a z pod kapelusza, gdzie twarzy nie widać, ponure mamrotanie i szczery, żwawy głos przekleństw:

— Upadek — psiakrew. Upadek, kiedy już wódki na kredyt nie dają... Na psy!... Na psy człowiek, — ale, — zamyślenia chwila: — ale z honorem.

— Cii — wik!...

Z Nowego Świata w ciemną ponurą pa-szczę Oboźnej się zsunął, szedł, śpieszył, potykał, chwilami przystawał, coś jakby rozważał. Nagle głowę ku górze wznosił i patrzył długo w światło latarni, i głową poruszał jakby słuchał co ktoś mówi do niego. Nagle do niej sunął z zaciśniętymi pięściami.

— Powiedziałaś: obraził... Idyotka. Światło ma we łbie, a tabaka w rogu... Jakto obraził? Taki szynkarz mój honor, — on?... Nie, moja pani, — nie-ee!

Chrapliwy krzyk daleko w przestrzeń poleciał, z echem powrócił.

— Ej, ty pan, szumieć zamyślił! Ja ciebie zaraz...

W mrocznej ulicy głos nowy: o tej co jeszcze nie zginęła, ktoś śpiewa, a opodal rozmowa:

— U mnie za pakuły i w pysk, — tak u mnie...

— A ja kobietę, panie, szanuję, i nigdy, uważasz pan, nigdy... Ni-gdy!

Za nimi, jakby płacz, człowiek zatacza się, staje:

— No to ja wtedy ze łzami; nie gniewaj się kochana żono, uważasz, ze łzami tu ci przysięgam: — nie piłem!... A jak niewiara, to bie-e-eda, ślubna żono kochana, — uważasz...

I znowu chwila głuchej, przykrej ciszy,

tylko niekiedy od Tamki, Karowej, hen od Bugaju jęk zdławiony przyleci, o mury uderzy, od serc ludzkich odbije i zamrze. Niekiedy z pijanym śmiechem się zlewa, a wicher niesie te głosy daleko w bezkresy, gdzie może w jedną skargę się łączą, i żalem potężne powrócą, upomnieć się o krzywdy żony i matki, zdobyć prawa ludzkie — dla ludzi.

— O, — tata, tata, poduszki nie! — i małemi, drapieżnemi rękami wszczepiły się dzieci w ubogie dobro, szarpane przez ojca.

— Zostaw ostatnią... Nie bierz! — z rozpaczą dzikiego zwierzęcia, gdy broni legowiska i młodych, walczy matka straszna, półnaga, zębami rabusia za ręce drze:

— Puść, zbój!

I toczy się walka bezprzykładna w przyrodzie, — walka rodziny w jednym barłogu, lecz pan stworzenia już zbitą, osłabłą cisnął o ziemię, krwawe dobro jej wydarł, — zwyciężył:

I znowu Obożną się wspina, w chlapiących butach po chodniku ślizga, a śpieszy. Delirium hula po mózgu:

— A — a, — kotki dwa!

— Panowie, zamykamy! Państwo będą łaskawe... — co chwila, jednostajnie, brzmi głos

gospodarza, nie maćci jednak nikomu zabawy, knajpa aż drży od wybuchów śmiechu i przekleństw ponurych.

Człowiek w skórzanym kaftanie głowę oparł na rękach, i z bydlęcem zadowoleniem patrzy jak jego towarzysz usta bólem skrzywione, wpił w biały kark młodej dziewczyny.

— O, o — jak pan zimno całuje, o nie chcę!... Jak trup.

— Tuś mi brat, a widzisz: moja kuracyał! Całuj, to ci od serca odciągnie. Całuj i pij! Jeszcze po jednym, i do domu hajda. Buzia, — Telesfor!

— Widzisz, ja ci dziękuję, odżyłem i owszem, — pal dyabli! — i Telesfor na nogach się ślania, bladą, zmartwiałą twarz do dziewczyny chyli.

— Ja teraz p-pluję, uważasz, i piję — i ciebie, uważasz całuję, bo lubię...

— Panowie, zamykamy, — państwo będą łaskawe!

— Maluchną — tycinę, królu kochany, do poduszki mi daj, i lulu!

— Jakże to, — zamykamy? Pan Kwiatkowski pije!

— Państwo będą łaskawe...

Zadyszany człowieczek, przez ciżbę drze się pośpiesznie, wątkiem przejściem do gospodyni sunął, ta senne oczy na niego podniosła.

— Honor, pani dobrodziejko! Honor nakazywał, do obrazu nie przywykł, obrazu nie znosi. A że jest honor, poduszczyła oto...

— Kiepski honor, mój panie — pierze półdarte — tłustą ręką mięła poduszki, — jak z drzewa to to, ale...

Za chwilę człowieczek do niepoznania się zmienił: w marną sponiewieraną postać, jak gdyby nowy duch wstąpił, błysnęły oczy, na zużytą twarz płomień uderzył.

I jeszcze chwila, a z myśli błędne delirium uciekło, zjawił się rozum i dowcip i swada.

— Piję — bom smutny i sam pełen winy... — deklamuje człowieczek, a śmiejąc się, drugich porywa, podziw obudza. Mgnienie radości po przykrym poranku wstrętu do siebie, po dniu odczutej pogardy i żrącej troski, jak zdobyć tę krótką zapomnienia chwilę, kiedy to w duszy gra, śpiewa, a jutro promienną tęczę jaśnieje.

Pluń w duszę, kiedy ci płacze, wnet ci śmiechem odpowie.

— Gorzkie życie, więc z gorzką! Klin klinem, panowie... — i huczy, drży knajpa weselem: każdą pierś pycha rozdyma, gra, śpiewa pijana nadzieja. Nędza, głód, troska i kradzież za ręce się wzięły i tańczą, dreszcz smutnej zadumy rozproszył się, zczezł, i aż dziwno, że człek przed godziną truł się, roz-

paczał, a teraz w nim jakieś radosne — hu, ha!

Ale oto w jasnym, płomiennym mózgu, gdzie myśl po myśli się rodzi, na usta spływa wyrazem barwnym i mocnym, w mózgu, gdzie kłębią się kolory i blaski, zjawia się nagle cień szary, drobny, czasem wyraz jedyny, i szuka oparcia, w myśl czarną wyrasta, i myśl ciąży i głowę pochyla.

— Pij bracie, kochany!

— Nie piję!

— No, to się powieś.

I, — powieś się — nagle w mózgu zadzwoni, jak objawienie w ową myśl czarną uderzy, i znowu jasność na chwilę, jasność dręcząca, okrutna, aż lęk szarpie za serce:

— Hej, wódki — ratunku!

— Zamykamy panowie... — zgrzyt okienicy, a za nią chłód, pustka, i — dom.

I, — jutro — trzeźwe, bezlitosne...

63.

Lekka była zima 1863 roku, z czego dobre wróżby snuto, a choć ku wiośnie śniegi coraz szerzej z krwią ofiarną spływały, a od cichych chat i zgiełkliwych zaścianków, coraz gęściej szły zawrozenia rzewne i groźne pomruki, — w duszach ludzkich, obok dławionego bólu, wśród mroku żądź nienawistnych, rozbłysła nadzieja.

— Jeziorański w Rawie spalił koszary; pułkownik Kurowski z Sosnowca za granicę ich wygnał, zabrał kasę skarbową; u Białej Majowej zgnetli; Janów, Siemiatycze, Prużany — zwycięstwo!

I co dnia lecą wieści radosne. Od czarnych Świętokrzyskich jarów, od błot Augustowskich, zarosłych bagien Niemna i Bobrzy, od Kampinosu, Białowieży, lasów Ropockich, ponurych ostępów, bez drogi, bez wody, gdzie słońce nie zjawia się nigdy, gdzie spokój, zamarły od wieków, dzikiego zwierza nęci, a do-

kąd człowieka gna nieszczęście lub zbrodnia, — dziś stamtąd świetlana nadzieja, czar wyzwolenia i pijana, zuchwała, od wszystkich uczuć silniejsza, pomsty radość.

Ale dziwna to radość: w oczach nie tli weselem, tylko brwi ściąga, a uśmiech, gdy kły białe odsłoni, zda się, że radeby one gryźć, szarpać — z uciechy.

— Pobili... nasi pobili — huczy wieś cała po walce, od chaty do chaty głos leci, aż całą polską równinę ogarnie, huknie jeszcze po lasach, nad wodami jęknie, i zginie, gromem klęski zgłuszony:

— Pod Węgrowem wszyscy zginęli, Wąchock, Suchedniów — o Jezul i ten, co wczoraj nie wierzył, zwycięstwu szyderczo urągał, chłop ukrzywdzony, dziś, wobec nieszczęścia, ryknął jak zwierz, na kole grabowym kosę odwrócił, u skraju puszczy babę uściskał, od czepiających dzieciaków otrząsnął:

— Z Bogiem ostańta!

Ciemny bór zamknął się za nim.

I tak każdego zmroku, gdy u chat gospodarze radzą, kogoś zabraknie do rady, a kto raźniejszy, kto młodszy, zniecierpliwi się, rzuci:

— I dobrze, bo nie językiem nam trza wojować, ale z kosą iść.

Na to starsi, mądrzejši:

— Iść, to iść, ale trza się przecie ugadać,

nie bez rozumu, kosisko ze wsi, na zmarnowanie, wynieść.

— Ale!...

I radzą.

Trwożnie, półgłosem, bo czas taki, że i w obejściu człowiek niepewny, czasem choć swój, a gotów do zdrady.

— Cichaj-ta!... Idzie Grzybowski.

Grzybowski, chłop stary, pochylony, w bar-kach szeroki jak tur, oczami tylko ich zmierz-y i minie, ale raz w sam środek gromady się wparł, siwą głową potrząsnął:

— Głupiście wy moi! I wyśta, stary Dro-żdzie, głupi, i wy Pękowski, i wy Marcinie głupi! Boita się mnie, a do panów, do boru was ciągnie. Gorsze oni wrogi, jak tamte...

— A może i tak, ale...

— Nie może, a pewno; ja swój chłop, i do was to mówię. Pół sta lat wojowałem bez mała, i co za to? Na polu bitwy rodziłem się, a kiej matka pod Maciejewicami zrąbanego oćca poznała, i u trupa zległa, już mi widno dla wojny się rodzić było pisane. I groblę pod Lipskiem, ja widział, i pod Ostrołęką ba-gnetami mię skłuli, a potem znów na Wę-grach, uradzili pany za chłopską skórą wo-jować, i dużo mojego serca, i mojej juchy już poszło na pańskie wysługi. Co za to? Ni woli, ni ziemi, a jak się trafiła okazyja, dzie-dzić do kancelaryi przyzwał, nie patrzył na

krzyże, a po gębie bił... Młody córkę mi zwiódł, honorem nadgrodził...

— Zaśmiał się stary, aż chłód po gromadzie szedł.

— I co chceta? Myślita z garścią, a kosą Polskę zwojować, bo obiecuje szlachta, a niech ino wygra, wnetki wam »jeszcze Polska nie zginęła«, na skórze, wypisze.

Zadumała się chwilę gromada, ktoś mru-knął nieśmiało:

— Księża z ambony głosili, że grunt na wieczyste idzie, robocizna do woli, a kto do nich przystanie, temu...

— A juści, juści! Ino im wierzta. To już dawniej bywało, nie nowotny to wymysł. Jak naczelnik w sukmanę się przebrał, zara takie gadki w lud poszły. Toć mi ociec powiadał.

— Zaś ksiądz po próznicy by bajął?...

Stary zamyślił się chwilę.

— At, głupiśta mój Drożdzie, i wy Pękow-ski głupi, i czegośta własnym rozumem nie doszli, ja nie nauczę... — machnął ręką, i po-wlókł się w pole.

— Toć prawda, że wojował on dużo... — któryś z gospodarzy potwierdził.

— I bez to taki zawzięty.

W powietrzu na wczesną wiosnę już szło, a choć po bruzdach, po dołach jeszcze śnieg leżał, nie spodziewano się chłodów. Wody zbiegły już z gór, czarne ptactwo w lasy za-

padło, ruszyły z mateczników niedźwiedzie, a chłop około owsa i żyta jarego się krzątał.

Ale niesporo z robotą, gdy w myślach trośka zasiędzie, i markociły się baby, że ino pogwarki a medytacye mężów zajmują, z czego żadnego profitu, jeno zmartwienie, bo wiadomo, że chłop nigdy na dobre po łbie się nie drapie, i nie chodzi sierdzysty a chmurny, jak zaś na przyźbie godzinami siedzi, kozikiem nic do rzeczy struga, — pewne nieszczęście.

A znaki na niebie, co wieczora to inne: to krzyż, to siekiera, to oko złociste. Jakieś ci dziady, mądre okrutnie, po chałupach chodzą, nic nie zabierze taki, a jeszcze papier ostawi, także rządca nie bije, dziedzic na rolę nie chytry, młody na dziewczuchy nie łasy, i tak ci we wszystkim odmiana, może na lepsze. Ino, że chłopcy coś radzą. A nad czem, nie mdły babski rozum, a choć która, ze starszych, miarkuje co nieco, kto by się, zaś tam, czego dopytał.

Wej, stary Grzybowski, toć mądrzejszego chłopca nie potrza, a głowę zwiesił, zasumowany okrutnie, i ciągle w polu, to ucho do boru odwróci, to na drodze coś wypatruje. Musi nieszczęście idzie od miasta, bo co złego, to od miasta zawsze. I od boru coś idzie, a huka.

Ale i staremu także niewesoło na myśli: klnie, a pomstuje, tylko że bez ulgi, cosik na

wnątrzu go ssie. Wie stary dobrze, co to huka po lasach, lecz nie odzywa się w sercu ochotą, bo tam żalów zebrało się wiele, wszystko wyżyły, nawet gdy raz we wsi chłopca obwiesili kozacy, nie przejęła go litość.

— Sprawiedliwie ci tak! Rola chłopska je rzecz, a wojna pańska zabawa. I dobrze, bo chłop wojny niegodny, a sznura zwyczajny.

I co dnia wypatruje zawzięty Grzybowski, kiedy przyjdzie pomsta kozacka, paniczków, co hukają po kniei, na pikach rozniesie. I medytuje stary, jak to bór osaczy piechota, wej, na górkę, zatoczą armaty, a kozacy do środka, — do środka...

I uśmiecha się stary, i rad.

Ale, bez odmiany wcale, cosik na wnątrzu go ssie.

— Bo dlaczego nie idą? powinni już być.

Zmogło go już to oczekiwanie: w dni kilka postarzał, i do jadła gust stracił, aż gdy narreszcie, nad traktem do Kielc, podniósł się płowy tuman, i sunął, chłop rękę za sukmanę aż wraził, tak załomowało w nim serce, jakby na śmierć.

— Idą!

Potem ręką oczy od słońca przysłonił, w dal patrzył.

— Kupą, ale równo idą.

Podbiegl, jak młody, na wzgórek; jeszcze mu nizko, na kopiec się wdarł, a gdy z pyłu

wyłaniać się poczęły wyraźne cienie i blaski: szeptał:

— Przodem szpica dragonńska, piechota za nią... Równo, juchy idą.

— Za niemi armaty: dwie, cztery; kozaków ze dwa sta, — sprawiedliwie tak!...

I aż przysiadł Grzybowski. Pomsta gra w duszy, rozpiera.

— Za chłopską krzywdę! Za ojca, za dziada. Jak dobrze lewe skrzydło założyć, a ruszą, żywa dusza nie ujdzie przez błota. Sprawiedliwie tak!

A traktem ciemny, górą srebrzysty, wąż sunie. Miękkie blaski kasków, bagnetów skry w rzędach, za niemi spiż migotliwy, a dalej jasne budy furgonów przewalają się w piachu.

Grzybowski oczy wparł w pochód.

— Żywa dusza nie ujdzie. A wszystko bez głupstwo, bo komu to kosą wojować, z czapkami na armaty iść?

I zadumał się stary, głowę na ręce pochylił, snując powoli dawne wspomnienia. Cisnęły się jedne przez drugie, wypływały z myśli jasne, wyraźne, to znowu bezładnie tłoczyły się w mózgu, zapomnieniem przyćmione.

Konie, ludzie, mundury, żar, głód, zimno, zatopione armaty, pan generał Skrzynecki, później Arad, Temeszwar, generał Dembiński,

krzyż od Koszuta, pod Widdyniem obóz, a potem Sylstrya...

— Piękne miasteczko... Hej, twardy ten Sewastopol był, bo twardy, ale takiśmy Małachowę udarli. A co to luda tam było: i gnacie Angliki, chybkie Francuzy, niepojęte Turki, — ale wszystko miętkie na śmierć, choć i twardych chłopów nie brakło. Dwa Pypcie, ociec i syn, Niełaj z Nowego, Nowakowski ze Sącza, kowal z Wiślicy... A kapitan, jaki ci to był sierzysty...

I zaśmiał się chłop, jakiś figiel żołnierski na myśl mu przyszedł.

Rwie się myśl stara, i pamięć zawodzi, ale powoli kształtują wspomnienia, łączą w obrazy; stary czapkę na ucho przesunął, i już głośno gada:

— A Olszyna! Pan z panów, Chłopicki dumny pan, niełaskawy, ale umiał zagadać, jak potrza mu było. Grochów — Warszawa. Armaty dzień i noc grały, a bab, dziewuch na wałach, a picia, a jadła, jak w zapust. Strach ino obleciał, jak zbliżka kartaczami plunęli od Woli, a jak się wdarli, oj żałość, żałość, chleb, sól nieśli, a człeka nie było, coby czy miał suche.

I panom było mdło w sercu, oj mdło. Dużo ich legło, a krew pańska czy chłopska, oplakana zawsze, przecie krew polska. Jak ziemia. A ino.

— Niby z dziegiem, juchy, ciągną niezdarnie...

Oczy niechętnie od drogi odwrócił, i szepnął po chwili:

— A jakby, na przelaj, chybki kto skiknął, a boru-by dopadł.... Zabieźeliby drogę?

Rozejrzał się po szerokiej płaszczyźnie, przestrzeń do siniego pasu zmierzył.

— Zabieźeli, albo i nie... Jakby tak za rzeką sunął, dołkiem, a dołkiem, bagienko ominął, trza wiedzieć jak, i brzeziny dopadł, to już Boża wola, i — hej!

Błysnęły oczy staremu, potem ramionami wzruszył.

— Ale ktoby zaś tam biegał do lasu, i po co, kiej sprawiedliwie im tak...

Ale znów zwróciły się siwe źrenice ku wodzie.

Nie doniesie... a choćby, to zdołuje napewno. Niechbym ino młody był, dziur po skórze miał mniej, a krzywdy w sercu nie nosił, toć swoi przecie... W jednym szeregu się szło, a jak kartacze lukę wyżarły, szlusował chłop z panem, jedna im zagłada... Laboga, jak to złość człeka zamroczy, — laboga Grzybowski!

Nagle kopnął się stary, i pochylony sadził, rzeczki już dobiegł, za krzakami skrył się, aż na łękę wypadł, czerwonymi portkami błysnął.

— A u—uuu! — wrzask jęknął od drogi,

zakotłowało się w przedniej straży, zamigotały żywo złoto-czerwone końskie kadłuby, a z szarej kupy kozackiej smugi dymu wybiegły; rozległ się klekot janczarek, i schyleni jeźdźcy pognali. Kwicząc, okładając szkapy nahajem, parli chłopu na ukos.

— Zgonią, nie zgonią?... Laboga!

Ze stromych rzeczki brzegów, jeden i drugi z koniem się stoczył, srebrzyste bryzgi wody strzeliły wysoko, jeźdźców nie widać, jakby w nurty zapadli.

Wtedy z pierwszej szóstki prostokątu piechoty wytrysły podłużne, białe smugi, nim w górę się wzniosły, grzechot się rozległ, a po nim sześć smug znowu, i sześć...

— Nie doniesie... Nie, nie! — i już bagienko, i chwila, a las, — i grzechot pół rotty.

— Nie donie—sie... Donie...

Chłop zwinął się jakoś, do ziemi przypadł, i pełzł, jak ranny zwierz, szukający schronienia.

— A—uu jewo. — Au — ho, ho!

Dwóch, trzech, czterech za nim, i jeden, sadzą przez grzęzką łękę. Chrapiące szkapy przodami wynoszą się, rwą zady z bagnistej uwięzi. Nad niemi w rozwianiu grzyw, jakby do skoku pochylone ciała, ziejące usta, rozwarłe nozdrza.

— Ej, pan! Nie ujdiesz!

Chłop mchów pełną garścią ciśnie krwawiącą ranę, i na nogi dźwiga.

— Do zagajów aby...

Ubiegł pół staja i padł. Jeszcze wysilek, — już chłód lasu w upał głowy uderzył...

— Koniec ci, głupi Grzybowski...

I na rękach się wsparł, siwemi oczami w dzikie, radością wykrzywione twarze patrzy.

Opodał stoczyli się z koni, runęli kupą. Jękło z pod kolan kozackich, wraz ręce na krzyż, i w łyko, arkan na szyję.

— Nu—u!

— Nie zdołam — chłop głową ranę wskazał. Splunął kozacki namiestnik.

— Ej, Fiodor, za wodój!

Stary, ryżobrody pochylił się nad rannym, i kosmatemi, zwierzęcemi łapami, kość zbadał, czy cała, potem z wysokiego kaszkietu, wodą obmył ranę starannie, i nożykiem w niej drążył, aż kulę z mięśni uda wygrzebał, a potem w czarny, bluzgający krwią otwór wcisnął szmatę spaloną, i zalał gorzałką.

— Nu, — maładiec!

Twardy chłop był Grzybowski, dźwignął się, westchnął głęboko, i poszedł, między końmi, z arkanem na szyi. A choć na nogę mocno utykał, bo gorącość od niej, aż do łba mu biegła, mroczyła, rozrzewniony był stary.

— Kozak — zła krew, a przecie ludzki..
Nie zepsuło go życie.

U samego traktu, opodał rozsypanych na wzgórzu chat chłopskich, z kępy drzew ciemnych, jasnymi ścianami wyzierał dworek szlachecki. Szpaler, smukłe topole, wyrwane wrota, kamienny posąg Matki Boskiej, i wkoło jasny pas szerokiego zajazdu. W ogrodzeniu zabudowań bez liku: podłużne budynki pod strzechą, jak łąka porosła, obok spichrze, śpicherki, lamusy, schowanka, stare, zbutwiałe, pół-rozwalone, lecz, stoją. Szara, jak stary koń, łęgowa stodoła, dwie sterty, i parów porosły olszyną. W nim krzyż pochyłony, jakby o dawnych dziejach z szemrzącą strugą rozmawia, dalej pole równe, dalekie, łąki oparami zamglone, smugą lasu przecięte.

A dworek, jak dworek, do tysiąca innych podobny. Każdy go zna i pamięta, bo czyż jest takie biedne życie na świecie, bez jednego wspomnienia, o dniach pogodnego spokoju, czy młodych uczuć, gorących, tam, w majowym zmroku poczętych. Jasne ściany, — jasne wspomnienia. Gdy w mrocznej myśli się zjawia, uśmiechem szczerej prostoty zabłysną, kto ich nie błogosławił, ale i przeklął za to niejedną, że go rozumieć ludzką niedolę, czuć, wierzyć, i kochać, wśród nich nauczono.

Bo za nic życie tak okrutnie nie karze, jak za miękkie uczucia, wypieszczone przez matkę, wody, brzozy szumiące...

Późno o tem dowiedzieli się starzy dworku dziedzice. On, dawny żołnierz, ostatnie nadzieje na wałach Warszawy pogrzebał; tam wiarę w najdroższe sercu odrodzenie rycerskiej chwały narodu utracił, a gdy żal do swoich, miłość w nim strawił, wtedy w myślach coś zgasło. Pół-zadumy, pół-obłąkania mrok przyszedł, i martwa cisza duszę zaległa, aż pewnego wieczoru, stary pan, rynsztunek wojenny, z zapomnianej, jak się wszystkim zdawało, kryjówki wydobył, i na siebie wdział.

— Do Pana Boga — mówił — idę; z nim porachunek, bo mnie za wierną służbę oszukał.

Późno w noc jeszcze bluźnił i klął takimi słowami, że dziw, skąd w myślach pobożnego kolatora się wzięły, a gdy nad ranem śmiertelna ciemność ostatnie błyski umysłu zasnęła, zmarł stary z szablikiem w garści. Przedtem wszystkim przebaczył, zdrajcom winy darował, nawet moskalom; z Bogiem tylko się nie chciał pogodzić, i krzyżową sztuką natarł na księdza, gdy ze Świętymi Olejami się zjawił.

— Widno żdźwigał się stary i krew padła na mózg... — mówili we dworze, a nieswojo

było każdemu, że bogobojny pan tak przykro żywot zakończył.

Pszenica ozłociła się właśnie, ale gdy pochyliły kłosa, zaśmiał się lud do łanów ściemniałych i zbierali żenicy, nagle żalność wszystkie serca zaległa. Jejmość — pani, kochana, umarła we dworze! Odeszła cicho i z Bogiem, a bez żalu do ludzi, bo są takie serca bez złości, które nie wdzięczność lecz krzywda, w słodkiej dobroci, umacnia.

Jedną tylko pani miała w sercu zawziętość, jedną tylko pomstę w myślach nosiła, pomstę — spuściznę, z ostatniem tchnieniem dzieciom oddaną:

— Ten wróg tylko, co wydarł ziemię ojczyzną, krwią oblał groby, w kościele mordował... Do łzy ostatniej, do ostatniego jęku mścić, walczyć — tak wam Panie Boże dopomóż... — słabnącym głosem pani mówiła, a człek stary, blizki, żegnał umierającą, od złej myśli bronił, i dziwno mu było słyszeć słowa zawzięte z ust tych, co od lat tylko modlitwą, i westchnieniem drżały.

— Miłujcie nieprzyjaciół wasze... — szeptał, ale zbladły i słaby był każdy wyraz biblijny wobec mocy tego żalu, co kostniał w zaciętość, na twarzy półmartwej.

Odeszła cicha bohaterka — polska matrona, jedna z tych, którym, zda się, wszystkie cnoty były dane, wszystkie ducha wdzięki.

Do kądzieli je sposobiono, a choć słodka uległość stała się ich krasą, pod czas, nieobcemi im były i lemiesz, i miecz.

I jak te cenne rodowe klejnoty, co idą z pokolenia na pokolenie puścizną, a wartość ich rośnie, tak z pamięci w pamięć przechodzą, dziś już niedosiętej chwały blaskiem promienne, rycerskich polek nazwiska: Chrzanowska, Zarębina, Platerówna, Słucka, Kobylecka, Wołkowa, — polskich dworów chwała, narodu najdroższe pamiątki.

Po starych dziedzicach kilkoro dzieci zostało: synowie, jak dęby; dziewczęta jak zboże, — ale inny był to już ludzi gatunek. Trzeźwe, mądre miasto dzieci wzięło w opiekę, więc w duszy zgasło niejedno, rozetliło nowe, nie gorzało nic. I lepiej, bo ziemi własnej sporo przybyło, pański dostatek się zjawiał, a z nim zabiegliwa żądza, i w sercu, o dobro, niepokój.

Niepokój zmienił się w trwogę, gdy od księży Karmelitów pieśń »Boże coś Polskę« zagrzmiała, do Tatrów pobiegła po echo, i w milionie pieśni, po cichej równinie spłynęła.

Za pieśnią zjawili się ludzie ze słowem gorącym, przemykali po borach, a z nimi w chatach leśniczych, smolarniach, opuszczonych pustelniach zabrzmiały cudne okrzyki, o wyzwoleniu, braterstwie, wolności, i szły

przez kręte, leśne ścieżyny, manowce, gościńce, do chat dymnych i dworów, i różne w duszach nieciły uczucia.

Ten śmiał się, ów płakał, tamten złorzeczył, a inny już liczył, ile złota z krwią, spłynie dla niego, ale w trwodze i ciszy, bo nikt się na myśl głośną nie ważył, a zapytany, rozglądał się bacznie, drzewom i murom, i sobie nie ufał.

— Po co to? Na co? Młodość — pustota; krwi szkoda...

I już się przeraził, że powiedział za wiele.

Burzyli się młodzi, że nikt sercem świętej sprawy nie chce zrozumieć, a trzeźwą cyfrą gromi młodzieńcze porywy. Cóż znaczy liczba bezduszna — mówiono — tysiąc armat moskiewskich, gdy w sercach niema zapалу? Młódź parła całą siłą do walki, ale poza tą garścią, zda się z ognia i prochu, chłód wiał, a rozważa. Z gorącym wyrazem spierało się zimne szyderstwo.

I nie było na pozór przychylnych, ale pod lasem, gdzie emisaryusz, niby lis tropiony, przemykał, a na drugi dzień już kupa zziębłych i głodnych na nocleg zapadła, wnet jakby z pod ziemi wyrosłe zjawiały się sterty siana, a człowiek-niemowa wózkiem zajeżdżał, faski z jadem, butelki wyrzucał, i chyłkiem umykał.

Darmobyś pytał, próżno dociekał, kto ów

dobrodziej; wyparł się każdy, nawet rozsrożył, gdy mu chciano dziękować.

— Jeszczebym miał karmić za tę, do krwawej swawoli ochotę. Niedoczekanie wasze!

I szedł do jejmości naradzić się, co na jutro w kuchni przyrządzić, a wysłać przemysłniej.

Burzyło się po wsiach, szedł już głuchy pogwar od lasów, przykra cisza od miasta, aż nagle wieść o brance przez Polskę przebiegła. Drgnęły bólem serca matczyne, żał w ojcowską rozwałę uderzył — odpowiedziała im puszcza:

— Pomścimy!

Wtedy od miasta, ze szczękiem oręża, z armat turkotem głos ponury się ozwał:

— Miatież!

A gdy w karpinowskich borach padły pierwsze strzały... wiwatów na blizką zagładę, gdy Langiewicz otoczył się sztabem wspaniałym w sto koni, a kilkuset źle uzbrojonych ludzi w pierwszych utarczkach zagubił, żał serdeczny ogarnął tysiące, a z miliona piersi szerokich i zdrowych, wzniosły się słowa mydlane o krwi bohaterów, Rzymianach, ojczyźnie, zaszumiały rady bezpiecznych doradców, strategów tchórzem podszytych. Tylko lud coraz gęściej szedł w lasy, a serca uderzyły na trwogę wśród panów.

— Ekonomiczny upadek!

— Rozbój, bo na nas się skrupił!

— Co tam, złe minie... Oby nam się dobrze działo, sąsiedzie!

— Kochajmy się — jedność to grunt!

I pito, jak za dobrych czasów. Jak za Targowicy.

Jasnego dworku dziedzic, pan Walery Kozłowski (nie z tych Kozłowskich, a z innych), był to chłop duży, wąsaty, w miarę urodziwy, a mowny. Pijał wiele u drugich, a nie rad u siebie przyjmował, boć to przecie polska gościnność bez troski — jak mawiał — pograżyła ojczyznę. Czas już otrząsnąć się z dawnych nałogów, a pracy jąć, aby to, co dziadowie stracili, odzyskać, przemysłem rodzimym Moskwę zrujnować — cios bezkrwawy, a pewny, — tak prawił po dworach; do handlu, do fabryk sąsiadów zachęcał.

Za tęgą głowę i dzielnego obywatela uchodził w opinii, bo i ziemi i grosza przysporzył, a brzydkim nie splamił się czynem, honor cenił wysoko. Trąbami pieczętujący się, przyszedł na świat z dziedzicznym honorem, jak człek inny z chorobą po ojcu, którą i dzieciom i wnukom przekazać. Oczywiście, to i owo pan Walery w obowiązkach spadłego honoru musiał odmienić, złagodzić, a że za postępek szedł, wyrzec się różnych staroszlacheckich przesądów. Gorzelnię miał, o tartaku zamyslał,

z chłopą i ziemi, co mógł, korzyści wycisnął, tedy był człowiek przemyślny, a zatem, choćby i z mniejszym honorem (w handlu, jak w handlu — wiadomo) obywatelem był godnym, dobro kraju, ale bez krzywdy dla siebie, na celu mającym.

Przekonań politycznych pana Walerego nikt nie znał dokładnie; to pewna, że politykiem był wielkim, bo i Wielopolskiego rozum pochwalił, i zamknięcie Towarzystwa rolniczego za klęskę uważał; podatek rządu narodowego opłacał w dwójnasób, i z władzą rosyjską, za pan brat, żył. U naczelników, że tancerzem był sławnym, kontredanse prowadził, a w domu, w zaufanem kółku sąsiadów, jak przy szpincie siadł, jak »Jeszcze Polska nie zginęła« huknął, szyby drżały i serca. Ściskali go wszyscy ze łzami:

— Niech tylko oni, z tą wiarą, z tem uczuciem zakrzykną, a kosy w garść, to przepędzimy moskali za Ural. Za Ural, panie łaskawy! My panie...

Zaś w ciszy małżeńskiej alkowy, pan Walery jejmości się zwierzał:

— Tak trzeba, jak można, a inaczej nie można.

I dobrze, i spokoj, i w sercu, a w myśli porządek.

Jedna tylko troska pana Walerego gryzła: syn do lasu się rwał. Aż dziw, bo ojciec, od

lat dziecinnych, na kupca go sposobił, umiłowanie tego zawodu zalecał, a wiedząc że nie śpi lichu w krwi szlacheckiej nigdy, od konia go strzegł, a broni tknąć wolno nie było. I chował się pan August wedle myśli ojcowej, zmógł w sobie rycerską ochotę, szerokie bary nad książką handlową pochylił, i ślęczał, tłumiąc, co w myślach mu grało. Lecz gdy pierwsze hasła ozwały się w lasach, rznął młody dziedzic księgi o ziemię, ojca za nogi ułapił.

— Ja pójdę... obowiązek... ojczyzna!...

Stary »błazna« zarygłował w lamusie, i codzień na gawędę tam chadzał. Argumenty miał silne, czarno na białem wykladał niepodobieństwo spełnienia szalonych zamysłów, płał i groził, ale codzień gniewniejszy powracał od syna. Służba szeptała po kątach:

— Stary, musi, do lamusa dziś chodził, bo okrutnie sierzdzisty.

Jakiegoś poranku larum się podniosło we dworze: lamus otwarty, ani śladu panicza, tylko kartelusz po nim pozostał, i kwiatuszków garstka.

Krwisty był stary, udar go cisnął o ziemię, ale nie zmógł duszy rogatej. Gdy oprzytomniał, dwudziestu chłopów na konie, pościg zarządził, sam śledztwo rozpoczął, a że skory na rękę był, sądny dzień nastał.

Kto, co i jak? Krzyk, lament, ale okazało

się rychło, że dworska dziewczucha, Marynka, jakiś tam miała w lamusie, pono serdeczny, interes, a potem — zabaczyła o ryglu.

— Laboga, o Jezu! skusiło mię serce, a tera ino do wody mi iść, bo już życie niemiłe...

W stajni, sam dziedzic różgi jej liczył, a gdy krwią spłynęła dziewczyna i febra odeszła go nieco, ruszył do dworu, gońców wypatrywał. Długo czekać mu było, kłął Boga i ludzi, co pod ręką miał, tem ciskał, kaleczył, aż siny legł, i cyrulika krzyknął.

Nocą, z pościgu, zjeżdżać chłopci poczęli, żaden przed nim stanąć nie śmiał, dopiero rankiem włodarz do kancelaryi ich spędził. Stary powiódł krwawemi oczami.

— Gdzie reszta? — i chłop z brzegu pod ścianę się potoczył, splunął zębami i jęknął:

— Do Langiewica, juchy, przystały...

Oniemiał dziedzic, osłabł z wściekłości, bez tchu opadł na krzesło.

— Precz! — szepnął.

Chłopstwo we drzwi runęło.

W dziedzińcu folwarcznym, gdy już byli od dworu daleko, okrwawiony mruknął:

— Naści wolność i pańskie kochanie...

— Samiśta winni, bo kiedyśta młodego pojмали, trza go było do dworu odstawić.

— I jakże, kiej tak prosił serdecznie; toć nie z kamienia je człowiek.

Stary dotkliwej straty nie mógł przeboleć, bo to ośmiu chłopów na schwał, ośm szkap nieladajakich utracić, zwłaszcza na czasy ciężkie, niepewne, to i dla bogacza krzywda nie-mała. A gorzej to jeszcze, że na nic, jakbyś w wodę rzucił szesnaście sztuk bydłał roboczych. Zżymał się, ciskał, do Langiewicza list wysłał, okup chciał dać, a gdy w odpowiedzi przyszła groźba batogów, zaciął się, znaku bólu nie dawał, tylko zemstą dyszał w cichości, i nią się lubował.

— Już ja cię... panie sandomierski wojewodo, dostanę, ale cię oddam, żebyś, wedle zasługi, poszedł wysoko...

— Wysoko... Między trzy bale — radował się stary, — wśród nocy bezsennych snuł różne zamysły, dnia czekał, lecz nocne myśli, ponury blask słońca rozpraszał.

— Nieszlachecka rzecz: zdrada!

— Nie zdrada, a obywatelski to czyn, boć on przecie tysiące na śmierć pewną prowadzi... — tak sobie rozważał i w myślach się krzepił, ale, — zdrada — mówiło mu słońce, ród splamisz na zawsze — groziły ze ściany ojca i dziada portrety.

— Nie ja go w matnię wprowadzę i wydam, to inny...

— Niech sprawi to inny, nie ty — szlachcic, pan z panów...

I gryzł się stary, i nienawiść go żarła, a że

bezsilna, tem srozsza. Końca nie widział udręce, zmęczony, osunął się, pobladł i, — zamilkł.

— Z Panem Bogiem rozmawia. Takusieńki był stary pan, ino lżejszy na rękę... — nie znając przyczyn, a sądząc ze skutków, prawiła dawna służba we dworze.

Pod czas ten, Langiewicz, po zwycięstwie staszowskiem, pragnąc Jeziorańskiego oddział pod chciwą władzę zagarnąć, z borów wychynał, i pod Małogoszczem, z dwóch stron osaczony, poniósł stratę dotkliwą. Tam jedy-nych armat wyzbywszy, z olkuską wiwatówką ruszył ku lasom Pieskowej Skały, gdzie, jak każe tradycja, po klęsce, bankiet sprawił dla sztabu i wiary. Miałby wnet do drugiej uczty sposobność, gdyby nie Dąbrowski i Pióro, którzy nieruchawych, a chwiejnych kosynierów, dzielnym przykładem, zagrzali do boju. I ruszyła moc chłopska, i jak zawsze: niech jeno ruszy, a nie ostoi się nic, zmiotła, kosami, księcia Szachowskiego kolumnę.

Spełnili swoje, odeszli w cienie szeregów, a w blasku bohaterskiej sławy, Langiewicz ruszył żwawym marszem do Goszczy — na teatr.

Bo, — teatr, spędzonego wojska czworobok, fanfary, sztab świetny, łoskot ocalonej armaty i — *vivat dictator!* ale co się z duszy wydziera i płacze, — niesprawiedliwość i krzy-

wda, jaka się dzieje stu bohaterom godniejszym, to — życie, zawsze to samo, czy na polu bitewnych zapasów, czy w świecie zasług społecznych, gdzie tak błędzą ludzkie wyroki, choć w ich sprawiedliwość sami sędziowie nie wierzą.

I krzyknęli wiwat! w Goszczy na błoni, i wiwat trzech tysięcy poleciał we światy, złość, śmiech, żale w duszach obudził, lecz wojsko powstańcze ból w sobie zaparło, i wobec świętej sprawy, w poczuciu siły jedności — rzadki raz w Polsce — nie było niezgody. Odkrzyknęli wiwatem i Traugutt i Sierakowski, Brandt, Lüttich, Mackiewicz, Taczanowski, Mielecki, Jundziłł i Frycze, a z nimi Nalibocka puszcza, lasy Bilińskie, ciemne parowy, kieleckie kryjówki, gdzie z kilku ludzi składały się partye.

I nikt w walce nie ustał, nikt niezapomnianego *velo* nie krzyknął, zbyt wiele zapалу miał w sercu, wiary w spełnioną powinność, aby ten *vivat* nieszczery, podstępem wydarty, mógł nim zachwiać, żądzy wyzwolenia myśl jasną, odczuciem krzywdy zamroczyć.

Kilka dni na urządzeniu widowiska zbiegło, poczem wypadło z Goszczy ustąpić przed gośćmi nie w porę, którzy już krążyli naokół, skupiali się, aby pewniej na silny oddział uderzyć. Tedy, pod Miechowem, w Sosnówku przysięgi na wierność narodowi dokonał dyktator,

i ruszył znowu bez celu i planu, z majorem Bentkowskim, Jabłońskim, i srogim Czengierem na karku.

W Chrobrzu, posiadłości Wielopolskiego, gdzie stanął obozem, wiara, zaślepiona nienawiścią do magnata satrapy, trochę z kozacka sobie poczęła.

Gdy poczętemu rabunkowi przeszkodził szczęśliwie Winnicki, zajrzano do lochów, a tam się poczęła zabawa, której wzbraniać nikt nie śmiał, bo któżby się oparł, gdy wytoczono beczki wystalego dębniaku, cenne gąsiory ze złotopłynnym, jak oliwa gęstym tokajem, wielkie kufy win wytrawnych węgierskich, zsiadłe pękate grabówki ze starką, i mchem porośłe staruszki, wojny z Siedmiogrodem pamiątki. Nie brakło słodkich alikantów, małmazyj, likierów francuskich, bo margrabia, pan z panów, w godnej krwi darach, smak delikatny dziedziczył, kunszt zachowania trunków rozumiał.

Długo się opierała piwnica, mimo, że z górą trzy tysiące ludu na nią naległo. I długo w noc zaciągnęła się uczta, i znów rozpoczęła od rana, a — wiwat, i — na pohybel, i »Jeszcze Polska nie zginęła« raz po raz, grzmotem wesela huczały po łąkach Nadnidy, tak długo, aż zbudziły echa jękliwych granatów.

Czengiery na wzgórzu ustawił armaty, i prążył nieosłoniętą równinę.

Jęk rannych zmienił wiwaty, lecz powiew śmierci w porę biesiadników otrzeźwił. Ruszyli strzelcy z dzielnym Czachowskim, Rochebrune obok, odpowiedzieli celnym ogniem sztucerów, i zamilkła bateria, ustąpił Czengiery, a do odwrotu mu grał Dąbrowskiego mazurek.

Langiewicz znowu się cofnął; po szumnej biesiadzie popasał w Wełeczu, obrzednio, jako że wozy z żywnością, co gorzej z amunicją, wśród pierwszego, pod Chrobrzem, popłochu, gdzieś w lasach przepadły.

A nocą marsz do Grochowsk, na pierwsze ważne zwycięstwo, i ostatni akt »Dyktatury«.

Dobry był żołnierz pułkownik Czengiery: zaledwie z pod Chrobrza się cofnął, już obóz w Grochowskich bystro przewidział, i szerokiemi koliskiem opasał.

Od Wełecza wsparł go major Zagriażskij, z Wiślicy Sorniew już ruszył, czekano tylko Bętkowskiego kolumny, od Nidy.

— Ten się nie spóźni, — mówił pułkownik — nie lubi polaczków Kazimir Stanisławowicz Bentkowskij.

Jakoż na lewy brzeg Nidy, major piechotę przeprowadził pomyślnie, i zamknął nią lukę, w stalowym pierścieniu bagnetów.

Poza pierścieniem, bocznymi drogami ciągnę-

nał major Zwierjow leniwie. Nie miał jeszcze rozkazu, aby z Czengierym się łączył, a że dobroduszy był człowiek, mawiał otwarcie:

— W waszym kraju się rodził, opaliaczył się trochę, nie chcę waszych mordować, ale,— ot, z kozaczkami pohulać lublu.

I hulał z kozaczkami po dworach, w pień chlewy wyrzynał, całe kurniki troczył do sio-deł, gdzie obywatel bogatszy, kontrybucję nakładał doraźną, a potem »raskłaniał się«, »za bezpokojstwo«, przeprosił:

— Ot, czas wojenny, prosz pana...

Bić lubił, ale jak mawiał, »bez złości«, tedy, gdy biedaka, co nie rad był się rozstać z groszem na czarną godzinę, rozkładali kozacy i bili, major go »sigarkami« częstował, z okrwawionego żartował:

— Ot, sławno byłoby teraz solju pasypať, ale pan dobry, paszuka kreditek w kamodie, i wypije z majorem, na zgodę.

W dobrym, jak zawsze, humorze był major, gdy mu kozacy Grzybowskiego przywie-dli. Pochylił się z konia, i po plecach go zlekka uderzył.

— Nu, powiedz, milejszy człowieku, za-czem ty się do lasu przekradał? Jak ojcu ty powiedz.

— Wiadomo, za czem do lasu. Po chrust.

— Po chrust!... A jaż dla ciebie, mój miły, już chrust przysposobił, ot widział... — i major

na suchą gałąź starej, przydrożnej gruszy wskazał. — Sławny on, suchi; ciebie moje kozaczki podsadzą, od tego chrustu ciepło to-bie będzie... A? Miły?

Chłop drgnął, i mruknął po chwili:

— Jak ta komu sądzone, nie minie.

— Nu, a powiedz ty mi, dobrzejszy mój gospodarzu, ile u was w lesie powstańców?... Myż za was, za waszą wolę wojujęm, a prędko z panami skończym, wam lepiej, bo ziemię wamże zaraz rozdziela. Ty słyszał?

— Gadali...

— Nu, i prawdę gadali, powiedzże i ty prawdę, ile ich w lesie?

— W lesie niemasz nikogo, a co było, do Langiewicza już przeszło.

— Nu tak... A pocóż ty do lasu szedł?

— Toć mówiłem: po chrust.

Zniecierpliwił się Zwieriow, na kozaka skinał, ten na arkanie chłopu ku sobie pociągnął, i nahajem przemierzył.

Jak iskry, gdy prysną z pod kopyt, zami-gotały oczy starego, i wnet sznury wżarły się w ciało, do bólu, do jęku.

Ciężka droga znów biegła pod górę. Zmydlone konie ustawały u armat, knut świstał i rwała się uprząż, a coraz żwawiej, i głośniej rozlegały przekleństwa, oczywiście, ku powstańcom zwrócone. Bo przecie to oni, takie syny, umyślnie drogi psują, zabierają fu-

raże, jak mogą, szkodzą naszemu bratu, jeszcze śrótem, jak do kaczek, strzelają.

— Oj, naród, naród! Dobrze tobie, spokojnie, a ty... — i z melancholią rozmyślał znów się łączy przekleństwo, znów zaparła armata w wyboju. Ledwo ją stamtąd dźwignęli, w tem samem miejscu bryka taboru pochyliła się nagle, zaważyła chwilę i powoli, jakby zmęczona, układała na drodze. Za nią przystanęły furgony.

— Mówiłem, — do młodego podporucznika zwrócił się major — po co te wszystkie maszyny, bagaże wozic ze sobą. Dajcie trzy sotnie kozaczków, trzy sotnie nahajek, a w tydzień zrobię porządek, i Annę na szyję dostanę. Ale co im tam mówić, kiedy wojnę zachcieli prowadzić. I z kim? Z bosonogą bandą.

Lecz, co to? Ze wzgórza, porosłego brzezina, suchy strzał buchnął, i drugi, a po nim cała linia kłębków dymu wytrysła. Zakotłowało się w wojsku, kilka koni dragonskich, luzem, popędziło przez pola.

Major przybladł, ochłonął, w mig sprawił kolumnę, dymem zasnuła się droga. Gruchnęły śpiesznie odprzodkowane armaty, raz jeszcze, i — raz, karabinowym ogniem zmienione, i — cisza. Brzezina tylko się zlekka kołysze, ptak wrzasnął, kot pomknął, wśród żołnierzy odezwały się śmiechy. Jeszcze raz grzmot, zaszu-

miały kartacze, major kozaków rozrzucił po wzgórzu, pchnął do lasku, na zwiady.

I cisza, tylko rodzime, macierzyste przekleństwo moskiewskie, na różne głosy, na różne westchnienia, wznosi się z szeregów.

Dumnym trucheikiem, na wysoko zdartych koniach, powracali z brzezinki kozacy, odłączył się od nich dziesiętnik, przed majorem salutował:

— Nikawo nie okazałoś, wasze — skorodje.

— Nu i sławno, — uśmiechnął się dowódca.

— Rady starrratsia! — huknęły szeregi.

— Ot tobie i wojna. Strzelą, kilku skaleczą, i w nogi... — Już uspokojony Zwierjow znów westchnął.

— Ale sami uszli bez straty.

Major zastanowił się chwilę, potem surowo na młodzieńca spojrzał, i ruszył oddziałem.

Za brzezina, z poza pasu snującego się dymu, miły uderzył go widok. W drzew kępie, pod bładem marcowym słońcem, złościł się dworek, a że pora obiadowa była, uśmiechnął się Zwierjow, i do Grzybowskiego zwrócił.

— Ej, kochanienki, a czyjaż to chata?

— Wiadomo... Pana Kozłowskiego, dziedzica.

— Ot, co dziwno, że u was tylko wsio pan

Kozłowski, pan Baranowski, Swiniarski. Ni jednego Lwowa, a wsio mielki skot.

Prychnął nieśmiało wachmistrz opodał idący, lecz gdy major ku niemu dobrotliwie spojrział, szerokim śmiechem buchnęli żołnierze, żwawo kroku poddali, przeczuwając obfity pośilek, daj Boże rabunek, bo major łaskawy, to może, we wsi, paguła' pozwoli.

Na płaskich i jakby glinianych twarzach kozaków już błysły dziwną jakąś, bezmyślną drapieżnością, czarne ziarna oczów, a gdy major na »uriadnika« skinął głową, w kierunku wsi poruszył, a ten rwącą się szkapę na dwa boki nahajem obłożył, i pomknął, zaszkomleli, jak spuszczone ze sfory ogary, ruszyli za nim z kopyta. Już między ciche chłopskie chaty z chmurą pyłu wpadli, i gnają. Ukasane, wrzeszczące baby, ogłupiałe krowy, cieleta, chmara ptactwa przed nimi, i psy z rozpaczliwym jazgotem, kryjące się w opłotki. Pisk, skrzekot i wycie, a nad wszystkimi głosami wsi przerażonej, skowyt radosny. Piki zniżyli i pędzą, a raz wraz, pod kopytami, w kłębach piasku zakotłuje się ciemny łach starowiny, błysnie dzieciak płótnianką, ale nie to, boć wyprutemi wnętrzościami, wolnych sokołów, Dońców serdecznych, nie wzruszysz.

Nagle z poza chaty jakiś rozpaczliwy strzał buchnął, pędzący tuman w miejscu się zwinął,

w mig ciżbą koni kozackich zawrócił, i gnał za nimi do swoich.

Rekonesans sprawiony!

— Opasno!

Miedzy zabudowania folwarczne padł głuchy łoskot, i jednocześnie, pod ziemią, się ozwał, aż zadrżała zgrzybiała stodoła, i dzieci-śpicherki.

Chłop, idący od pola, drgnął, liczy:

— Dwa!... cztery!... armaty...

I spojrzał naokół.

Parobek wiadro u koryta przechylił, zamarł i słucha. Porządkowy kół ciosał, u wióra, siekierę zatrzymał, opodał dwóch za łby się wzięło, z rozstawionemi rękami zastygli, bez ruchu.

— Raz... dwa... trzy... cztery...

Młot w kuźni ustał, nawołujący od dworu głos wpół imienia urwał, a konopiasty dzieciak w kałużę patyk opuścił, głowę pochylił do pola.

— Bum... bum...

Wszystkie sprawy ludzkie pokryła cisza, i trwała chwilę, aż nagle ostry krzyk w nią uderzył, płaczem się rozległ:

— O Jezu, O Święta Panienko!

I w tej chwili już gwar powstał, z budynków wybiegli mroczni parobcy, baby rozęł-

kane. Dwóch siadło na szkapy, — pognali przez pola.

U drogi gromadka kobiet. Na kolana padły; jedna z nich głośno odmawia litanie, inne, czołgając się po ziemi, drą chusty na głowach, błagają:

— Zmiłuj się nad nami!

— Wybaw nas, Panie!

Na chrapiącej szkapie, gubiąc płaty piany za sobą, chłop sadzi; w rozkołysany bólem i trwogą tłum cisnął dwa słowa:

— Moskale idą!

I pomknął do dworu, do jadalni wpadł.

— Moskale idą!

Kozłowski od stołu się porwał.

— Co? Gdzie? Kto powiedział?

— Widziałem... Od brzeziny chmara.

Dech w nim zaparło, jasne oczy wylupił, w twarz dziedzica patrzył bez trwogi. Strach nad nim mocniejszy.

Zabiegali we dworze. Zapłakana klucznica, pijany kucharz, ogłupiałe pomywaczki, w jadalni zjawili się wszyscy, i w krzyk, lecz wnet pan Walery przytomność odzyskał.

— Kufry tutaj w mig! Beczki pod srebra! Żywo... Ogrodnika do mnie!

Wśród rozpaczliwej bieganiny, rozgwaru, przekleństw, rozkazów, brzęku tłuczonego szkła, w kilkanaście minut kredensowe srebra, herbowe półmiski, puzdra z przyborami, cenne toa-

letowe szkatułki, zrzucano jedne na drugie w wielkie dębowe beczki, pan Walery każdą pieczęcią sygnetu opatrzył, smołą zalał ogrodnik, i już parobcy spuścili je do stawu, na sznurach.

Potem otwierano nie bez trudu stare septy, kute w misterne miedziane floresy, kufry jak landary wielkie, od pół wieku zawarte, tchnące chłodną wilgocią, i szły w nie pani jedwabie, koronki, pasy lite, szale tnreckie, stare kaszmiry, — w największem posznowaniu przez lata utrzymywane pamiątki, ładowano byle jak, byle prędzej...

— Już są na grobli! — we drzwi jadalni huknął chłop dworski.

— Starą kuźnię minęli, — laboga! laboga! — biegł drugi.

A od wsi co chwila zjawiali się ludzie; blade, drżące babiny z płaczem ścisnęły kolana dziedziców, prosząc o przyjęcie do przechowania najcenniejszych skarbów rodziny. Ta welniak kraśny przyniosła na dwa palce gruby, tkany przez lata, tamta korale, stara komornica — jedyną własność, kieckę do trumny, inna biedaczka, zawiązaną w szmatki srebrną obrączkę.

Zżymał się pan Walery, ale dobra pani na wszystko miejsce znalazła, nawet nowe buty juchtowe, na kijku, zachowała dziadowi, tylko

zawahała się się chwilę, gdy drugi, wielki ko-
zuch skudlony, do rąk jej cisnął.

— Ni baby, ni dzieciów, jasna dziedziczko...

Od czworaków, już, wieść o kozakach przy-
biegła; nie domknięte, powiązane sznurami ku-
fry za ogrodnikiem parobcy ponieśli; pan
Walery po deskach podłogi, po ścianach spoj-
rzał, mruknął do żony:

— Kościuszkę na strych... Portrety ze ściany
zdjąć, bo oni wspomnień nie lubią.

— No przecie dziadek, babka... Cóż to im
szkodzi?

— Nie wolno mieć dziadków.

I dodał po chwili:

— A nie wyrwij mi się z jakim głup-
stwem: z miłością ojczyzny, czy tam z Pol-
ską, od morza do morza, bo chałupę nam
spalą. U nich nie kupić...

Chwila jeszcze, i wśród przykrej ciszy, jak
gdyby wieś cała wymarła, z parsaniem koni
i gwarem żołnierzy, zatętniły kopyta, dźwięk-
nął krótki głos trąbki, na postój.

Spieszeni dragoni w tej chwili kopę siana
rozzucili w dziedzińcu, koniom zwolnili po-
pręgów, major łańcuch widet zarządził, i po-
godny, uśmiechnięty, jakby do sąsiada, w od-
wiedziny, przybył, krótkim kłusikiem, ku dwo-
rowi, ruszył.

»Otrekomendował się« z czynem, i orde-
rami, parę razy dziedzica za rękę uścisnął,

pani domu ucałował obie, o dzieci zapytał
i swobodnie, za stołem siadł.

— Ja-ż brat wasz, dobre państwo moje,
z matki Polki, tutaj zrodzony, starinnego po-
kroju człowiek, wszystko rozumiem. Pod księ-
ciem Konstantym służbę rozpoczął, pił z ula-
nami... Oj grzechy, grzechy...

Zamyślił się chwilę i czekał, aż oszoło-
miony gospodarz przyjdzie do siebie, tym-
czasem oczami po komnacie wodząc, wzrok
na samowarze zatrzymał.

— Ot, sławna maszyna!

— Zaraz, zaraz!... A jakże...

Zakrzętnął się gospodarz, pani wysunęła
do kredensu, obok, i za chwilę już pokojo-
wej dziewczynie, w sztywnym jak skóra per-
kalowym kaftanie i z nasadloną głową »od
gości«, z rąk leciały talerze. Co spojrzy w stronę
majora, wnet ją cosik zamroczy, i jakby ki-
jem wyciął przez ręce, a ten przygaduje
jeszcze:

— Ot, szkodę państwu przyniosła, a zdo-
rowa jaka! He, he, he... pan Kozłowski... —
i oko przymrużył, — żyć nie umierać waszemu
bratu... Oj, babski wy naród! U was i adju-
tany, — baby.

Na stole już złoto-bursztynowy płyn błę-
snał w karafce, obok polskie pocziwe śliwki
z kminem, na patyczki nadziane; skromnego
wyglądu smakowite gomółki, serki rozmaite,

kolorem i kształtem odmienne; płaski chleb wiejski, róża w masle rzeźbiona, przybór do kawy, i baba dorodna, wreszcie z kuchni przyniesiono półmisek, na nim kaczek piersi złociste.

— Niech-że pan pułkownik pozwoli.

Zwieriow powstał, pałasz odpasał, w kącie go ustawił, ręce zatarł, i po krótkich strzyżonych wąsach mlasnął językiem.

— Ot, za co was lubię! Za prosty obyczaj, serce na półmisku u was... zerknął po stole. — Nu, gospodarzu milejszy, wódeczka aż mruga.

— Oj, wytnie on mi kuranta, wytnie! — zatrwożony tą dobroduszością, myślał pan Walery, przepijając do gościa. Ten wypił, i kołysząc się, gładził po piersiach.

— Aj, sławna! Aj, wódka, tak wódka... Soli szczepotkę, i zaraz po drugiej... Wy z sercem, ja z sercem...

W podwórzu nagle podniosły się głosy, konie gęsto zadrżały, a za chwilę na ganku brzękły ostrogi, we drzwiach salutował dragon:

— Pałkownik kniaź Zagreba-Trockij.

Zaledwie mocny zapach stajenno-okowito-dziegiowy, po jadalni szerzej się rozszedł, już meldowany skłonił się zlekka, do majora szedł z powitaniem.

— Paweł Grigorjicz — kakimi sud'bami!

Zwieriow za ręce go ścisnął. — Ot niespodzianka, ot tobie gospodarzu radość! Jaśnie oświecony Paweł Grigorjicz, — a tu właśnie wódka, i biez ceremonij, pałkownik.

Kniaź niedbale rękę gospodarzowi podał, pani się skłonił.

— Madame!

— Nu, už madamy; my swoi ludzie, siadaj i jedz.

Pułkownik rosły, mało rasowy, choć urodziwy, długie bokobrody rozgarnął, na opiętym mudurze orderów poprawił, i dobrym francuskim językiem do gospodyni o pogodzie zagadał. Nie tłumaczył się zgoła, bo nie pojmował księżę pan, dla sportu i zasługi »usmirenja« do Polski przybyły, aby w zabranym kraju, za najazd domu, wypadało kogoś przepraszać.

Z dalszej rozmowy okazało się, że zwabiony wystrzałami, z poblizkiego lasu, gdzie z ogarami na powstańców polował, spieszył z odsieczą. Po drodze spotkał pikietę, i miło mu z majorem trochę pogadać, a ruszyć, gdyż jakiś Oksiński z oddziałem się błąka, ludzi mu już urwał sporo, a sam się jakoś wywija, oczywiście do czasu, bo dziś, jutro, czekają go baty i sosna.

— Ja go znam, chitry on, biestja... Ale wódka, — car wódka... Ej, Paweł Grigorjicz!

Na stole zjawiły się z węgierskiem winem

smukłe bocianki, i żwawa potoczyła rozmowa, choć gospodarz niewielki brał w niej udział, o stracie, jaka go czeka, rozmyślał. Boć że wydrze krwawicę major, to pewna, lecz ile, i co zrobić, aby się, choć w części, od klęski uchronić.

Pani płonęła, to bladła, płaczu serdecznego blizka, wśród tych ścian nagich, obok drwiących oficerów moskiewskich, do których żywiła wrodzoną nienawiść, i dawną obawę z tych czasów, kiedy to: — przyjdzie moskał, zabierze cię... — straszyla ją niańka.

— O, jaki brodaty wielgachny, oczy mu się świecą... — odżyło w mózgu wspomnienie. Nagła ciemność spłynęła, i zdało się jej, że w noc bezsenną utkwiała oczy w serca okienic, i drży, bo tam, za niemi, on stanął, już wszedł, już do łóżeczka, z workiem się skrada... Zatrzepotało w niej serce, głowę podniosła: wielki, brodaty tuż przy niej, i patrzy...

Krew zbiegła od twarzy, chłód w skronie uderzył, chwiejąc się na nogach, wyszła z jadalni, a gdy płacz zbawczy buchnął jej z piersi, przysła ulga z łez falą.

— A ja tobie co powiem, Kozłowski, ty mnie się podobał, i choć ty do brzeziny miateżników puścił, ja tobie za chleb i za sól dziękuję... Ale, — ty człowiek z rozsądkiem rozumiesz... — po karafkę sięgnął, wódki się

napił. — Jaż dobrze mówię, sam ty rozumiesz, co za nasze bezpokojstwo nam trzeba.

— Nie wiem, doprawdy...

— Nu, połno! Sercem za serce, ja człowiek prosty. Dziesięć procentów od majątku dasz...

— Gwałt, rozbój! — od stołu gospodarz się zerwał.

Wtedy pułkownik ciężkie ręce na ramionach mu oparł, i zimnym, bladym wzrokiem w siną twarz spojrzał.

— Kazakow kliknu...

— Tak zrozum-że, serdeczny, co my biez gwałtu prosim...

Na zmrok się już miało, gdy w dziedzińcu zadźwięczał skoczny, radosny głos trąbki.

Z piekarni wytoczyła się ciżba dragonów, a z nimi, w poszarpanych chustach, kilka zbitych okrwawionych dziewczuch folwarcznych. Od wydartych z zawiasów, toporami rozbitych drzwi gorzelni zataczali się, wyjąc, kozacy. U stodoły, wśród rozrzuconych gnatów wołowych, chmury pierza, karabinów ustawionych w kozły, i pokłutych prosiąt obozowała piechota, a opodał, nad pociętymi worami z owsem, postępując drzemały konie.

Przy studni, w cieniu koryta, na sino różowej kwiecistej pierzynie, rozciągnął się młody podporucznik. Upił się z żalu, że nie pro-

szone go do dworu, na obiad. Nad nim z wiadrem w rękach, krępy »dienszczyk«, rozmyślał: — lać, — nie lać, — drugi, za ręce, za nogi, szarpał śpiącego.

— Ej, Wasze bła-aorodje! Signal!...

Oficer, blade, senne oczy otworzył na chwilę.

— Ja, dwarianin... Ja... Ja formy znaju... Plewał' mnie na ichnij abied...

— Lej, Wania!

Chmurny pan Walery, wiódł drogich gości. Burzyła w nim wściekłość, wobec tej przemocy, której nigdy, dotąd, nie uległ. Nie miał w domu sumy żądanej, więc srebrem ją trzeba było dopełnić, i klejnotami, na resztę skrypt trzydniowy wystawił.

— On winien, przeklęty Langiewicz. Syna mi zabrał, Moskale za nim tu przyszli... Poczekaj!

A major żartował.

Kozłowskiemu w głowie się émiło, zaś w ramionach czuł moc taką, jak nigdy. Jakżeby kniazia w łeb grzmotnął, a potem załdawił majora. I palce skurczyły mu się jak szpony, odbiegła przytomność, gdy na krzywdę swoją spojrzał w podwórzu.

— Zbóje, — złodzieje!

Śmiechem parsknął pułkownik, i świsnął szpicrutą.

— Nie lubisz?

Nagle krwią zaémiony wzrok Kozłowskiego uderzyła postać skrępowanego człowieka. Zbliżył się, Grzybowskiego rozpoznał.

— Taż twoja duszyczka, mileńki, a nam tylko kłopot. Co z nim? — do pułkownika się zwrócił. — Sotniu goriaczich, Paweł Grigorjicz, i z Bohom...

Kniaz okrwawionego chłopca zmierzył, i trzepnął zlekka majora po plecach.

— A zaraz bić! Stary obyczaj. Nic w Was liberalizmu Siemion Michajłycz.

— Starego pokroju ja człowiek, wiadomo:

— A ja, za to, nowy. Z duszy liberał i dawnego barbarzyństwa nie znoszę. Skinął na przybocznego kozaka, ognia do cygara kazał mu skrzesać, poczem głową w stronę Grzybowskiego poruszył niedbale.

— Powiesi!

Podprowadzono mu konia, na strzemieniu się wzniosł, zręcznie krąg nogą zatoczył, a przełożywszy starannie cugle między palcami, osadził się w siodle.

— *Eh bien?* Żiwo, Taras!

Powlekli starego pod ręce kozacy, a za chwilę z pieśnią »o pszczołce«, oddział wioskę opuścił.

Stał syn Grzybowskiego, ręce zaciskał, aż stawy chrzęszczały, łbem w ścianę tłukł, chrzypiał:

— Jezu Maryja... Jezu Maryja!

Obok drżący blady Kozłowski, na kołyszącego się zlekka, u belkowania stodoły, trupa patrzył, i myślał o synu. Po chwili, słaniając się, do chłopu zbliżył, ręce na ramionach mu wsparł.

— Langiewicz... Langiewicz ojca im wydał, — ojciec chłopów buntował... Rozumiesz?

Grzybowski, suche, płonące oczy rozwarł szeroko, nagle blask zrozumienia przez mózg mu przeleciał, i chłop runął do nóg dziedzi-cowych.

— Jaśnie panie... Bóg zapłać.

Na leśnem uroczysku stał chłop i kosę klepał. Aż dziwno, bo skądże w marcu jął się takiej roboty? I kosę miał inną: żelazo, jakby na śmiech sztorcem osadził na drzewcu, i na cóż mu takie kosisko? a jeszcze wychapane zdrowo we środku, rdzą zjadłe?

Ale widać, że i takie żelaza do jakiegoś użytku, bo oto, od lasu, z półtorasta chłopów wyległo, a wszyscy na urząd, z takusienkami kosami. Chłoptwo, nie chłopstwo, bo siwe na nich czamary, ten i ów ma za pasem pistolet, a idą sprawnie, jak wojsko. I nie wiedziałbyś zrazu, co to za ludzie, choć coś, jakby znajomego w pamięci się błąka. Myślisz, do przeszłości sięgasz, gdzieś ty już takich ludzi spotykał, aż nagle widzisz elementarz dawny,

w nim malowana postać wojaka, a podpisano: — ko-sy-nier.

Opowiada ci matka cudne historie. O Racławicach, o Stoczku, a tys oczy w nią utkwil, i słuchasz, aż ci serce zamiera.

— Ja będę taki, tylko urosnę!...

I oto urosłeś, tęgi chłop z ciebie, ale ci już oczy nie błyszczą zapalem, jak w dziecięcych marzeniach, inne cele przed tobą, inne widoki, a gdyś z dziwną kosą się spotkał, użytek jej odgadł, całą niepewność rozpaczliwej walki zrozumiał, — pilno ci z lasu, bo krwi szkoda, i ofiar na takie szaleństwo.

— Z motyką na słońce — na armaty z kosą!

Nie jeden dziesiątek był takich w Grochowskim lesie. Pierwszym impetem porwany, młodzieniec szedł w bory, jadł, pił, przy ogniskach marzył, tu i owdzie prochu powąchał, ale gdy przyszło uledz karności, znieść przykre słowo, na słocie spać głodno, a co najgorsze, wroga nie szukać, lecz przed nim w pośpiechu uciekać, wtedy niejeden począł obliczać, rozważać: a czy Francya napewno?... A czy karabiny przyjdą?... Jakie są siły ogólne?... I zawiedziony, z żalem do rządu, do Mierosławskiego, nawet do Cesarzowej Eugonii, przy pierwszej sposobności, z obozu, umykał młodzieniec, unosząc dowód rzeczowy spełnionych czynów, chwałę dzieci i wnu-

ków — szafirową konfederatkę, z białym orzełkiem, ukochanej dar.

Ciemne wspomnienia, tem ciemniejsze na jasnem tle poświęcenia, zaparcia, i wszystkich cnót ludzkich, przy których niknie nawet zasługa pospolitej odwagi.

O bohaterów wojny nietrudno, ma ich każda najuboższa historia, lecz wobec cichej zasługi nikomu nieznanym rodzin, składających z każdego pokolenia krwawą ofiarę, na tym ołtarzu, przy którym im się nawet modlić nie wolno, wobec dumnego bólu matki, żegnającej ostatnie dziecko, na pastwę oprawców cytadeli przez nią świadomie chowane, wobec stu lat jęku, łez i beznadziejnej walki, dla walki, cóż znaczy chwila bohaterskiego natchnienia — głośna, wspinała szarża u Sommo-Sierry — дума polskiej historii?

Ale tchórzów i zdrajców nazwiska, te znaczą i ważą, bo pono w dziejach żadnego narodu nie masz ich tylu, co w naszych.

Huczy życiem bór Grochowski. Dźwięczą młoty kowali, nieokute kosy prostują. Rąbią topory, jodły do zasieków krzeszą, pryskają ostrzone pałasze, a z tysiąca piersi, polski mazurek huką po lesie.

Od folwarku, na dzielnych szkapach, kawalerya się sypie, wnet w półkole się zwarła. Czapski galopem przeleciał, konia wparł w ziemię.

— No, wiara, a nie zróbcie mi wstydu, gdy ruszymy w ogień. Szkapę krótko, a mocno; szablą daleko, a cięto. W szarży iść ławą, a nie na wyścigi. Równaj się, marsz!

Cisnął koniem generał, a za nim, jak wichher, półkole.

Potem dwa kręgi rozwinął, znowu je złączył, w kolumnę ustawił, i wysnuł z niej szóstki, z nich barwny prostokąt zakotłosał się w klusie, i nagle rozsypał. Skinął szablą, znowu ich zebrał, i murem ustawił.

— Niezgorzej!

I już radosne, a rzewne: »Ułani, ulani, malowane dzieci« płynie po lesie, a potem urągliwa piosenka; »Idzie piechur bokiem, potrząsa łomokiem...« — chwilami budzi niezgodę.

O to nie trudno, gdzie pan z chłopem wzajem się boczą, nie ufają sobie, gdzie co człowiek to inny, i z serca, i z myśli, a nawet z ubrania.

Szumny panicz z chartami do obozu przybył, a przy nim żołnierz-kolega w świtce, przepasanej rzemieniem, i w łapciach, ponury poleszok, dalej Włosi i Węgrzy w kapeluszach Kalabrii i ciemnych opończach; szare samodziłowe czamary bez potrzeb, i sute bekiesze; aksamitne kurty i giezła zgrzebne; pańskie cholewy, srebrne ostrogi, i boscie pięty, na leśnych korzeniach, i skalnych żwirach podarte.

A broni! Belgijskie sztucery, rewolwery Colt'a, samopały szwedzkie, i dawne krucice. Dębczak, co z krzemieniem się zrósł, karabela kamieniami sadzona, dziwer, i pałka okuta, noże myśliwskie, dubeltówki pańskie, misterne, i garście żylaste, w których nic nie było, prócz mocy.

A jednak niech się tylko wśród różnobarwnych różnoduszných szeregów sztandar amarantowy, z białym orłem rozwinął, a — do ataku! zabrzmiało, wszystkie małe tłumione zawiści, niesnaski, niby górskie ruczaje, razem gdy spłyną, potężniały w żywioł druzgoczący i dar strategiczny, i karność wojskową i liczbę.

Niestety, choć wiary nie brakło, nie zjawił się cud, i gwałt zimnych bagnetów przemógł, zadławił nadludzkie wysiłki.

Po szczęśliwym przedarciu się przez placówki moskiewskie, Wicek Grzybowski, dostatnio odziany, i z niezgorszą rusznicą, zaraz do oddziału Rochebrune'a został wliczony, a że od przednich straży szły wieści, że nieprzyjaciół z południowej strony na strzał armatni się zbliżył, chłop tylko bitwy czekał, licząc, że w niej, gdy chwila odpowiednia się trafi, żrącą żądzą zemsty nasyci. Zaś Langiewicza winy był pewnym, zupełnie, boć cóż mieliby w tem moskale, aby człowieka, nie-

przychylnego powstaniu, zabijać? Niejednego już z chłopów zgładzili powstańcy takim sposobem, że w urzędzie na niego donieśli, ale śmierci ojca nie daruje Grzybowski, choćby własną głową zapłacił.

Ze swej strony czuwał i pan Walery nad naczelnikiem powstania, a choć chłopskiej zaciekleści ufał, nie mógł ukoić nienawiści własnej, która nad wszystkie uczucia w duszy urosła. Rozrzutnym nawet się stał i na wszystkie strony płacił, byle o każdym kroku Langiewicza mieć pewną wiadomość. »Syna mi porwał, batami zagroził, moskali za sobą sprowadził« — wrzało mu w mózgu, i oszołomiony wściekłością, na niebezpieczeństwo nie bacząc, ciągnął za wojskiem moskiewskiem w obawie, aby mu się nie wymknął nienawistny Langiewicz.

A Grzybowski tylko chmurny łeb zwiesił, żadnych obaw nie żywił, bo już za ojca śmierć zasądzona — nie minie.

W obozie gotowano się do bitwy, wczorajsza jednak zuchwała, śpiewna pewność siebie zmieniała się powoli w zwykły, przed polem, niepokój, drażniony jeszcze ciągłymi wieściami, sprzecznymi ze sobą. To generał Uszakov, posiłkami wzmocniony, pod Grochowiska, ruszył, to ks. Bagration, w czterdzieści armat, lasy otoczył, i żywa dusza nie ujdzie, to z oddziału Medema, tuż, tuż awangardy kozackie

widziano, — co chwila donosili chłopci, żebracy, druciarze, — o Czengierym jednak słuch zginął.

Wieściom tym, pochodzącym od ludzi, których, nikt nie znał, nie ufano wiele, wszakże przykre uczucie otoczenia przez wrogów ciążyło, i bitwę przyspieszyć, czy przebić się, stało to się ogólnem żądaniem już głośnem, a gdzieniegdzie, od gromadek, już i okrzyki niekarność się wzmogły.

Langiewicz, jak każdy naczelnik powstania, musiał się liczyć z żądaniami, po polsku, niesfornego oddziału, a że cofnąć się nie mógł, zaś rządząc się Skrzyneckiego teorią, bitwę za ostateczność uważał, postanowił złamać siłą kawaleryi, cisnący go krąg, i tą luką się przebić, pozostawiając piechocie niebezpieczne zadanie osłonięcia odwrotu.

Tymczasem nastrój wojska chcąc zbadać, sadził przez obóz dyktator, jak zawsze na dużej miary kasztanowatym bachmacie, bo, że sam niskiego wzrostu, wielkie szkapy lubił.

Wśród wojska nie miał on miru, choć ludzi nie biął, jak to się w innych oddziałach, z przykrej konieczności, zdarzało; grzeczny lecz zimny, nie posiadał tych darów, którymi urodzony wojownik umie serca zjednywać. Wreszcie ostrożny był w ogniu, a że tej właściwości ogólnoludzkich, instynktów, żołnierz u swoich wodzów nie znosi, cichy szmer

wzgardliwych uwag biegł, przez niekarne szergi.

— Cie-go, jak się nasrożył niby zwierz na kołnierzu... — szeptał do strzelca kosynier, chłop rosły, ogorzały a groźny, tylko jasne oczy się śmieją.

— Nie oblatuje jeszcze go straszek, ale ino bitwy poczekaj, to go nie uświadczysz... — odpowiada mu drobny, czarniawy, z miejską odzianą towarzysza, i czapkę w górę wyrzuca.

— Wiwat, dyktator!

Obok Langiewicza, na małym koniku adjutant — dzielna dziewczyna, równie jednak nielubiana, przez wojsko, choć i konia dobrze zażywa, z gwintówki strzela niegorzej, śpi w hajdawerach, a w ogniu jej nie strach.

Z godnego rosyjskiego domu panna, cóż ją w szeregi powstania przywiodło? Miłość do obcej ojczyzny, czy inna? — rozmyślała kawalerya zwłaszcza, spraw kobiecych zawsze ciekawa.

Za niemi, w krótkim galopie strojny sztab się kołysał, z szefem Bentkowskim na czele. Sztab piękny, sławny sztab dyktatora, ze świtą, *guide'ami*, na białych, królewskich rumakach.

Po zlustrowaniu obozu, wódz do adjutanta się zwrócił z krótkim rozkazem:

— Czachowskiego, Rochebrune'a do mnie!

W miejscu, koniem, sprawnie, zwróciła dziewczyna, dani prysnęła z pod kopyt, Lan-

giewicz, na małą łysinę się zsunął, skórzany futerał z mapką Chrzanowskiego podał mu śmigły, jak sosna, ordynans.

Po chwili salutował pułkownik Czachowski, dyktator od mapy, z poza okularów, podniósł oczy na niego i, jak to miał we zwyczaju, mówił urywając, pośpiesznie, co odbierało stanowczość i wagę rozkazom głównego dowódcy:

— Niema co czekać... Ścisną, weprą nas w bagna...—głową wskazał na moczar zrzadka olszyną, i chojniakiem porosły. — Położenie najgorsze, trzeba się przebić... Tak... Nic innego nie widzę... — bystro w oczy pułkownika spojrzął, i dalej się śpieszył:

— Zebrać batalion... Pułkownik Czachowski w tylnej straży zostanie... Od Welecza odwrót zasłonić, cofając się zwolna za główną kolumną... Od południa cała waga, — Czen-giery.

Czachowski, znając ruchy nieprzyjacielskie dokładnie, usta otworzył:

— Wydaje mi się, że...

— Mnie się nic nie wydaje... Ja wiem! Z główną siłą idę na północ, tam przejdę... Rochebrune z żuawami przedemną... Oddział podnieść natychmiast, bez straty czasu... Bez narad, źle czy dobrze zrobił Langiewicz... Skończone!

Salutował Czachowski, a gdy kilkanaście kroków w las uszedł:

— Choroba! — splunął ze złością. — Cofać się, osaczony przedzierać, umykać, byle nie bitwa, aż ścisną, wytluką... Psiakrew! — oczy łzami mu zasły.

Z gąszczy Rochebrune wyszedł; wezwany, po rozkazy śpieszył. Nizki, a zsiadły, w ruchach żywy i zwinny, całem sercem wojownik, wnosił w szeregi zuchwałą odwagę, i humor swojej ojczyzny.

— *Eh, bien? Ça va?* — pod ramię pułkownika ujął i w oczy mu patrzył z uśmiechem—. *Eh bien...* Szakoski?

— A idź, dowiedz się... Znowu mamy uciekać!

— *Ah, non, par exemple... Ma foi, non!* — i naprzód się rzucił, lecz wobec wodza uległ rozkazom, bo żołnierz był dobry. Zęby zaciśnął i syknął:

— *Sacré nom!*

Lecz słuchał.

W godzinę za szpicą z trzech koni, po czterech w szeregu, dzielny francuz, ze strzelcami ruszył leśną drożyną. Gwizdał i śpiewał, pół po francusku, z węgierska po polsku, zagadywał wciąż ludzi, i żartami krzepił. Znał polaków, jak polak, wiedział, że czego pierwszym impetem nie robi, to przegrał, i dlatego swoich żuawów, tak jakoś rozochoćić umiał,

że jak stanął przy pierwszym szeregu, nikt się nie zachwiał, i jak fala szli. Lecz i jak fala, gdy nie złamie odrazu zapory, rozpraszali się wnet. Kłął wtedy bluźnierczo, z pięściami się rzucał, bił, płakał, lecz gdy już wszystkie wady polakom wymówił, a do wyjazdu się zbierał, ochłaniał.

— *Mais, enfin... au fond... sont ils braves, les canailles...* — i z żuawami, po dawnemu, szedł w ogień.

Kilka staj uszli za ledwie, gdy nagle parę strzałów buchnęło w pobliżu, trzask z gęstwy krzaków się rozległ, i na okrwawionej szkapie wypadł jeździec powstańczy.

— Piechota!

W mgnieniu oka Rochebrune bojową kolumnę rozwinął, po bokach kilkunastu strzelców rozrzucił, i z pierwszym szeregiem, jak zawsze, cisnął się naprzód.

Poprzez gęste zarośla sunął wąż rosyjskiej piechoty, a przed nim na jasną polanę wypadli Rochebrune'a żołnierze. Bez komendy kilka strzałów trzasło.

— Pal! — dym buchnął, i grzmot urywany, poskoczyli jeszcze, rozsypała się echem, po lesie, równa salwa piechoty, i druga silniejsza, i trzecia. W mig, jakbyś w stado wróbli drobnym śrótem trzepnął, rozpierzchli się powstańcy, i w mig, już zakłębiły się dymami strzałów krzaki, szerokie pnie sosen barcio-

wych, leśne wyboiska, a piechota w zaroślach, dymami zasnutą, równo, raz po raz, wali w polanę.

Opatrzyli się rychło, i jeśli strzelać po krzaczach, po sosnach, dymów wypatrując. Gdzie tylko białe kłębek się zwinął, wnet ogień w tę stronę, ale gdzie bezdusznej, ćwiczonej piechocie, z polskim myśliwcem się mierzyć. Nabijanie nie idzie mu sporo, za to każdy strzał drogi, a z pewnego ukrycia, jakbyś w tokowisko walił. I coraz bliżej, a gęściej, zarośla ogniem buchają, zieje salwami na oślepie piechota, lecz nagle się zwarli, pochylili bagnety, i skoczyli pędem. Przed nimi, za nimi, las zagrzemiał, a z boku Rochebrune gruchnął setką sztucerów, — poprawił...

— Spasajcieś?!

— Bij... Zabij! — krzaki ożyły, wysypało się mrowie szarych wojaków, z pałaszami wpadło, w pierzchające bezładnie, a skupione w gąszczach, jak nabił, szeregi.

— Pomiłuj! Pomiłuj! — błagały ręce, bagnety z białymi chustami.

— A już ci! Będę cię prowadził ze sobą, takiś mi piękny! — i wałą kolby bezbronných, pałasz aż zgrzyta, gdy więźnie w czerepie, krótkie noże sięgają głęboko w trzewia, po życie, bluzga krew ciepła, słodka...

Jeszcze raz salwa, jeszcze kilka wystrzałów, — i cisza, tylko śmiertelny chrap i błą-

ganie: pomiluj! ale nie rozumie litości ten, co jej nigdy nie zaznał; przez oczy, krwią zalane, nie widzi ostatnich udręczeń, nie słyszy błagania, gdy grzmia mu jeszcze wczorajsze, mordowanych braci, jęki.

Ucieka życie, zamierają ostatnie jego odgłosy, śmierć biega, oczy rozwiera, a innym jeszcze na piersiach przysiadzie, i — męczy. Po mchach, wrzosach, czarne kałuże krwi krzepną, a na nich roztrzaskana myśl ludzka: miłość, marzenia, może najtkliwsze uczucia, — błoto lepkie, cuchnące.

Chwila, i czarne ptactwo spadnie, u ciał martwych rozpocznie się walka o życie.

Chłop w rozchełstanej koszuli, krwawy pot z czoła otarł rękawem, i patrzył chmurnymi oczami po prężących się ciałach. Nagle dzika radość do piersi mu zbiegła, zawył śmiechem szalonym:

— Widzita juchy, moskale!.. Widzita!..

I znowu zwykła chmura na czoło mu zaszała, łeb zwiesił, strzaskaną kolbę starej rusznicy opatrzył, sznurkami powiazał, medytował chwilę, i do strzelby zagadał:

— Ale... ociec źle robił, kiej chłopów buntował... Źle robił, źle polskiej ziemi bronił...

Żwawo, z pieśniami, ruszyli naprzód żołnierze. Rochebrune gwizdał, lecz niespokojnie dokoła spoglądał. Czuła dusza wojenna armaty gdzieś blisko. Na grobli do Galowa wio-

dącej, aż dziwno mu było, że i tu cisza; jednak mimo złe przeczucia, postój zarządził, i wnet wiara rozpałała ognisko, a naczelnik sięgnął po kapciuch z *caporal*'em francuskim, i lulkę zapalił.

Rad był z siebie i z ludzi, fajkę sobie chwalił, a nucąc jakąś rzewną paryską piosenkę, na jedlniak podmokły, karłowate chojniaکی po mokradłach patrzył, aż wzrok na wzgórzu zatrzymał: — wyborna dla armat pozycya — nieźrównana pozycya...

— O, głupi wojsko ruski! — fajkę wytrząsnął i ziewnął, o spaniu myśląc, jak i żołnierze przeciągający się błogo, w cieple ogniska.

Nagle potężnymi kłębami dymu buchnęło wzgórze, grzmot groblą potrząsnął, zaszumiały kartacze, i w tej chwili zwinęło się kilku na ziemi. Wrzask się podniósł okrutny, i zginął, jednostajnym złowrogim łomotem pokryty...

— *Les voilà!* — Rochebrune zawrzaskał, lecz nim sformował kolumnę, już z głuchym okrzykiem zwarli się gromadą, zebrali w sobie, i runęli z grobli żuawi. Sypały kartacze, ale już z górą je niosło — ciżba na baterye wpadła, chwila, — i wśród ognia pierś do piersi zapasów, u ślizgich, krwią dymiących lawet armatnich, smagane konie zatoczyły kregi, obróciła bateria, i w szalonym popłochu uciekał Czengiery.

Huczało wojsko, z płaczem całowali się wszyscy, szaleli. Rochebrune okrutnie żywo coś gadał, ale nie rozumiał go nikt; dopiero, gdy dzielnemu żołnierzowi lzy w oczach zabłysły, pojęli go wszyscy, kilkaset rąk zwróciło ku niemu, i w górę, a w górę, aż z siłą opadł zupełnie.

Przez Busk, Szaniec, ku Kielcom Czengiery umykał, a nagłość ataku w taki szal strachu wprawiła oddział rosyjski, że żołnierze w Staszowie, Busku, Pińczowie, oddawali się wylękłym, zdziwionym burmistrzom w opiekę, broń u nich składając ¹⁾).

A Langiewicz? Langiewicz, kartaczami spłoszony, a słysząc jeszcze Czachowskiego strzały na tyłach, ze stropionem wojskiem w lasy się cofnął, i wojsko opuścił, naradzając się z Bentkowskim nad bezpieczną ku granicy drogą.

I dziwnie, jak to trwoga jednego serca, trwogą tysiące zaraża. Langiewicz w las uszedł, wnet szeregi kawaleryi rwać się poczęły, a za ledwie je Czapski sformował, rozbiła w Wiślicy dragonia. Mniej liczna, mniej piękna, a rozbiła tak srodze, że z kilku ludźmi ledwo uszedł generał.

¹⁾ Sulima.

Zawodna sława polskich ułanów, o czym już i dawniejsze piszą kroniki...

W tymże czasie, gdy Rochebrune z kosynierami swój oddział połączył, rota pułkownika Sorniewa od wschodu żwawo na nich natarła. Bohaterskim wysiłkiem zmęczeni, odstrzeliwali się ledwo żuawi. Stary, a cięty Śmiechowski już do ataku wiódł kosynierów, lecz nagle pod gęstym ogniem poczęły się łamać szeregi. Rochebrune'a żal ścisnął za serce, z rewolwerem w rękę drogę im zaparł, i:

— Dzień dobhy, psiakhew, któha godzina — *en avant*¹⁾ — ryknął z płaczem, co umiał po polsku.

Tak ich rozbawił, a wzruszył, że drgnęły serca, z grabowem drzewcem zwarty się garście sękate, i poszli żeńcy... Za rotą, co nie zachwiała się nawet, — a legła, ukrytą rezerwę z lasu wyparli, i gnali uciekających przed strasznym pokosem, ze trzy wiorsty pono.

Mordem zmęczeni, żywcem niewolników brali, i wrócili z kupą. W siwych, okrwawionych sukmanach, umęczeni kosiarze przyglądali się rosyjskiej piechocie z ciekawością, jak gdyby widzieli ją po raz pierwszy.

— Sielne chłopcy, i w krzyżach szerokie,

¹⁾ Zdanowicz.

ale jak bokiem od siebie kosą zawinać, a wzięto ją puścić, żeby ino furkła, to i dwóch z niego.

— Ale! Także dobrze od góry ich łupać.

— I od góry dobrze.

Rad stary Śmiechowski, a Rochebrune z żydem Rosenbergiem się spiera. Tak zuchwałą odwagą się w tym ataku odznaczył, że Francuz, nic innego nie mając, zegarek mu ofiarował.

— Ja pana pułkownika dziękuję... Ja miałbym lepszy, jakbym handlu pilnował.

I upominku nie przyjął.

Od upojonych zwycięstwem, lecz po rosyjskie manierki sięgających strzelców, odszedł Grzybowski; z rozbitą strzelbą miał troskę, bo przy niej majstrował, przez co i w myślach czuł bezład.

— I znów, jucha, puściła... Ale źle ociec robił, kiej chłopów buntował... I jakże mi teraz — kiej tamtemu śmierć zasądzona... Jakże mi teraz bez kolby... Gałgańsko bez kolby... A ojczyzna je pierwsza. I jakże?... kiej zasądzono...

Westchnął, jeszcze niżej łeb zwiesił...

— Hej, żebym ino miał drutu kawałek... Nie ma tam drutu? — krzyknął do strzelców.

— Jest, jest, pełna butelka... Bywaj Grzybowski.

— Ano, trza zdziebko, bo coś we łbie mroczy.

Sosny górą się palą, mrok idzie. Choć głodno i chłód, wiara huka po lesie. I jeszcze przyszła uciecha, bo zjawili się chłopci, z wieścią radosną, że siła napsuł moskali pułkownik Czachowski, i wolna do Wełeczka droga.

— Wiwat Czachowski!

Las zadrżał, i grzmot: »Jeszcze Polska nie zginęła« pobiegł przez bór Grochowski, Oby w starych sosnach pozostał zaklęty, przyszłym pokoleniom odhuknąć.

Ale okrzyk z tyłu piersi już uszedł i z myśli, gdzieżby w spróchniałem drzewie się błakał.

Wala się stare sosny, mrą dawni ludzie...

U podjazdu Barańskiej komory zatrzymała się bryczka, wysiadł z niej człek niepozorny, i w szubę niedźwiedzią zawinął, jakby głowę chciał ukryć, choć twarz pospolita, do tysiąca innych podobna, i cała postać, ni żołnierska, ni pańska, zgoła nie zwracały uwagi, nawet zawzięcie czujnej, pod owe czasy, policyi granicznej.

Z przyjezdnym wysiadł pacholek w haidawerach szerokich, i kurcie zielonej, syn czy strzelczyk służebny, i obaj z małym tobołkiem do poczekalnej izby ruszyli, gdzie przysiedli skromnie, w kącie zacisznym, zdala od ciżby podróżnych.

Ale jak bywa zwykle: gdy ktoś ukryć się pragnie, wnet znajdzie się drugi, który go śledzi, tak też i teraz, chyłkiem za nimi, wszedł człowiek jakowyś, czarny, zarosły, węgier czy inny, jakich się mnóstwo włóczyło, i usiadł, opodał, a w przestrzeń jakiś znak rzucił.

W zadumaniu na rękach się sparł, ale raz wraz, w stronę owych podróżnych błysnął oczami.

Nie przyjaciel to był, ale wróg i znać złe jego spojrzenia pochwycił czujny pacholek, bo ku staremu głowę pochylił i szepnął:

— Śledzą nas...

— Co się stało? Kto śledzi? Dlaczego? — jakby ze snu, nieprzytomnie, tamten się rzucił.

— Pod ścianą... W ciemnej opończy...

Z pod niedźwiedziego kołnierza, ostrożnie, okulary zwrócił w tę stronę, człek niepozorny. Drgnął nagle, i jak gdyby mroźny wiatr wionął, głębiej w futro się zaszył.

— Mój człowiek... Zdrajca nasłany...

Wtedy pacholek do kolan mu przypadł, jasną głowinę w ciemne kudły wtulił, ale z rzewności otrząsnął się wnet, i trwała cisza, aż znowu ku starszemu się skłonił, błagając:

— Wróć!... Panie mój, wróć!... Klęska i hańba... Tamci biedacy oddali ci honor, krew, życie, a ty... panie... W dniu zwycięstwa płacisz

im... zdradą... — po twarzy pacholka potoczyły łzy kobiece, rzesiste.

— Zgubić mię chcesz?... I ty? — z pod futra niecierpliwa ręka targnęła płaczącym, przypadł do niej ustami.

— Uratować cię chcę... Cześć twoją... A oni biedni, głodni, bez wódza... Dziś, jutro, pod szubienicę pójda... Za co? Za wiarę w twoją przysięgę... Tyś Polak, tyś pan, a to... przydkie, brudne!... Ja córka twych wrogów, morskali, ja w oczy ci... Ja... Zgiń martwy zdrajco! — i nagle płaczem strzelczyk jęknął, za nogi objął starszego:

— Panie mój!... wróć!

— N...nie! Bo tam niema ratunku...

Opodał dźwiękły wydobywane z pochew pałasze. Równym krokiem, po dwóch, szło ośmiu straży, wiódł ich szlachcic wielki, wąsaty.

Blady był, drżał, a choć silny z pozoru, na nogach się ślaniał, jak gdyby nim skryty ból targał.

Cichy, pusty bór Grochowski. Ten krzyknął: zdrada! tamten zapłakał, w różne strony ruszyły oddziały, niosąc krwi, życia, ofiarę. Na nowe walki, po nowe nadzieje, aż do klęski ostatniej, kiedy w pierś jedną sto bagnętów uderzy, i — na sławę nam! okrzyk, polecieć od morza do morza.

I okrzyk chwały zapisała wrogów histo-
rya — 1863, złotem, w marmurze zabłysło,
a nam szare, biedne, krzyże powstańców,
z polskiej ziemi wydarto...

Ale, mówią ludzie, — jest Bóg..

Saint-Malo, 1906 r.

SPIS RZECZY.

	Str.
Słabe serca	1
Drogą sztuki	39
Trzy listy prababki	54
Chleb swojski	72
U mety	100
Za cześć zagrody	107
Małe kobietki	139
Z Bożej łaski	150
Maj	164
O Kostce Napierskim i Hance Czubaszównie, opowieść	174
Emigrant z 1905 r.	191
U wody	199
Jesienne dźwięki	208
Lityńska lelija	225
Na szóstym	240
Prasynowie Dyany	262
Zgrzyt	275
Polityka w lesie	298
Wódka	307
63	318

